M.B.
im.
L.W.
w Łodzi

Komu śmierdzą szwedzkie dolary?

KRZYSZTOF DRZEWIECKI str. 13

Żyjemy w kraju, w którym każdy chętnie dziewczyny objerzy, po czym połowa oglądaczy stwierdzi, że to „szajs", a druga że ma o wiele lepsze pomysły...

Jerzy Chmielewski o wyborach „Miss Polonia"

To nie była guma do żucia...

str. 12

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 37 (1537) ROK XXX 12 WRZEŚNIA 1987 ROKU CENA 25 ZŁ

- Niebezpieczeństwo czai się pod podłogą — str. 1 i 6
- Jacy są Rosjanie? — str. 4
- Tragiczny stan skierniewickich bibliotek — str. 1 i 6
- Pod czyim dachem będzie Filharmonia? — str. 7
- Przed sędzią śledczym — str. 16

Reportaż z sali operacyjnej

Jak wyjąć z człowieka odbezpieczony granat?

JURIJ GIEJKO str. 5

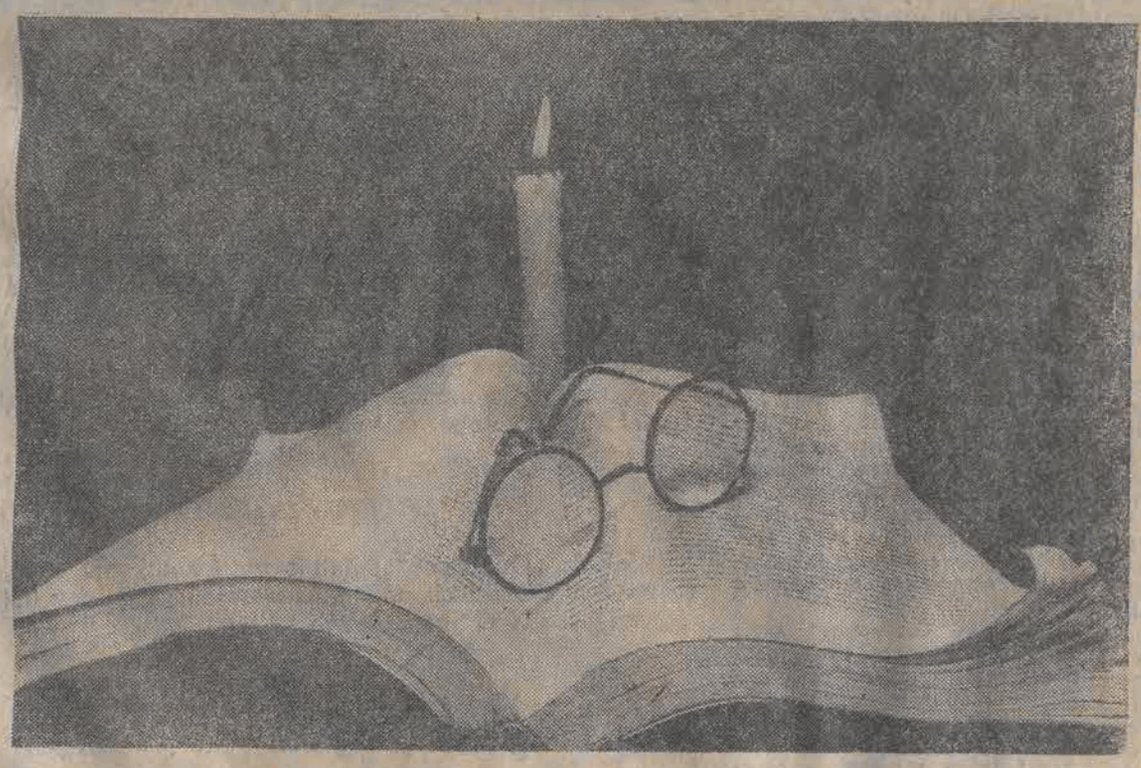

Specjaliści od pokonywania obiektywnych trudności

JACEK GŁĘBSKI

1.

W bibliotece w Kowiesach w województwie skierniewickim nie ma okien, a światło wpada do pomieszczenia przez szybki w drzwiach. Żeby było ciekawiej — w drewnianej podłodze znajduje się spora dziura. Niedawno po ciemku wpadł do tej dziury czytelnik. Naczelnik gminy nie zgodził się na natychmiastowe zamknięcie tej placówki, gdyż... bibliotekarki wykorzystały już urlop. Za to pod pręgierzem opinii społecznej obiecał, że we wrześniu wygospodaruje jakiś godziwy lokal. Można zadać pytanie, jak długo gnieździłaby się w takich warunkach biblioteka w Kowiesach, gdyby nie ten na szczęście niegroźny w skutkach wypadek. Regułą jest bowiem, że władze gminne mają na głowie ważniejsze sprawy niż jakieś tam biblioteki.

2.

Biblioteki **stanowią najliczniejszą i zarazem — ze względu na rangę słowa drukowanego — podstawową sieć placówek upowszechniania kultury.** Znajduje to wyraz m.in. w ustawie o bibliotekach, w której czytamy:

„Biblioteki, ich zbiory i urządzenia są dobrem narodowym. Biblioteki służą rozwojowi nauki, kultury, gospodarki narodowej oraz socjalistycznemu wychowaniu społeczeństwa" (...).

„Państwo zapewnia rozwój bibliotek i szerokie udostępnianie ich zbiorów".

6

Na oko wszystko gra

ROMAN KUBIAK

...ale na nos, coś mocno cuchnie, zaś na zdrowy rozsądek cała sprawa także pachnie nieprzyjemnie, a już na pewno podejrzanie. Wyraźnie złe zapachy wyczuwają lokatorzy mieszkania numer 23, nieco mniej ich sąsiedzi z nowego bloku oraz budowlani, a już żadnej wrażliwości na smrodek nie wykazują administratorzy osiedla i spółdzielnia mieszkaniowa. Tylko głowy bolą wszystkich — jednych od duszącej woni, drugich od kłopotów.

Pod numerem 23 mieszkają emeryci **Zdzisława i Ludwik Koniuszy,** oboje poważnie chorzy. Z tej przyczyny, przy poparciu rozmaitych komisji lekarskich, po sześciu latach oczekiwania na zamianę otrzymali rzeczony lokal, jako tzw. mieszkanie zdrowotne. Poprzednio zajmowali lokatorskie M-3 przy ulicy Karolewskiej **w Pabianicach.** Jedyną wadą starego mieszkania było to, że znajduje się ono na czwartym piętrze. Starszym, osłabionym chorobami ludziom nie stało już siły, by po schodach wdrapywać się na szczyt bloku. Dlatego z ochotą oddali je do dyspozycji spółdzielni mieszkaniowej w zamian za równorzędne M-3, ale na pierwszym piętrze nowego płytowca **przy ulicy Nawrockiego 7a** (blok nr 10) również **w Pabianicach.** Przeprowadzili się w październiku 1986 roku.

Standardowe wyposażenie mieszkania w nowym budownictwie stanowi między innymi cementowa wylewka posadzkowa przykryta jedynie podgumowaną wykładziną. Ponieważ cement mocno pyli, małżonkowie uradzili, aby prowizoryczną podłogę pomalować farbą olejną. Czyni tak większość zaradnych lokatorów, których nie stać na koszty i trudy układania parkietów. Poza drobnymi naprawami usterek, innych zasadniczych zmian w lokalu nr 23 nie przeprowadzono.

Radość z wygód trwała bardzo krótko. Późną jesienią kaloryfery po raz pierwszy ogrzały betonowe mury, a że rychło nastała sroga zima, toteż ciepłownia nie skąpiła gorącej pary. I wtedy zaczęło się. Najpierw popękała cementowa posadzka w dużym pokoju. Głębokie szczeliny w wylewce nie były jeszcze widoczne, gdyż skutecznie ukrywała je miękka zielona wykładzina. Ale mieszkaniem zawładnął tajemniczy smrodek. Dłuższy z nim kontakt przyprawiał o zawroty głowy i mdłości, więc zaniepokojeni domownicy ruszyli wyjaśniać zagadkę. Zrazu podejrzenie padło na meble.

Każdy szczęśliwy posiadacz drewnopodobnych sprzętów masowej produkcji jest już dostatecznie uświadomiony, jakie niespodzianki może spłatać ich wytwórca szczodrze stosujący nowoczesne technologie. Bywają one oparte o „współpracę" z wieloma substancjami toksycznymi, na przykład — formaldehydem, którego obecność często ujawnia się rozstrojem zdrowia użytkowników segmentów. Jednakże meble państwa Koniuszy posiadając sześcioletnią metrykę, przez cały ten czas bezkonfliktowo służyły właścicielom. Zdaniem inspekcji sanitarnej ich obecny zapach także nie nastraja obawą. Wstępne oględziny mieszkania zakończyły się fiaskiem.

Niebawem feralna posadzka sama dała znać o sobie — tym razem bardziej natarczywie. Oto nagrzany cement zaczął pęcznieć i głośno strzelać, a powierzchnię wylewki upstrzyły niewielkie kratery, z których zionął odrażający gaz. Woń nasilała się szczególnie podczas stąpania po podłodze oraz w trakcie przesuwania ciężkiego fotela. Do złudzenia przypominała zapach naftaliny. Nawet krótkotrwałe przebywanie w smrodliwym klimacie dużego pokoju szybko powodowało bóle głowy i gardła oraz duszności. Nie pomogło uporczywe zalepianie dziur w spękanej posadzce. Drzwi do pokoju zostały więc zamknięte, a okno otwarte również w najtęższe mrozy.

Podobne, choć mniej natarczywe zapachy uaktywniają się w innych pomieszczeniach lokalu nr 23. Są stale obecne, gdyż mieszkanie praktycznie nie ma wentylacji. Dlatego podłogowy smrodek i spaliny z kuchenki gazowej bezkarnie snują się po izbach. To znaczy, na oko wentylacja jest, gdzie zgodnie z planem być powinna — ale nie działa. Oględziny dokonane przez inżyniera budowlanego potwierdzają mocno uzasadnione obawy, iż układ wentylacyjny został spartaczony. Inżynier udzielał się społecznie i nie reprezentował żadnej instytucji. W tym miejscu wypada przypomnieć, że dwa pokoje z kuchnią przyznane państwu Koniuszy noszą miano **„mieszkania zdrowotnego".**

Pierwsza wizyta w administracji osiedla z pakietem zażaleń i niepokojów owocuje jednak kojącym zapewnieniem, że na oko podłoga wygląda prawidłowo, czyli zgodnie z przepisami. Technologia budowlana zakłada ponoć niezbywalne prawo posadzki do kruszenia się i pękania. Zresztą wylewkę cementową od lat stosuje się w płytowcach i jakoś nikt publicznie nie narzeka. Natomiast w celu rozwikłania problemu duszących woni, do lokalu nr 23 zostają oddelegowani anonimowi rzeczoznawcy, którzy po gruntownym obwąchaniu pomieszczeń zgodnie orzekają, że obecne tam zapachy wprawdzie nie należą do rozkosz-

6

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Bohdan Gadomski, Jacek Głębski, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Marek Koprowski, Włodzimierz Krzemiński, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakoniecznv, Adam Ochocki, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski, Maciej Świerkocki, Witold Werner.

Wydawca: Łódzkie Wydawnic[illegible] RSW Prasa Książka — Ruch" 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch" 3 Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul Towarowa 28 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045 139-11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc dla zlecających instytucji i zakładów pracy Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego

Zam. 2773. H-5.

Przegląd prasy

Niedawno czytałem w dodatku specjalnym „POLITYKA — EKSPORT — IMPORT" (nr 31), że indyjski ekonomista Ravi Batra — mieszkający od lat w Stanach Zjednoczonych — przepowiada wielki kryzys gospodarczy na Zachodzie w 1990 roku. Ma nastąpić załamanie podobne (lub nawet większe) do kryzysu z przełomu lat dwudziestych i trzydziestych tego wieku. O nadciągającej katastrofie świadczy — zdaniem Batry — między innymi to, że *„nie dość, iż bogaci stają się coraz bardziej ekstrawaganccy i krzykliwi, to również są coraz bardziej bogaci. Ludzie kupują obrazy po 40 milionów, zaś bezdomni włóczą się po ulicach"*.

Ekonomista indyjski obliczył, że w tej chwili występuje największa od 1929 roku koncentracja bogactwa. Zaledwie jeden procent społeczeństwa amerykańskiego posiada aż jedną trzecią całego majątku. Natomiast biedni i należący do klas średnich zmuszeni są do zaciągania pożyczek, co w konsekwencji doprowadzi — tak samo jak w końcu lat dwudziestych — do podważenia systemu bankowego. Pogarsza jeszcze sprawę polityka finansowa obecnej administracji USA. „Rząd — pisze Ravi Batra — *ze swoim deficytem budżetowym mówi, że pożycza te pieniądze dla nas i w naszym imieniu fundując nam jednocześnie zagładę w przyszłości"*.

PRZEWIDUJĄ POWAŻNĄ RECESJĘ

także niektórzy inni ekonomiści i menedżerowie. Na temat wydanej niedawno książki Batry „Wielki kryzys 1990" (materiały do niej zbierał przez 10 lat) dyrektor wielkiej amerykańskiej firmy ubezpieczeniowej powiedział:

„Potęguje ona moje najczarniejsze obawy o gospodarkę. Przewiduję kryzys, który będzie spowodowany nieprzyzwoitym deficytem budżetowym, ogromnym zadłużeniem w handlu zagranicznym oraz wykupieniem przez Japończyków niepokojącej ilości naszych stanowych i federalnych obligacji".

Ravi Batra utrzymuje, że katastrofa zacznie się nie w USA, lecz w Japonii. Ostrzega on Amerykanów, że zapanuje chaos większy może niż pół wieku temu. *„Nie wierzcie — mówi — że coś jest niemożliwe"*.

Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość USA w ciekawy, choć bardzo dyskusyjny sposób przedstawia słynny poeta meksykański Octavio Paz. Przekład jego eseju opublikowano w lipcowo-sierpniowym miesięczniku „RES PUBLICA" (nr 2). Autor jest wyraźnie zafascynowany cywilizacją amerykańską, ale dostrzega symptomy jej upadku. Pisze między innymi:

„Artykuły, szkice i książki o zmierzchu Stanów Zjednoczonych mają różny charakter. Wiele z nich to luźne refleksje, warianty mniej lub bardziej inteligentne owych kolektywnych urojeń, które wyrzuca z siebie okresowo nasz świat, spragniony nowości i kataklizmów. Inne, poważniejsze, są rzeczowymi analizami określonych problemów i dziedzin: kwestii wojskowych, stosunków międzynarodowych, spraw gospodarczych. Prawie wszystkie są przekonujące i po ich lekturze nie sposób zaprzeczyć, że od lat jesteśmy świadkami stopniowego obniżania się wojskowej i politycznej potęgi Stanów Zjednoczonych. Jeśliby sądzić po licznych oznakach, imperialna republika osiągnęła już swoje apogeum i prawdopodobnie zaczyna się chylić ku upadkowi. Jest to proces powolny, który może trwać wiek, jak w przypadku Hiszpanii, albo cztery, pięć stuleci, jak w Rzymie. W odróżnieniu jednak od przeszłości, nie widać jeszcze na historycznym horyzoncie nowej gwiazdy".

Octavio Paz twierdzi, że Amerykanie zagubili kierunek i stracili panowanie nad sobą. Psychiczna niepewność miota nimi z jednej skrajności w drugą. Stanom Zjednoczonym i ich przywódcom brakuje mądrości i rozwagi. W kraju mającym tylu wybitnych uczonych, techników i artystów uderza *„przygnębiająca miernota polityków"*. W demokracji bowiem głos większości nie jest tożsamy z mądrością.

Spodziewany w USA kryzys nie jest dla nas, rzecz jasna, żadnym pocieszeniem. Nasza gospodarka już od dłuższego czasu znajduje się w stanie zapaści. Zastanawiamy się nad tym

JAK WYJŚĆ Z KRYZYSU?

Większość ekonomistów proponuje przejście do gospodarki rynkowej. Ale nie jest to takie proste i oczywiste. W omawianym miesięczniku Jacek Kochanowicz, historyk gospodarki, ukazuje pewne trudności i dylematy. Pisze on:

„W analogicznych sytuacjach nadzwyczajnych — na przykład w wypadku wojny — rządy krajów kapitalistycznych raczej ograniczały zakres działania rynku, aniżeli go rozszerzały. Niemcy w czasie obu wojen światowych, a nawet w latach trzydziestych, Anglia podczas obu wojen, a nawet Stany Zjednoczone w latach 1941—1945 wprowadziły szereg posunięć tego typu, jak częściowy przymus zatrudnienia, państwowa kontrola gospodarki materiałowej (czyli przydziały), reglamentacja zaopatrzenia ludności, kontrola płac i cen, zawieszenie wymienialności walut i poddanie handlu zagranicznego szczególnej kontroli władz, podporządkowanie zrzeszeń przedsiębiorstw kontroli państwa. (...) Przytoczone przykłady wskazują nie tylko na to, że w warunkach kryzysowych przejście do gospodarki rynkowej jest bardzo trudne. Wskazują one na inną jeszcze okoliczność, występującą w gospodarkach mocno ograniczonych zasobami, (a takie były gospodarki Europy Zachodniej, w czasie obu wojen i taka jest obecna gospodarka polska). Jeśli mianowicie jakieś dobra są niezbędnie potrzebne dla przetrwania lub stabilności danego układu społeczno-politycznego, to można się spodziewać, iż ci, którzy mają głos decydujący, będą starać się wymusić ich wytworzenie bez względu na koszty".

Nie ulega wątpliwości, że w naszych warunkach konieczna jest reforma gospodarcza. Werbalnie opowiadają się za nią wszyscy. Trudno jednak wskazać konkretne grupy społeczne, które byłyby bezpośrednio zainteresowane reformą. Wydaje się, że każda grupa — na krótką metę — ma więcej do stracenia niż do zyskania. Aparat biurokratyczny uległby zmniejszeniu i straciłby niektóre uprawnienia. Dyrektorzy nie mieliby już gwarantowanych przydziałów surowców i sprzętu po niskich cenach. Robotnicy straciliby pewność zatrudnienia. Sektor prywatny stanąłby wobec ostrzejszej konkurencji ze strony firm państwowych. Nawet obcy kapitał prawdopodobnie znalazłby się w gorszej sytuacji.

Jacek Kochanowicz przypomina, że trzeba było setek lat, aby gospodarkę zachodnią zaczął regulować rynek. Przez rynek musi bowiem przechodzić nie tylko praca, lecz również kapitał.

Na pytanie — czy reformę gospodarczą da się przeprowadzić? — autor odpowiada, że nie wiadomo... Trzeba jednak dążyć do przebudowy, ponieważ system nakazowo-rozdzielczy sprawdza się tylko w warunkach kryzysu i wojny bądź przy tzw. pierwszym pchnięciu, lecz nie nadaje się do stworzenia sprawnej, efektywnej i konkurencyjnej gospodarki.

O reformie ekonomicznej mówimy często i dużo. Realizujemy ją już kilka lat. Teraz wkraczamy w drugi etap. Nasuwa się więc pytanie zasadnicze:

CO REFORMA NAM DAŁA

Dotychczasowe efekty są problematyczne. Mówił o tym dyrektor Stanisław Grużewski w dyskusji na temat organizacji gospodarki, która odbyła się w redakcji „MIESIĘCZNIKA LITERACKIEGO" (nr 6 — druk ukończono w sierpniu).

„Reforma gospodarcza — czytamy — *która miała być panaceum na rozwiązanie wszystkich naszych trudności, nie przyniosła spodziewanych rezultatów. Wprawdzie produkcja przemysłowa kraju osiągnęła w roku 1986 poziom przedkryzysowy z roku 1979, ale wątpliwe jest, czy ten fakt można zapisać na konto reformy. Natomiast w odczuciu społecznym reforma w dotychczasowym jej wydaniu, realizowana w praktyce od 5 lat, doprowadziła bez wątpienia do gigantycznej podwyżki cen na wszystkie surowce, materiały i wyroby gotowe, poważnego wzrostu płac i świadczeń socjalnych, a w konsekwencji do wywołania ogromnej inflacji na rynku wewnętrznym i dalszego pogłębienia naszego zadłużenia wobec zagranicy"*.

Reforma nie spowodowała poprawy efektywności gospodarowania. Wciąż pracujemy po staremu. Zdaniem Stanisława Grużewskiego, należało przede wszystkim zdecydowanie rozszerzyć zakres działania sektora prywatnego. Argumentuje on następująco:

„To prawda, że nasze państwo jest biedne, ale znaczna część obywateli, która jest bogata, mogłaby zainwestować posiadane przez siebie zasoby gotówkowe, nie tylko złotówkowe, ale i dolarowe, w rozwój gospodarki. Takich warunków nie stworzono, bo na inicjatywę prywatną dalej patrzy się jak na zło konieczne. W rezultacie takiego podejścia władz do tego problemu bogaci obywatele naszego kraju zamiast inwestować w rozwój produkcji, czy usług, kupują luksusowe samochody zagraniczne, budują eleganckie wille, do których wyposażenie sprowadzają z zagranicy, zaopatrując się w towary importowane przez Pewex z krajów kapitalistycznych itp. Każdy kto bacznie obserwuje nasze miasta i wsie, widzi niezbicie, że w żadnym okresie Polski Ludowej nie jeździło po naszych ulicach i drogach tyle wytwornych samochodów sprowadzonych z krajów kapitalistycznych, co obecnie. Fakty te świadczą, że bogatsza część społeczeństwa podchodzi do życia w sposób konsumpcyjny i żyje na wysokiej stopie nie bacząc na kryzysowy stan naszej gospodarki".

Stanisław Grużewski daje nam za przykład do naśladowania Włochy. Kraj ten przeżywa kolejny cud gospodarczy i pod względem produktu narodowego brutto prześcignął Wielką Brytanię. A wszystko to dzięki mądrej polityce rządu, który stworzył warunki do rozwoju małych i średnich przedsiębiorstw. Autor wypowiedzi wskazuje dalej na

KATASTROFALNY STAN BUDOWNICTWA.

W tej dziedzinie mamy do czynienia już nie tylko z kryzysem, lecz wręcz z katastrofą. Wystarczy podać, że w ubiegłym roku wybudowano zaledwie 127 tysięcy mieszkań. Oznacza to cofnięcie budownictwa mieszkaniowego o 20 lat.

„A pomimo tego — czytamy — *nie podejmuje się żadnych radykalnych działań aby temu zaradzić. Bo nie można uznać za działanie radykalne przeprowadzenia kolejnej reorganizacji ministerstwa budownictwa, czy zmiany już któryś raz z rzędu ministra tego resortu. Na marginesie warto tu zauważyć, że mimo katastrofalnych wyników w budownictwie, ministrowie kierujący tym resortem jakoś nie ponoszą odpowiedzialności za ten stan rzeczy, wręcz przeciwnie, otrzymują inne, bardziej intratne posady, jak chociażby stanowisko ambasadora w Libii"*.

Dyrektor Grużewski ostro krytykuje centrum życia gospodarczego. Miała nastąpić redukcja aparatu centralnego, a faktycznie wzrosła liczba urzędników. Niegdyś URM kierował jeden minister, a teraz jest minister, sekretarz stanu i kilku podsekretarzy stanu. Rozbudowano też do niespotykanych rozmiarów personel kierowniczy resortów gałęziowych. W niektórych ministerstwach spotyka się do 30 departamentów. A przecież czas już najwyższy, żeby doprowadzić do likwidacji ministerstw branżowych i utworzyć jedno ministerstwo przemysłu.

Na zakończenie zmuszony jestem po raz pierwszy w tej rubryce zamieścić

SPROSTOWANIE

W przeglądzie z ubiegłego tygodnia (nr 36) złośliwy chochlik drukarski zamienił słowo charyzmat na horyzont (szpalta 1, wiersz 20 od góry) i w dodatku — co już jest skandaliczne — w tym drugim zrobił błąd. Mam nadzieję, że więcej nic podobnego się nie powtórzy.

E. L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Obraza majestatu?

Co najmniej pod jednym względem nie mamy w świecie dobrej opinii, zwłaszcza w krajach ostatnio częściej i liczniej nawiedzanych przez naszych obywateli, i to bez względu na ustrój. Odnosiłem zresztą wrażenie, że polska opinia publiczna niewiele sobie robiła z pogarszającej się stale opinii Polaków, kwitując ochłodzenie się dość silnych niegdyś sympatii propolskich lakonicznym stwierdzeniem: „Nie lubią nas", w czym więcej nieraz było urazy niż zastanawiania się nad przyczynami i więcej odwzajemniania niechęci niż dążenia do naprawy stosunków.

Owszem, wielu z nas zdawało sobie sprawę, że winowajcami złej reputacji naszych rodaków są tak rozplenieni przecież nasi handlarze i szmuglerzy. Nagle jednak nastąpił dość wyraźny zwrot nastrojów i dała o sobie znać nieczęsto spotykana solidarność, niemal wszyscy zaczęli naraz się oburzać na spotykające rodaków przykrości i szykany zagranicznych władz celnych, jak gdyby sławetni polscy macherzy od nielegalnych transakcji przestali z dnia na dzień istnieć. Skąd taka zmiana?

Do niedawna między państwami naszego obozu i zwłaszcza środkami masowego przekazu istniała niepisana umowa, jakby oficjalnego niezauważania wykroczeń i zadrażnień w turystyce krajów zaprzyjaźnionych, podobnie, jak w wyrządzanych sobie wzajemnie szkodach ekologicznych, które też należały do tematów „tabu". Wprawdzie prywatnie i po cichu nie brakło pretensji do rządów państw sojuszniczych w sprawie zbyt rygorystycznego i nieraz szorstkiego egzekwowania przepisów celnych, niejedno też po plotkarsku wyolbrzymiano, inaczej traktując własne krzywdy i nieprawości, niż cudze. W każdym razie stan taki wydawał się przez długi czas normalny i niezmienny.

Tymczasem jednak coraz silniejsza tendencja do jawności życia w poszczególnych krajach socjalizmu zaczęła najwidoczniej oddziaływać i na ich wzajemne stosunki w kierunku bardziej otwartego nazywania pojawiających się zakłóceń harmonijnego współżycia. Taka atmosfera jest też z pewnością niezbędna dla wzajemnej publicznej dyskusji na temat „białych plam" w historii. Nie sposób więc uniknąć we wzajemnych stosunkach zgłaszania jawnych pretensji do obywateli naruszających przepisy celne, a nawet zastosowania pewnych ograniczeń i restrykcji.

Moim zdaniem więc polska opinia publiczna, łącznie z środkami masowego przekazu, zareagowała na te zmiany niezupełnie właściwie, zamiast bowiem ograniczyć się do tematyki stosowania przez obce władze nie zawsze najwłaściwszych metod, np. odpowiedzialności zbiorowej, godzącej również w ludzi pozostających w zgodzie z przepisami prawa i normami współżycia narodów, ujęła się honorem i pod wpływem solidarystycznej emocji zaczęła z ledwie skrywanym triumfem podawać do wiadomości wykroczenia popełniane przez przybywających do Polski zagranicznych turystów, z wyraźnym podtekstem: „A widzicie, wcale nie jesteście lepsi!".

Bardzo wątpię czy oddziała to wychowawczo na naszych globtroterów, uprawiających podróże w celach całkowicie pozaturystycznych, którzy mogą raczej poczuć się w ten sposób rozgrzeszeni. Drapieżne wilki (czy raczej przebiegłe lisy) przeobleczone w skórę niewinnych jagniąt zaczną teraz (jestem tego pewien), zasypywać odpowiednie władze licznymi skargami na szykany, których doznają wyłącznie ze względu na jakąś międzynarodową antypolską zmowę.

JERZY KWIECIŃSKI

Do uczestników obozu „AWANGARDA XXI" w Załęczu Wielkim

W nawiązaniu do listu uczestników obozu „Awangrada XXI", w Załęczu, woj. sieradzkie, opublikowanego w Waszym czasopiśmie proszę o opublikowanie niniejszego tekstu.

DRODZY PRZYJACIELE

Wprawdzie treść Waszego listu opublikowanego w „Odgłosach" różni się od wielce sympatycznego klimatu w jakim odbyliśmy wspólne, kilkugodzinne spotkania, tym niemniej będzie mi bardzo miło, jeśli w październiku zechcecie ponownie przyjąć moje zaproszenie na spotkanie tym razem na niwie gościnnej redakcji.

Być może uda nam się wspólnie wypracować lepszy model kolejnego obozu „Awangrada XXI" w 1988 r.

Z serdecznymi pozdrowieniami
dr **JAN NOSKO**
WICEPREZYDENT MIASTA ŁODZI

Redakcja „Odgłosów" ustali termin spotkania i ogłosi go na swoich łamach oraz zawiadomi uczestników obozu „Awangarda XXI" poprzez ich szkoły.

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— Kilkugodzinne patrzenie na estradę jest jałowe i nudne. Nie wytrzymuję trzygodzinnego koncertu. Mój temperament na to nie pozwala. A poza tym zaglądanie za kulisy jest ciekawsze — mówi **JANUSZ ATLAS** w rozmowie z **BOHDANEM GADOMSKIM.**

— Co to znaczy, wygrać Wimbledon? — wyjaśnia **ZOFIA KĘDZIORA** w korespondencji z Wielkiej Brytanii.

— Nie było łatwo Aleksandrowi Fadiejewowi znaleźć wspólny język z Nikitą Chruszczowem. Nie podobało mu się jego grubiaństwo, poufałość i bezceremonialność. Żadnej samokrytyki... — artykuł o losach i tragicznej śmierci wybitnego pisarza.

— Czy Polki chodzą dobrze ubrane? Czy lepiej wyglądają od Angielek, Francuzek i Rosjanek? — reportaż **WŁODZIMIERZA KUPISZA.**

— Dalszy ciąg „Dzieci Arbatu" i wspomnień **ADAMA OCHOCKIEGO.**

Szpital - Pomnik Centrum Zdrowia Matki Polki

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI

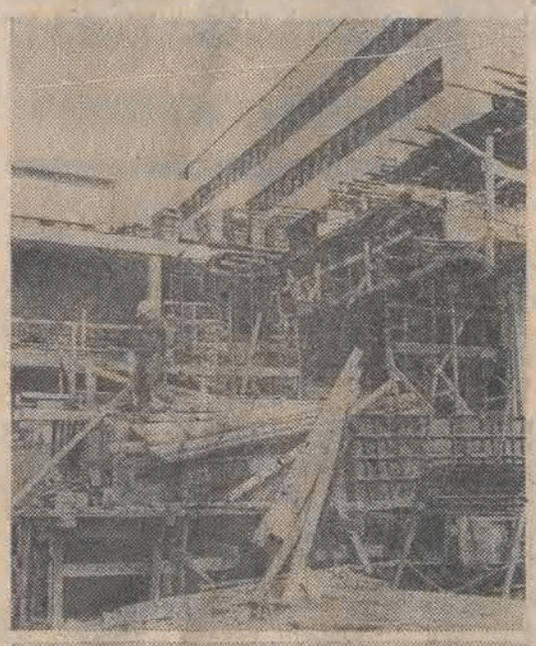

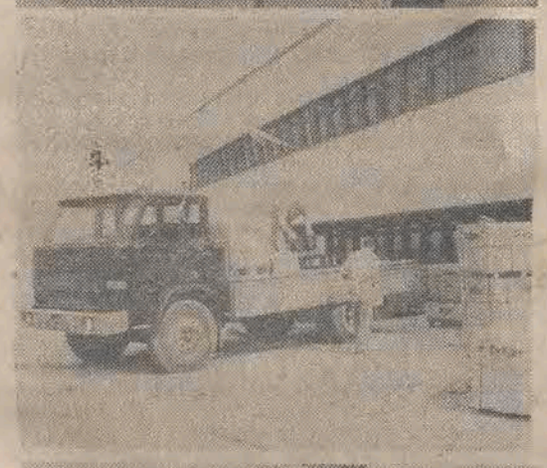

Przyłączenie Łodzi wraz z okolicami do Rzeszy 9 listopada 1939 roku spowodowało, że miasto stało się obiektem zainteresowania ze strony hitlerowskich ekspertów przygotowujących plany przesiedleń. Duża przemysłowa aglomeracja nadawała się doskonale na miejsce osiedlenia dla Niemców bałtyckich, mimo niezbyt wysokiego przeciętnie standardu lokali mieszkalnych. Leżąc blisko granicy z Generalną Gubernią Łódź posiadała także dogodne połączenia kolejowe i drogowe z jej obszarami. Stwarzało to możliwości łatwego transportu do GG osób wysiedlonych z Łodzi i okolic oraz umożliwiało utworzenie tu punktu przerzutowego przy organizowaniu wysiedleń z dalszych terenów „Kraju Warty". Wszystko to spowodowało, że Łódź przekształciła się w główny ośrodek hitlerowskiej akcji przesiedleń ludności z centralnej Polski.

Aczkolwiek kierująca wysiedleniem Polaków i Żydów z „Kraju Warty" Centrala Przesiedleńcza (Umwanderezentralstelle) znajdowała się w Poznaniu, to praktycznie realizacją polityki wysiedleńczej zajmował się jej łódzki oddział. Od kwietnia 1940 roku szefem jego był SS-Obersturmbannführer Hermann Krumey. Urzędował w gmachu przy ul. Piotrkowskiej 133. Pod jego kontrolą znajdował się cały aparat zajmujący się wysiedlaniem i na jego rozkaz przeprowadzono poszczególne akcje.

Wysiedlanie Polaków i Żydów w Łodzi przybrało w zasadzie dwie formy. — Jedna — to właściwe wysiedlenia, czyli wywóz ludności poza granice miasta — głównie do Generalnej Guberni. Druga — to rugi, czyli przenoszenie z lepszych mieszkań do gorszych, ale w granicach miasta. W początkowym okresie okupacji dominowała pierwsza forma.

PIERWSZE WYSIEDLANIA

Przygotowania do przeprowadzenia masowych wysiedleń mieszkańców Łodzi zaczęły się już w połowie listopada 1939 roku. Miały one służyć hitlerowcom do realizacji dwóch celów. Chodziło o zapewnienie miejsca dla Niemców z krajów nadbałtyckich i z Rzeszy oraz usunięcie z miasta osób mogących pełnić wśród Polaków lub Żydów role przywódcze. W pierwszej fazie wysiedlano osoby działające przed wojną w różnego rodzaju polskich organizacjach: urzędników, wojskowych, policjantów, nauczycieli, przedstawicieli wolnych zawodów itp.

Pierwsza fala wysiedleń nastąpiła w dniach 1—17 grudnia 1939 roku. Wysiedlano wtedy Polaków i Żydów głównie ze śródmieścia, a także z pojedynczych domów w innych dzielnicach.

Po rozpoczęciu godziny policyjnej oddziały hitlerowskiej policji oraz złożonego z miejscowych Niemców Selbstschutzu otaczały domy, w których znajdowały się mieszkania przeznaczone do opróżnienia. Hitlerowcom zależało, aby nikt z przewidzianych do wysiedlenia nie zdołał go uniknąć. Wysiedleń dokonywano przez całkowite zaskoczenie.

Wysiedlano w sposób niezwykle brutalny. Śpiących budził łomot do drzwi. Hitlerowcy wdzierali się do mieszkań i kazali przebudzonym lokatorom szybko je opuszczać. Czas dawany na wyjście z mieszkania zależał od przeprowadzających wysiedlenie policjantów i wahał się od 10 do 30 minut. Często zdarzały się też wypadki dotkliwego pobicia osób wyrzucanych z mieszkań.

Teoretycznie — według przepisów wydanych przez władze okupacyjne — osoby wysiedlane powinny zabrać z sobą ręczny bagaż zawierający zapas żywności na okres transportu oraz odpowiedni ubiór (dwie zmiany bielizny, ko itp.). Rzeczywistość była jednak zupełnie inna. Szczególnie w pierwszym okresie mało komu udawało się zabrać z sobą większy bagaż. Wyrwani ze snu i popędzani przez hitlerowców mieszkańcy nie mieli często w ogóle możliwości spakowania czegokolwiek. Zupełnie lekceważąc sobie instrukcje własnych władz, dające wysiedlanym możliwość zabrania przynajmniej niewielkiego bagażu, hitlerowscy funkcjonariusze z niesamowitą gorliwością wypełniali polecenia zmierzające do uniemożliwienia zabrania przez wysiedlonych jakichkolwiek rzeczy. Nie wolno było wysiedlanym wywozić obcych walut, kosztowności, metali szlachetnych, kryształów, dzieł sztuki, a nawet pościeli i kożuchów. Jeżeli komuś udało się zabrać z domu jakieś klejnoty, to i tak odbierano mu je później, podczas przeprowadzanej przed wyjazdem rewizji. Cały majątek pozostawiany przez wysiedlanych podlegał konfiskacie na rzecz Niemiec.

Wysiedlonych transportowano najpierw do łaźni miejskiej przy ul. Wodnej, gdzie poddawano ich kąpieli, a następnie przewożono do niedawno utworzonego więzienia w Radogoszczy. Był to — przez krótki okres — obóz przejściowy. Warunki pobytu były tam tragiczne. Jednak na szczęście dla wysiedlanych nie byli tam długo, gdyż hitlerowcy starali się jak najszybciej wyekspediować ich z Łodzi. Z Radogoszczy transportowani byli na Dworzec Kaliski i koleją wywożono ich do GG.

Podróż była dla nich prawdziwą gehenną. Odbywała się w towarowych nie ogrzewanych wagonach, które były zamknięte przez całą drogę. Tłok był straszliwy. Często w wagonach, w których — według instrukcji wydanych przez hitlerowskie władze — powinno przewozić się 50 osób, transportowano ponad stu wysiedlonych Polaków. Wielu ludzi doznawało odmrożeń. Były też ofiary śmiertelne. Sytuacja łodzian była mimo to lepsza niż wysiedlanych z Wielkopolski, których podróż była znacznie dłuższa, przy czym szczególnie dokuczliwe były długie postoje w Kutnie i na Dworcu Kaliskim.

Trudne warunki atmosferyczne i brak możliwości transportowych zmusiły hitlerowców do przerwania wysyłki łodzian do GG. Przerwa ta trwała do lutego 1940 roku. Nie zaprzestano jednak wypędzania Polaków z domów. Na mieszkanie czekali bowiem Niemcy. Wypędzanych z mieszkań Polaków umieszczano, do czasu uruchomienia transportów, wysiedleńców do GG, w specjalnie zorganizowanych obozach przesiedleńczych. W końcu 1939 roku powstał taki obóz w murach fabryki Gliksmanna przy ul. Łąkowej 4.

Nowa fala wysiedleń nastąpiła przed świętami Bożego Narodzenia. Objęła ona jedynie pojedyncze rodziny ze śródmieścia. Natomiast niezwykle perfidnym posunięciem władz hitlerowskich było wypędzanie na trzaskający mróz części mieszkańców osiedla im. Józefa Montwiłła-Mireckiego na Polesiu Konstantynowskim w noc sylwestrową z 31 grudnia 1939 roku na 1 stycznia 1940 roku. Pokazano w ten sposób, że Polacy w żadnej chwili nie mogą się czuć bezpiecznie, a hitlerowcy mogą robić co im się tylko podoba. Resztę mieszkańców tego osiedla wysiedlono w nocy z 14 na 15 stycznia 1940 roku.

Polacy musieli opuszczać mieszkania w ciągu kilkunastu minut zabierając z sobą niewielki bagaż. Po opuszczeniu domów byli ładowani do autobusów i przewożeni do obozu przy ul. Łąkowej. Tam poddawano ich szczegółowej rewizji, w trakcie której ograbiano ich z cenniejszych rzeczy. Następnie zapędzano ich do sal.

NA ŁĄKOWEJ

Warunki pobytu w obozie były straszliwe. Ludzie początkowo spali na papierze pakowym, gdyż słomę przywieziono dopiero po paru dniach. Tłok był tak duży, że niektórzy z braku miejsca w salach, które stanowiły dawne hale fabryczne, musieli spać na schodach. Średnio na jedną osobę przypadał 1 m kwadratowy powierzchni. Budynek nie był skanalizowany. Na podwórzu znajdowała się latryna i kilka kranów z zimną wodą. Nie było ani wody ciepłej, ani mydła czy środków piorących. W obozie panował straszliwy brud. Roiło się od wszelkiego rodzaju robactwa. Grasowały myszy i szczury. W zatłoczonych salach odbywały się porody, a niemowlęta obmywano w kawie. Jedzenie składało się jedynie z czerstwego chleba i wodnistej zupy. Szerzyły się choroby. Hitlerowcy początkowo nie zapewniali w obozie żadnej pomocy medycznej, a dopiero później — obawiając się epidemii — zorganizowali izbę chorych i przydzielili niewielkie ilości leków.

Wszystko to działo się w czasie ostrych mrozów, kiedy trzeba było przebywać przez wiele dni w obozie, oczekując na wywiezienie z Łodzi.

Podobne warunki były w pozostałych obozach przesiedleńczych, które hitlerowcy zlokalizowali przy ul. Kopernika 53, przy ul. 28 Pułku Strzelców Kaniowskich 32 (obecnie Hutora), przy ul. Żeligowskiego 41/43 oraz w Konstantynowie.

NOWA FALA TRANSPORTÓW DO GG.

W lutym 1940 roku hitlerowcy wznowili transportowanie wysiedlonych do Generalnej Guberni. Teraz wywożono jedynie samych Polaków. Dla Żydów postanowili oni utworzyć w Łodzi duże getto. Transport wysiedlonych był już lepiej przygotowany niż w grudniu 1939 roku. Nie było już tak dużej liczby wypadków śmierci w czasie podróży, która też trwała krócej niż poprzednio. Nadal jednak wagony nie były ogrzewane i brakowało żywności.

Przez cały 1940 rok trwało wysiedlanie mieszkańców Łodzi. Jednakże rozmiary wysiedleń nie były już tak duże jak w pierwszym okresie. Złożyło się na to wiele przyczyn. Na przełomie 1939 i 1940 roku hitlerowcy wysiedlili z Łodzi większość osób, które uważali za niebezpieczne ze względów politycznych. Potrzeby lokalowe Niemców zostały już zaspokojone, kosztem ludności polskiej. Osiedlani na ziemi łódzkiej w 1940 roku Niemcy z Wołynia i okolic Chełma byli rolnikami i osiedlali się w podłódzkich wsiach.

Wysiedlenia te miały nadal brutalną formę. Wyrzuceni znienacka z mieszkań ludzie musieli przebywać często dość długo w obozach przesiedleńczych, gdzie poddawani byli różnego rodzaju selekcjom, które miały na celu wybranie osób zdatnych według hitlerowców do zniemczenia, a także ludzi potrzebnych do pracy na terenie Niemiec. Pozostałych wywożono do G.G.

W początkach 1941 roku akcja wysiedleńcza uległa pewnemu zintensyfikowaniu, gdyż okupanci zrobili miejsce dla Niemców przesiedlanych z Besarabii i Bukowiny. Wysiedlenia dotknęły teraz głównie dzielnice małych domków: Julianów, Karolew i Radogoszcz, gdzie zabudowania były w dużo lepszym stanie niż na Widzewie czy Chojnach. Niemcy besarabscy i bukowińscy interesowali się bowiem chętniej wolno stojącymi domkami na przedmieściach niż mieszkaniami w centrum.

Wysiedlenia łodzian do GG zakończyły się w połowie marca 1941 roku. Niemcy hitlerowskie szykowały się do wojny z ZSRR. Transport potrzebny był dla środków transportowych niezbędnych dla zaopatrzenia Wehrmachtu. W latach 1941—1944 wysiedlono tylko niewielką liczbę łódzkich rodzin do Niemiec i Francji. W sumie od początku grudnia 1939 roku do końca października 1944 roku wysiedlono poza Łódź 33 3 osób.

Wysiedlenia przybrały teraz postać przekwaterowań w obrębie miasta przenoszenia z lepszych mieszkań do gorszych. Pierwszymi takimi przesiedleniami były przekwaterowania związane z tworzeniem łódzkiego getta. Przesiedlenia te zaczęły się w lutym, a zakończyły w końcu kwietnia 1940 roku.

MIEJSCE POD GETTO

Nowe miejsca zamieszkania dla Niemców wyznaczano indywidualnie, dając im przeważnie lepsze mieszkania, niż te, które musieli opuścić. Prócz tego, jeśli sami znaleźli sobie jakieś wolne mieszkanie, to mogli je otrzymać. Polakom zaś, wyznaczono do zasiedlenia pomieszczenia w najgorszych dzielnicach miasta, a Żydów przesiedlanych do getta umieszczano w pomieszczeniach opuszczonych przez Aryjczyków.

Przesiedlenia te miały o wiele łagodniejszy przebieg niż wysiedlenia. Osoby przesiedlane były wcześniej uprzedzane, kiedy będą musiały opuścić swoje mieszkanie i miały czas się do tego przygotować. Co tydzień ogłaszany był plan przesiedleń. Przesiedlani z terenu przeznaczonego na getto Niemcy mieli kilka dni na przeprowadzkę. Mieli prawo zabrać cały swój ruchomy dobytek i władze musiały dostarczyć im odpowiednie środki tarnsportowe. Za poniesione straty otrzymywali odszkodowanie.

Zupełnie inaczej wyglądało przesiedlanie Polaków i Żydów. Przeprowadzano od razu całe ulice. Na określony dzień wyznaczano do przekwaterowania mieszkańców określonych domów. Musieli oni wtedy być w domu i mieć zapas żywności na cały dzień. Zabrać z sobą mogli tyle mienia, ile zdołali unieść. Nie było zakazu zabierania z sobą czegokolwiek, ale na przeszkodzie do przeniesienia całego dobytku stał brak możliwości transportowych. Za pozostawione mienie ani Polacy, ani Żydzi nie otrzymywali żadnego odszkodowania.

Przesiedlenia związane z tworzeniem getta zapoczątkowały trwające aż do końca okupacji wypieranie Polaków z lepszych mieszkań do gorszych. Władze okupacyjne starały się każdej niemieckiej rodzinie zapewnić w Łodzi samodzielne mieszkanie. To wypieranie Polaków do gorszych dzielnic było dla okupanta nawet korzystniejsze niż wysiedlenia do GG, gdyż nie pozbawiało łódzkiego przemysłu niewolniczej siły roboczej oraz nie wymagało angażowania środków transportu.

Przekwaterowania takie wyglądały następująco. Najpierw władze okupacyjne sporządzały listę mieszkań Polaków, które z uwagi na stosunkowo dobry standard interesowały niemieckich osadników. Kiedy powstało ze strony Niemców zapotrzebowanie na te mieszkania, to Polacy byli przekwaterowani. Gdy planowano osiedlenie większej grupy niemieckich przesiedleńców, hitlerowcy sami wyznaczali, kiedy i kogo się przekwateruje. Była to dla Polaków najgorsza forma rugowania z mieszkania, gdyż o tym co mogą z niego zabrać decydował wtedy przedstawiciel hitlerowskich służb bezpieczeństwa nadzorujący osiedlanie Niemców i z reguły niewiele pozwalał zabrać.

W KAŻDEJ CHWILI MOŻNA BYŁO BYĆ WYRZUCONYM.

Lepiej już wyglądała sytuacja, gdy przekwaterowanie miało charakter indywidualny. Potrzebujący mieszkania Niemiec zgłaszał się do odpowiedniego wydziału w Zarządzie Miejskim, gdzie dawano mu spis mieszkań lub domków o odpowiednim standardzie i powierzchni jaka mu przysługiwała. Informowano go przy tym, że zamieszkujący tam Polacy zostaną natychmiast przesiedleni, jeśli na dane mieszkanie będzie reflektował. Następnie Niemiec odwiedzał i oglądał mieszkania. Kiedy któreś mu się wreszcie spodobało, Polacy musieli je opuścić w ciągu kilku dni. O tym, co mogli z sobą zabrać decydował Niemiec przejmujący mieszkanie. W przypadku, gdy był to Niemiec z Rzeszy, to czasem nawet pozwalał Polakom pozostać w jednym pomieszczeniu i pełnić rolę służby.

Inna była sytuacja, gdy mieszkanie przejmował miejscowy volksdeutsch. Mieli oni bowiem prawo do poprawienia sobie warunków mieszkaniowych kosztem Polaków. Wystarczyło, że zgłosił on władzom chęć zamieniania się mieszkaniami z jakąś polską rodziną i w krótkim czasie mieszkał już w jej mieszkaniu. W takim wypadku niekiedy pozwalał Polakom zabrać z sobą część sprzętów, gdyż sam posiadał lepsze.

Stosunkowo jeszcze najlepsze warunki przekwaterowania były wtedy, gdy mieszkanie zabierała Polakom jakaś niemiecka instytucja na lokal biurowy. Wtedy można było zabrać z sobą większość dobytku.

Jeśli wysiedlani mieli możliwość znalezienia mieszkania u krewnych czy znajomych, to nie czyniono im żadnych przeszkód. Gdy natomiast nie byli w stanie sobie sami znaleźć nowego pomieszczenia, władze okupacyjne wyznaczały im je same, dokwaterowując wyrugowanych do mieszkania jakiejś polskiej rodziny bądź przeznaczając im do zamieszkania jakieś niemieszkalne pomieszczenie jak strych czy piwnica.

Wszystkie lepsze mieszkania i domy w Łodzi zostały zajęte przez ludność niemiecką. Polacy natomiast zostali zepchnięci do gorszych mieszkań, które w dodatku na skutek ciągłego dosiedlania ludzi wyrugowanych stały się potwornie przepełnione. Nad Polakami stale ciążyło widmo wykwaterowania do gorszego pomieszczenia. Zdarzało się nawet, że przesiedleni do gorszego mieszkania Polacy remontowali swoje nowe lokum i gdy doprowadzili je do porządnego stanu, to znajdował się na nie reflektant-Niemiec i zostawali ponownie wyrugowani do gorszego. Dlatego często Polacy, aby uniknąć ponownego celowo zaniedbywali swoje mieszkania. Poobdzierane ściany i poniszczone sprzęty skutecznie odstraszały chętnych do przejęcia cudzego mienia.

W latach 1941—1943 było 103 285 przymusowych przeprowadzek. Były one częścią realizowanej z żelazną konsekwencją hitlerowskiej polityki narodowościowej, której celem było szybkie przekształcenie Łodzi w niemieckie miasto. W perspektywicznych planach wszyscy Polacy mieli być wysiedleni, a ich miejsce mieli zająć niemieccy osadnicy. Zrealizowanie tych planów byłoby możliwe dopiero po wygranej przez hitlerowców wojnie. Dlatego w trakcie jej trwania okupanci musieli zadowolić się usunięciem z miasta tylko części Polaków, ale rugując ich do gorszych pomieszczeń i dyskryminując na każdym kroku, pokazywali wszystkim mieszkańcom, co stałoby się, gdyby hitleryzm nie został zwyciężony.

PAWEŁ DZIECIŃSKI

ŁÓDŹ: historia, wspomnienia, relacje

Jak podczas okupacji Niemcy wysiedlali Polaków?

Jacy są Rosjanie?

Narody słowiańskie trzymały się prawosławia, germańskie wybrały protestantyzm, a romańskie pozostały przy katolicyzmie

EDMUND LEWANDOWSKI

W ramach wielkiej rodziny ludów indoeuropejskich Słowianie i Germanie należą do dwu różnych podgrup językowych: „satem" i „kentum". W pierwszej znajdują się języki bałtosłowiańskie, indoirańskie i trackoormiańskie. Drugą tworzą gałęzie, germańska, grecka, italoceltycka, tocharska, ilisyjskowenecka i luwihetycka.

Podstawą tego rozróżnienia jest fakt, że pewna liczba pokrewnych wyrazów ma w językach pierwszej grupy przedniojęzykowe spółgłoski syczące, a w drugiej twarde tylnojęzykowe. Sam wyraz „satem" znaczył po awestyjsku „sto" (100); i podobnie jest w sankryckim — „satam", litewskim — „simtas" itd. Natomiast po łacinie liczebnik sto ma formę „centum", w staroirlandzkim — „ced" (ze spółgłoską „k" na początku), w tocharskim — „kant", gockim — „hund". Ta sama różnica występuje w przypadku słowa „serce", które w łacińskim brzmi „cor, cordis".

Istnieje hipoteza, że rodziny „kentumowe" wcześniej opuściły praojczyznę indoeuropejską (stepy nadkaspijskie) niż „satemowe". Stąd języki pierwszej grupy nazywane są peryferyjnymi, drugiej zaś centralnymi. Prawdopodobnie dopiero po odejściu „kentumowców" nastąpiło uprzednienie palatalnych spółgłosek. W każdym razie różnica między Germanami i Słowianami zarysowała się w zamierzchłych czasach.

Niepodobna dziś wyjaśnić, dlaczego przodkowie Germanów udali się na surową, niegościnną północ i znaleźli ojczyznę w południowej Skandynawii. Byli już tam w połowie II tysiąclecia p.n.e. Prasłowianie z kolei trwale osiedlili się na rozległych obszarach od Dniepru po Odrę. Odmienne znaczenia słowa „berg" — góra u Germanów i brzeg u Słowian — pozwalają przypuszczać, że w praojczyźnie słowiańskiej nie było gór, lecz tylko urwiste brzegi rzek.

Jeśli prześledzić najstarsze doniesienia, to można odnieść wrażenie, że Germanie od początku byli bardziej wojowniczy, zdyscyplinowani i ruchliwi niż Słowianie. Tacyt pisał, że właściwością ludów germańskich jest *„posłuszeństwo wobec królów"*. Plemiona Gotów, Wandalów, Burgundów, Longobardów przemierzały ogromne przestrzenie i wszędzie organizowały państwa.

Słowianie zachowywali się inaczej. Wskazuje na to bizantyjski podręcznik sztuki wojennej z przełomu VI i VII wieku. Nieznany autor tak charakteryzuje Słowian:

„Będąc anarchicznego usposobienia i nienawidząc się wzajemnie nie znają szyku bojowego i nie lubią walczyć w zwartych oddziałach, ani pojawiać się na otwartych i równych miejscach. (...) Niewierni są w najwyższym stopniu i nie stosują się do układów, ustępując raczej przed strachem niż dając się zmęcić darami. Gdy bowiem zajdzie pomiędzy nimi różnica zdań, wówczas albo w ogóle nie mogą dojść do zgody, albo nawet jeśli się pogodzą, to postanowienia ich zaraz inni przekroczą, jako że każdy myśli co innego i żaden nie chce ustąpić drugiemu".

Bizantyjski specjalista od taktyki wojskowej wiedział ponadto, że plemiona Sklawów i Antów są *„nawykłe do wolności"* i na własnej ziemi w żaden sposób nie pozwalają się ujarzmić. Obcych przybyszy traktują bardzo życzliwie i gościnnie.

O głęboko zakorzenionym anarchizmie Słowian wspomina również pierwsza historia Rusi — *„Powieść minionych lat"* — pochodząca z początku XII stulecia. Wynika z niej, że państwo ruskie utworzyli normańscy Waregowie ze Skandynawii, ponieważ wśród Słowienów nowogrodzkich nie było „prawdy", czyli ładu prawnego.

„I poszli za morze — czytamy — *ku Waregom ku Rusi i powiedzieli: Ziemia nasza wielka i bogata, a porządku w niej nie ma. Pójdźcie kniażyć i władać nami. I wybrali się trzej bracia z rody swoimi, wzięli ze sobą wszystką Ruś i przyszli: starszy Ruryk siadł w Nowogrodzie, a drugi Sineus w Biełoozierze, a trzeci Truwor w Izborsku. I od tych Waregów przezwała się ziemia ruska."*

Dwaj ludzie Ruryka, Askold i Dir, zajęli Kijów i zaczęli władać *„polską ziemią"* — to znaczy krainą Polan naddnieprzańskich. A później następca Ruryka, Oleg, przeniósł swą stolicę około 882 roku do Kijowa i wokół tego grodu zaczął jednoczyć plemiona wschodniosłowiańskie. W dziesiątym stuleciu Normanowie zdominowali w Rusi handel i dyplomację. Język szwedzki wyszedł tu z użycia w XIII wieku. Waregowie ulegli rusyfikacji, a ściślej sławizacji.

Naród ruski powstał więc we wczesnofeudalnym państwie Rusi Kijowskiej.

Autor najstarszego latopisu miał jednak świadomość jedności etnicznej wszystkich Słowian. Pisał bowiem następująco:

„Był jeden naród słowiański: Słowianie, którzy siedzieli nad Dunajem i których pobili Węgrzy, i Morawianie i Czesi i Lachowie i Polanie, teraz zwani Rusią".

Począwszy od XIV wieku naród ruski stopniowo i niepostrzeżenie dzielił się na trzy grupy narodowe — Ukraińców, Białorusinów i Rosjan. Stało się tak, ponieważ Ruś południowo-zachodnia dostała się pod panowanie Litwy i częściowo Polski, a północno-wschodnia kształtowała się w walce o wyzwolenie spod jarzma mongolsko-tatarskiego. Od wieku XVII Ruś Moskiewską zaczęto określać mianem Rosji.

W ciągu bieżącego tysiąclecia z głównych odłamów Słowiańszczyzny najbardziej wzrosła liczba Słowian wschodnich (grupa rosyjsko-ukraińsko-białoruska) — aż 48 razy, następnie zachodnich (grupy polska, czesko-słowacka i łużycka) — 26 razy i najmniej południowych (grupy serbsko-chorwacko-słowieńska i bułgarsko-macedońska) — 21 razy. W roku 1980 Słowianie liczyli 272 mln osób; w tym Rosjanie stanowili 50 proc., Ukraińcy — 15 proc., Polacy — 13 proc., Białorusini — 3 procent (razem cztery piąte).

Trzeba przyznać, że największy sukces historyczny osiągnęła grupa wielkoruska, posiadająca domieszkę ugrofińską i bałtyjską. Zrzuciła twarde jarzmo mongolskie, wywalczyła dojście do Bałtyku i Morza Czarnego, zagospodarowała ziemie od Uralu po Ocean Spokojny, rozgromiła potężne armie inwazyjne Francji Napoleona i Niemiec Hitlera, stworzyła państwo o rozmiarach kontynentalnych.

Na charakter narodowy Rosjan miało m.in. wpływ pięć ważnych czynników: religia prawosławna i bliskie kontakty z kulturą bizantyjską, ideologia imperialna *„trzeciego Rzymu"*, absolutyzm państwowy, słabość arystokracji i mieszczaństwa, wspólnota wiejska („obszczina").

Przyjęcie w 988 roku przez księcia Włodzimierza Wielkiego chrztu z Bizancjum w znacznym stopniu określiło przyszły rozwój Rusi i Rosji. Prawosławie jest religią państwową, uczącą pokory i szacunku wobec władzy politycznej. Przez wieki duchowni powtarzali wiernym: *„Boga się bójcie, kniazia czcijcie"*. Nierzadko byli to mnisi i kapłani greccy, którzy zaszczepiali wzory kulturowe Cesarstwa Bizantyjskiego — państwa wielonarodowego, całkowicie scentralizowanego i despotycznego, rządzonego przy pomocy potężnej i skorumpowanej biurokracji, przepojonego duchem szczególnej misji w świecie oraz ideą stworzenia królestwa Bożego na ziemi. Za wspaniałym ceremoniałem dworskim kryły się intrygi, zabójstwa lub otrucia cesarzy, gwałtowne wzloty i upadki dostojników.

Kronikarze ruscy podają, że Włodzimierz badał *„wszystkie wiary"*. Przyjął Bułgarów wyznających islam, Niemców przysłanych z Rzymu przez papieża, Żydów chazarskich i chrześcijan obrządku greckiego. W religii islamskiej nie podobały mu się obrzezanie, zakaz spożywania mięsa wieprzowego i picia alkoholu. W tej ostatniej sprawie powiedział: *„Picie to Rusi wesele, bez tego się obejść nie możem"*.

Religia prawosławna nie wykorzeniła nawyku pijaństwa. Charakteryzując przełom XIX i XX wieku, socjolog węgierski László Gyurkó podkreśla, że nigdzie nie było tylu marzycieli i pijanych co w Rosji. *„Cały kraj spowity był w oparach kadzidła i samogonu..."* — czytamy.

W końcu maja 1453 roku armia turecka zdobyła Konstantynopol i położyła kres chrześcijańskiemu Cesarstwu Bizantyjskiemu. Metropolita moskiewski uznał, że odtąd istnieje tylko jeden prawdziwy Kościół na świecie — Kościół Rusi. W 1480 roku księstwo moskiewskie uwolniło się od zwierzchnictwa Tatarów. W 1512 roku mnich Filoteusz pisał do swego pana Wasyla III.

„Uważaj i słuchaj, pobożny carze, wszystkie carstwa chrześcijańskie zeszły się w twoim jednym, albowiem dwa Rzymy upadły, a trzeci stoi, a czwartego nie będzie, już nie będzie innym twoje chrześcijańskie carstwo".

W ten sposób narodziła się idea, której znaczenie trudno przecenić. Przez ponad 400 lat kształtowała umysły władców, urzędników i poddanych. W 1547 roku Iwan IV Groźny uroczyście koronował się na cara—cesarza. Tytuł ten uznał patriarcha Konstantynopola (wcześniej używany był sporadycznie przez wielkich książąt).

W okresie od upadku Konstantynopola do końca panowania pierwszego cara — cesarza, czyli w latach 1453—1584, terytorium państwa moskiewskiego powiększyło się aż 12 (słownie: dwanaście) razy. Iwan Groźny był władcą absolutnym. Jego zdaniem — *„ruscy samodzierżcy od początku sami władają swoimi carstwami, a nie bojarzy i wielmoże"*.

Absolutyzm państwowy pojawił się w Europie w drugiej połowie XV wieku niemal jednocześnie we Francji, Hiszpanii, Florencji, Mediolanie, Anglii, Rosji. Już Iwan III wprowadził samowładztwo i zaczął się tytułować *„hosudarem wszystkiej Rusi"*. System samodzierżawia przetrwał aż do 1917 roku. A później jeszcze wskrzesił go Józef Stalin.

Osobliwością struktury społecznej Rosji był minimalny udział mieszczaństwa, połączony ze słabością polityczną arystokracji i zdecydowaną przewagą ilościową chłopstwa. W drugiej połowie XVIII wieku mieszczanie stanowili zaledwie 3 proc., dworzanie i duchowni — 5 proc., chłopi aż 92 proc. ludności. Znaczna część ogółu poddanych (46 proc.) znajdowała się w dobrach państwowych i carskich.

W ogromnych dobrach państwowych od niepamiętnych czasów funkcjonowała tzw. obszczina, czyli partiarchalna wspólnota chłopska. Ziemia była własnością gminy. Obowiązywała zbiorowa odpowiedzialność za płacenie podatków. Na tej podstawie Piotr Tkaczow (1844—1886) utrzymywał, że naród rosyjski w większości jest instynktownie i tradycyjnie komunistyczny.

Narodnicy byli przekonani, że chłop rosyjski nie przywykł do własności prywatnej w takim stopniu jak w innych krajach europejskich. A skoro tak, to przede wszystkim Rosja dojrzała do urzeczywistnienia społeczeństwa socjalistycznego.

Paweł Florenski natomiast upatrywał genezy ducha komunizmu w życiu klasztornym. Podkreślał, że trzeba zrozumieć ławrę, żeby pojąć Rosję. Pisał on:

„Idea wspólnoty, jako wspólnego życia w pełnej miłości, jednomyślności i jedności ekonomicznej — czy będzie się nazywała po grecku koinonia czy po łacinie communio — zawsze była bliska duszy rosyjskiej i tkwiła w niej, jako zapowiedź życia. Wcielona została w ławrze troicko-siergiejewskiej przez świętego Sergiusza i rozprzestrzeniała się stąd, z Domu Trójcy, jako ośrodka zasadniczego pod względem zarówno terytorialnym, gospodarczym, artystycznym, oświatowym czy wreszcie moralnym".

Moim zdaniem symbolem masy narodu rosyjskiego jest ławra i obszczina. Obie instytucje stanowiły podstawę stosunków patriarchalnych, uczyły kolektywizmu i posłuszeństwa. Nie tylko różnice ustroju politycznego czyniły adekwatnym przysłowie: *„Musi — to na Rusi, w Polsce — jak kto chce"*.

W 1869 roku Mikołaj Danilewski wysunął tezę, że germańsko-romański typ kultury znalazł się w stadium *„późnego lata czy wczesnej jesieni"*. Przyszłość zaś należy do cywilizacji słowiańskiej. Rosja, Czechy, Serbia, Bułgaria mają taki stosunek do Słowiańszczyzny jak Francja, Anglia, Niemcy, Hiszpania do Europy. Pod przewodnictwem Rosji, która jest predestynowana do przewodzenia Słowiańszczyźnie, narody słowiańskie powinny stworzyć federację na obszarze od Adriatyku do Pacyfiku i od Oceanu Lodowatego do Archipelagu. W jej skład muszą wejść także trzy narody niesłowiańskie — Grecy, Rumuni, Węgrzy — związane historycznie i religijnie (prawosławie) ze Słowiańszczyzną.

A co z Polską i Polakami?

Polskę uważał Danilewski za *„Judasza Słowiańszczyzny"*, którego trzeba trzymać w *„twardych Murawiewowskich rękawicach"*. Polacy są narodem zdegenerowanym przez latynizm. Tradycja katolicka czyni Polskę obcą wśród narodów słowiańskich. Polska stanowi zresztą w jego przekonaniu ziemię rdzennie rosyjską, którą Rosja odzyskała, a nie podbiła. Rozbiory były aktem sprawiedliwości dziejowej. Aleksander I uratował część Polski przed dostaniem się pod panowanie germańskich Prus i Austrii.

Poglądy Mikołaja Danilewskiego nie były w dziewiętnastowiecznej Rosji odosobnione. Podobnie myślał Fiodor Dostojewski i wielu innych. Jak wiadomo, Dostojewski nie cierpiał Polaków i Żydów. Być może z tego powodu — jak sądzi Małgorzata Szpakowska — że oba narody również uważały się za wybrane i mające do spełnienia szczególną misję w świecie. Były więc konkurentami narodu rosyjskiego.

„Polak ze Starej Polski — pisał Fiodor Dostojewski — instynktownie, ślepo nienawidzi Rosjan i Rosji". Pisarz tak zwracał się do Polaków: *„Pojednajcie się i poddajcie się sami, ale wiedzcie, że nigdy nie będzie Starej Polski. Jest Polska Nowa, Polska wyzwolona przez cara, Polska odradzająca się, która niewątpliwie może oczekiwać w przyszłości jednakowego losu z każdym plemieniem słowiańskim, kiedy słowiańszczyzna wyzwoli się i zmartwychwstanie w Europie. Ale Starej Polski nie będzie nigdy, dlatego, że ona nie może współistnieć z Rosją"*.

Pisarz dostrzegał w Europie *„ostry podział narodowości i jaskrawo zaznaczone typy charakterów narodowych"*. Był przekonany, że losy narodów układają się zgodnie z najistotniejszymi i najbardziej charakterystycznymi cechami narodowymi. Wielkie znaczenie przywiązywał do podziału religijnego Europy. Katolicyzm, protestantyzm i prawosławie traktował jako trzy wielkie idee światowe i zarazem odmienne trzy formacje kulturowe.

Krajem na wskroś przenikniętym ideą katolicką była dlań Francja. Charakter francuski uważał za całkowicie katolicki. Z tego ducha wywodził nawet hasła: *„Liberté, Egalité, Fraternité"* oraz ateizm i socjalizm francuski. Protestantyzm z kolei kojarzył z charakterem Germanów i Niemców. Ludy te protestowały — jego zdaniem — przeciwko Rzymowi pogańskiemu i katolickiemu od czasów Arminiusza i Lasów Teutoborskich. Protestowały przeciw *„zachłannej myśli zawładnięcia człowiekiem na całej ziemi, moralnie i materialnie"*... Niemcy wciąż żyją negacją katolicyzmu, pogardą dla słowiańskości oraz wiarą, że oni są predestynowani do panowania nad światem.

Trzeba przyznać, że narody słowiańskie w większości trzymały się prawosławia, germańskie prawie w komplecie wybrały protestantyzm, a romańskie pozostały wierne katolicyzmowi. Nawet na terenie Wielkiej Brytanii ludność pochodząca od Celtów (Irlandczycy, Szkoci i Walijczycy) pozostała przy wierze katolickiej, zaś germańscy Anglicy są protestantami. Z koncepcją determinującej roli katolicyzmu bądź protestantyzmu w historii i kulturze narodów wystąpił dziesięć lat temu — o czym już kiedyś pisałem w „Odgłosach" — Alain Peyrefitte w głośnej książce „Le mal francais".

Ale wracam do Fiodora Dostojewskiego. Typowy Rosjanin to — według niego — m a r z y c i e l, skłonny do tolerancji, pojednawczości i uczuć ogólnoludzkich. *„Marzyciel* — pisał — *jest zawsze uciążliwy, bo skrajnie nierówny: to zbyt wesół, to zbyt ponury, to grubiański, to znów uważający i czuły, to egoista, to znów zdolny do najszlachetniejszych uczuć"*. Rosjanie bardzo lubią to, co *„leniwe, lekkie, kontemplacyjne, wszystko, co tkliwie działa na uczucie albo podnieca zmysły"*. W niczym nie mają umiaru, ale tylko chwilowo, przelotnie. *„Jest to potrzeba przebrania miary, potrzeba zapierającego dech wrażenia, jakim jest* — po dojściu na skraj przepaści — *pochylenie się nad nią, zajrzenie w otchłań* i — w poszczególnych wypadkach, nawet dość częstych — *rzucenie się bez opamiętania głową naprzód"*.

W pewnych momentach Rosjanin zachowuje się jak opętany. Ze zdumiewającym pośpiechem i gwałtownością stara się pokazać z dobrej lub złej strony. Niekiedy traci wszelkie hamulce.

„Czy będzie to miłość, czy wódka, hulanki, ambicja, zawiść — niejeden Rosjanin oddaje się temu bez pamięci, gotów zerwać ze wszystkim, wyprzeć się wszystkiego: rodziny, tradycji, Boga. Nieraz najpoczciwszy człowiek może stać się raptem obmierzłym rozpustnikiem i przestępcą — wystarczy, by dostał się w ten huragan, w ten fatalny dla nas kołowrót spazmatycznego, błyskawicznego samozaprzeczenia i samozniszczenia, tak właściwy rosyjskiej naturze w pewnych decydujących momentach życia".

Rosjanin przesadnie boi się opinii publicznej.

Przywiązuje ogromną wagę do tego, co o nim powiedzą i pomyślą. W celu wywołania odpowiedniego wrażenia bezinteresownie kłamie. Prawda wydaje mu się zbyt nudna i prozaiczna, nie dość poetyczna. Rosjanin wszystko robi, żeby się p o p i s a ć. Tacy są mężczyźni; natomiast kobiety są poważniejsze, wytrwalsze, cierpliwsze w pracy i mniej kłamią.

Głęboką potrzebą ludu i całego narodu rosyjskiego jest potrzeba *„stałego, nieukojonego cierpienia zawsze i we wszystkim"*. Lud wręcz rozkoszuje się cierpieniem. Rosjanin gotowy jest do poświęceń dla wielkiej sprawy. Ale szczególnie lubi robić to, co wszyscy robią — pragnie z okrzykiem *„hura!"* iść razem ze wszystkimi. Już samo słowo *„wszyscy"* porywa go do czynu.

Rosjanie w porównaniu z Niemcami są złymi pracownikami. Potrafią wykonać robotę *„z wysiłkiem źle, niesumiennie, i jak się to mówi, opuścić się całkiem"*. Podczas pobytu w Niemczech, Dostojewski podziwiał pracę służącej hotelowej, która każde polecenie realizowała dobrze i z zadowoleniem. Pisał następująco:

„Nie, u nas tak nie pracują, u nas żadna służąca nie pójdzie na taką katorgę, nawet za nie wiem jaką zapłatę, a ponadto tak nie zrobi, lecz sto razy zapomni, wyleje, nie przyniesie, stłucze, pomyli się, rozzłości, «napyskuje», a tutaj przez cały miesiąc nie było żadnego powodu do skargi".

Niemcy już w okresie wczesnego dzieciństwa przyswajają sobie wzory porządnej roboty. Ale mają nieco *„ociężały"* umysł. Niemieccy urzędnicy są solidni i uprzejmi, a rosyjscy wyniośli, dumni, wrogo nastawieni do klientów. Urzędnik rosyjski daje odczuć swoją władzę. Mści się za to, że jest nikim.

W październiku 1922 roku również Włodzimierz Lenin zwracał uwagę, że na tle krajów kapitalistycznych naród rosyjski jest najmniej kulturalny, ma najsłabiej rozwinięte siły wytwórcze i najgorzej umie pracować. Nie należy tego, mówił, ukrywać i przesłaniać pięknymi frazesami.

Skrajność i labilność charakteru rosyjskiego interesująco pokazał Wasilij Szukszyn na przykładzie Stiepana Razina, bohatera powieści pt. „Przyszedłem dać wam wolność". Kozacki ataman dąży do szlachetnego celu, pragnie miłości i sprawiedliwości, lecz potrafi być bezwzględny i okrutny. Często ponosi go temperament, nie umie panować nad sobą, wpada w szał i popełnia czyny nieludzkie. A potem żałuje bardzo i szuka przebaczenia. O stosunku do niego powstańców chłopskich czytamy:

„Bali się go, ale i szanowali — tym szczególnym szacunkiem, jakim Rosjanie darzą surowego, lecz sprawiedliwego ojca lub silnego starszego brata: taki potrafi skarcić, ale umie też pożałować i wystąpić w obronie".

Zachowanie się żony Razina, Alony, pozwala pisarzowi sformułować ogólną opinię na temat kobiet rosyjskich:

„Taki już, Bogu dzięki, charakter ma baba rosyjska — potrafi zdobyć się na przebaczenie nawet wtedy, gdy jej o przebaczenie nie proszą, nie błagają. Znajdzie sobie — podświadomie — jakiś wykręt i bez udawania uwierzy, że jej go żal, że grzech taić urazę albo że nade wszystko w świecie ceni bogactwo... Zmiłuje się nad krzywdzicielem i nad sobą samą".

Fiodor Dostojewski był zdania, że Rosjanie w ogóle nie potrafią trwale nienawidzić. Jest w tym zaleta i wada, gdyż prawidłowość ta odnosi się również do występku, despotyzmu, ignorancji, obskurantyzmu. Rosjanie gotowi są godzić się przy pierwszej okazji.

Bardzo ciekawa opinia o charakterze narodowym Rosjan — przypominająca opinie Mickiewicza i Słowackiego o Polakach — znajduje się w książce Wiktora Astafiewa „Królowa ryb". Czytamy tam:

„Wszyscy Rosjanie do śmierci zostają w pewnych sprawach dziećmi, wiecznie czekają na podarki, na bajki, na coś niezwykłego, co rozgrzewa, a nawet przepala duszę pokrytą żużlem szorstkości, lecz w środku bezbronną, która nawet w steranym, umęczonym starym ciele często potrafi zachować puch pisklęcia".

Polacy mają skłonność dostrzegać u Rosjan głównie wady i z trudem uznają ich osiągnięcia. Przed taką optyką przestrzegał latem 1946 roku Edmund Osmańczyk. Podkreślał, że samymi wadami nie buduje się tego rodzaju potęg jak Związek Radziecki. Naród rosyjski musi posiadać nieprzeciętne zalety.

Rosjanie z kolei często skarżyli się na wielkopańską pychę Polaków i brak samokrytycyzmu. Z tego powodu nie lubili nas Iwan Turgieniew, Wissarion Bieliński, Fiodor Dostojewski i inni. Bohater powieści Jurija Trifonowa, Andrzej Żelabow, jadąc pociągiem w kierunku Odessy rozpoznaje Polaków *„po wyniosłych minach, choć i tak widać, że biedota"*.

Reportaż z sali operacyjnej

Jak wyjąć z człowieka odbezpieczony granat?

JURIJ GIEJKO

1.

Trochę, jak przez sen, a trochę, jak w malignie Witalij Grabowienko słyszał, jak pułkowy lekarz powiedział: — *Zdatny do przewozu.* Potem pojawił się nowy ból, w głowie zaszumiało i dalej Witalij Grabowienko już niczego nie pamiętał. Do samolotu z ryczącymi silnikami wnieśli go nieprzytomnego...

2.

W Afganistanie szeregowy Witalij Grabowienko spędził rok bez dwóch tygodni. Krążyli po górach i dolinach, pomagając Afgańczykom szukać ropy naftowej, gazu i węgla.

Tamtego dnia atakowała ich banda Duszmenów. Do samej nocy w górach grzmiało, wybuchało, paliło się i dymiło. Świstały kule, wyrywając odłamki z kamieni, a od wybuchów podnosiły się słupy pyłu. Witalij był pomocnikiem celowniczego granatnika. Z wprawą wpychał do taśm granaty, podobne do serdelków. Kiedy trzeba było — brał się za automat. Przebiegał, zmieniał pozycję, krył się przed ogniem snajpera.

Pod wieczór potyczka skończyła się. Razem ze swoim celowniczym, Sieriożą Truskowem, skryli się w głębokim glinianym rowie i rozpalili ognisko, niewidoczne z boku. Przygotowywali kolację. Obok stał transporter opancerzony, nieco dalej dwie cysterny. Kociołek bulgotał, a od ogniska dochodził smakowity dymek...

Ale nie dane im było zjeść kolacji. W ciemności huknęły wybuchy, dowódca krzyknął: *Do boju!* Zaryczał transporter, wyjeżdżając z ukrycia. Ogromną pochodnią zapłonęła cysterna. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał, był ciężar taśmy granatnikowej, wciskanej z niebywałą siłą w jego ciało. I wybuch. Tuż obok.

3.

Szeregowego Witalija Grabowienkę przetransportowano samolotem do Duszanbe, do szpitala wojskowego. Diagnoza brzmiała — rany odłamkowe brzucha. 12 sierpnia 1986 roku ordynator oddziału chirurgicznego uważnie obejrzał rannego (jego stan jakoś wolno ulegał poprawie) i wyraził przypuszczenie, że być może ma on również głębokiego międzymięśniowego krwiaka z prawej strony klatki piersiowej.

Wyznaczono powtórne wnikliwe badanie tej okolicy. Rentgen wykazał dwa intensywne prostokątne cienie w miękkich tkankach klatki piersiowej. Coś podobnego do dużej łuski i odłamka. Lekarz prowadzący pokazał jeszcze mokre zdjęcie anestezjologowi Moisiejkinowi:

— *Jak ci się podoba ten wrostek, Wołodia? Trzeba by operować od razu dzisiaj.*

Jednak okazało się, że pacjent dopiero co skończył obiad. A operować należy na czczo. Zdecydowano odłożyć sprawę do jutra.

Wieczorem zaszedł do nich, do pokoju lekarskiego, pewien rekonwalescent, oficer — saper. Zobaczył zdjęcia na stole — i zdrętwiał.

— *Ludzie!* — powiedział. — *Przecież to jest granat — niewypał. I w dodatku odbezpieczony.*

Z pobliskiego pułku dostarczono granat ćwiczebny. Przyłożono go do zdjęcia — pełna zgodność. Tylko nasadka zabezpieczająca osobno, dlatego też zapalnik był odkryty. Właściwie granat dlatego tylko nie rozerwał się w szeregowym Witaliju Grabowienko, że był ściśle „zapakowany" w mięśniu. No, ale przecież trzeba będzie go wyjąć.

Niebezpiecznego pacjenta niezwłocznie przeniesiono do osobnej sali. Maksymalnie ograniczono dostęp do niego. I przystąpiono do rozwiązywania dwóch zasadniczych problemów. Pierwszy: — jak wyjąć ładunek z żywego ciała? Drugi: — kto z chirurgów będzie operować?

Tymczasem z Moskwy w trybie pilnym przybyło dwóch konsultantów: lekarz wojskowy, podpułkownik Czwykow i specjalista od spraw amunicji, podpułkownik Czagan. Zebranemu na naradzie personelowi szpitala oznajmili: znane są dwa, trzy podobne przypadki w całym okresie drugiej wojny światowej. Jednakże pewnych dokumentów medycznych na ten temat nie udało się znaleźć. Tak więc wszystko będą musieli rozwiązywać sami.

— *Nie można zapewnić całkowitego bezpieczeństwa tym, którzy będą operować* — mówił Czwykow. — *Wszyscy rozumiemy, że przy wybuchu, granat w najlepszym przypadku urwie ręce chirurgom. I unicestwi pacjenta. Ale operować musimy. Kto jest gotów podjąć się tego?*

Gotowi byli wszyscy. I wszyscy to zakomunikowali. Nic nie powiedział tylko dyrektor szpitala, Worobiow.

— *A co wy myślicie o tym, towarzyszu pułkowniku?* — zapytał go Czwykow.

— *Myślę, że operować powinienem ja* — odparł Jurij Worobiow. — *I to operować sam.*

— *Zgoda.*

— *Nie zgadzam się!* — odezwał się nagle młody głos z tylnych rzędów

— *Z czym się nie zgadzacie, towarzyszu poruczniku?*

— Podpułkownik Jurij Worobiow w żadnym przypadku sam nie da rady. Granat zalega głęboko. Są tam naczynia, nerwy, będzie obfity krwotok. Trzeba tamponować, utrwalać brzegi rozcięcia. Granat w tym czasie może przesunąć się i eksplodować.

— *Wystarczy* — powiedział Czwykow. — *Wszyscy są wolni.*

Tamtego dnia, 13 sierpnia, porucznik Aleksander Dorochin jeszcze kilka razy wchodził w oczy dyrektorowi szpitala. Naturalnie, robił to umyślnie.

— *Sasza* — powiedział w końcu Worobiow — *nie biegaj tak. Przywieźli właśnie od saperów ochronne uniformy do rozminowywania. Idź tam i przebierz się, zaraz będziemy robić próbę.*

Początkowo tylko nakładali ciężkie rynsztunki, podobne do zbroi rycerskich. Chodzili w nich, ruszali rękami. Symulowali czynności przy stole operacyjnym. Tymczasem w pobliskiej fabryce przygotowywano specjalny uchwyt do granatu. Szkice narysował podpułkownik Jurij Worobiow w konsultacji z Czaganem.

14 sierpnia 1986 r. o godzinie 15,00 odbyła się generalna próba z udziałem pacjenta — pozoranta. Z fabryki przywieziono zamówiony przyrząd. Zewnętrznie przypominał skrzyżowanie szpady z nożycami: masywna rękojeść w postaci stożka ochraniała rękę chirurga, a rozchodzące się ostrza były wygięte ku dołowi w kształcie pierścienia.

15 sierpnia o godzinie 9.30 dokonano kontrolnych oględzin Witalija Grabowienki. Na skórze klatki piersiowej narysowano mu rzut granatu i rozpoczęto przygotowania do operacji.

Witalij, któremu zaaplikowano środki uspokajające, już niezbyt dobrze pojmował całą sytuację, kiedy rysowano po nim mazakiem. Jednak zdumiał go widok dwóch nienaturalnie ogromnych osób w stalowych hełmach z przezroczystymi przyłbicami. Ludzie ci ostrożnie, jak gdyby był z kryształu, przełożyli go na wózek i dokądś powieźli.

W sali operacyjnej dwóch „marsjan" unieruchomiło wózek, podłożywszy pod jego kółka nieduże worki z piaskiem. Wyszli. Podszedł trzeci — tak samo ogromny i nieziemski z wyglądu. Tylko jego ręce w cienkich gumowych rękawicach były normalne, ludzkie. Za grubą szybą pancerną Witalij rozpoznał dobrze znaną twarz anestezjologa Włodzimierza Moisiejkina i cichym, zdumionym głosem powiedział:

— *Och, Włodzimierzu Iwanowiczu! Co się z panem stało?*

Moisiejkin głęboko westchnął i rozpoczął swoje zwykłe czynności: przenosiny operowanego w świat prostracji i niebytu.

Upewniwszy się, że Witalij Grabowienko „odpłynął", ale oddycha miarowo, wyszedł na długi balkon, ciągnący się wzdłuż całej kondygnacji. W otwartych drzwiach sali operacyjnej natychmiast zamocowano szybę pancerną, wyjętą z helikoptera bojowego. Za nią właśnie stanął anestezjolog: mógł być potrzebny w każdej chwili.

4.

Na kijowskim lotnisku Boryspol, akurat o tej samej godzinie rozpoczęła się rejestracja pasażerów, udających się lotem rejsowym do Duszanbe. Nadeszła kolej siwawego mężczyzny, wyglądającego na około sześćdziesiąt lat, z głęboką starą blizną na twarzy. Podał bilet i dowód.

— Jakub Wasiliewicz Grabowienko — przeczytała urzędniczka portu lotniczego, postawiła pieczątkę i poprosiła, aby udał się do kontroli przedodlotowej.

Jakub Grabowienko podsunął dużą torbę pod wszystkowidzące oko „telewizora", posłusznie wyłożył na stolik wszystkie metalowe przedmioty z kieszeni i przeszedł pod ramkę kontrolną. Rozległ się dzwonek. Pasażer, zbity z tropu, poklepał się po pustych kieszeniach i ponownie stąpnął na pomost. Dzwonek znowu się odezwał. Na Jakuba Grabowienkę zaczęto zwracać uwagę. Młodziutki milicjant nawet uniósł się ze swojego krzesła. Jakub Wasiliewicz nachylił się ku niemu i ze skruchą rzekł, pokazując palcem na pierś:

— *Synku! W środku siedzi we mnie odłamek. Jeszcze z wojny. Może to od niego ten hałas?*

Milicjant zarumienił się, wziął ze stołu torbę Jakuba Wasiliewicza i sam odprowadził weterana do poczekalni. Dopiero tu Jakub Grabowienko domyślił się, że odłamek nie ma tu nic do rzeczy: sygnał pochodził od metalizowanej folii na tabliczce czekolady w wewnętrznej kieszeni. Czekolada przeznaczona była dla syna. Ten — dorosły już, żołnierz — a ciągle jeszcze lubi słodycze.

Jakub Wasiliewicz oczywiście wiedział, że Witalij służy w Afaganistanie. I bardzo się o niego martwił. Ale ostatni list od syna — z nowym numerem poczty polowej — zupełnie go uspokoił. Witalij pisał, że oddelegowano go do Związku Radzieckiego w sprawie jakiegoś tam nowego sprzętu.

I byłoby dobrze i spokojnie na sercu rodzicom Witalija Grabowienki, gdyby Jakub Wasiliewicz, z nieprzezwyciężonego przyzwyczajenia południowca, nie pokazywał listu wszystkim sąsiadom. Znajomy chłopak, który wrócił już z wojska, zerknął tylko na kopertę i od razu powiedział:

— *Przecież to ze szpitala. Sam służyłem w tamtych stronach. Pewnie zraniono Witalkę...*

Jakub Wasiliewicz zaczął szykować się do drogi.

5.

Podpułkownik Jurij Worobiow wziął skalpel i leciutko, nie naciskając, przesunął jego koniuszkiem po elastycznej skórze Witalija Grabowienki. Bezpośrednio nad granatem. Nic się nie stało. Wówczas chirurg dokładnie i mocno rozciął tkanki. Krew trysnęła cienkimi strumykami, brzegi rany rozeszły się.

Właśnie w tym momencie, dokładnie według scenariusza, do sali operacyjnej wszedł porucznik Aleksander Dorochin. Milcząc, chwycił haki i zaczął rozsuwać skórę. On pierwszy spostrzegł błysk w krwawiącej jamie rany. Wypuścił powietrze i rzekł:

— *Oto on...*

— *Zacisk!* — odezwał się Worobiow.

Dorochin ścisnął dwa naczynia.

— *Tampon!*

Dorochin osuszył krew, nie dotykając błyszczącego przedmiotu.

Worobiow wziął prawą ręką swoją kleszczowatą „szpadę" i powoli zaczął opuszczać ją do rany. Rękojeść, ochraniająca rękę, ledwie pobrzękiwała.

Dorochin obserwował tylko palce Worobiowa. Właśnie te palce rozchyliły rączki uchwytu. Właśnie przesunęły się do przodu razem z przyrządem. Właśnie rączki zwarły się.

Powoli, jakby dźwigały ogromny ciężar, ręce chirurga poruszyły się ku górze. Wtedy Dorochin dostrzegł kompletny granat, w całości. Część jego była pokryta czarną, zgęstniałą krwią, a druga część błyszczała, jak gdyby przed chwilą zdjęto ją z tokarki. Jurij Worobiow, trzymając uchwyt obiema rękami przed sobą, zaczął całym ciałem obracać się do tyłu: za jego plecami stały nosze, na których, z woreczków z piaskiem, ułożona była studzienka.

Po piętnastu sekundach granat spoczął na równej piaskowej wyściółce. Jurij Worobiow z rozkoszą rozprostował się. W ogóle, to dobrze się stało, że przed operacją nie wnikał w szczegóły budowy tej odbezpieczonej zabawki. Uchronił się przed niepotrzebną nerwówką. Wystarczyło wiedzieć o najważniejszym: gwałtowne osiowe przesunięcie przedmiotu było absolutnie niedopuszczalne.

Teraz poczuł taką ulgę, że zdecydował się wyjąć ze studzienki i zachować swój oryginalny zacisk-szpadę. Tym bardziej, że przyrząd miał wysoko zlokalizowany środek ciężkości. Kiedy saperzy wyniosą nosze, zacisk może po prostu przesunąć granat — właśnie w kierunku osiowym. Worobiow włożył rękę do studzienki, rozsunął rączki zacisku i wyciągnął go tak płynnie, że „przedmiot" na piasku nawet nie drgnął.

6.

„Rozminowanego" Witalija Grabowienkę przewieziono do drugiej sali operacyjnej, gdzie oczekiwał na niego nowy zespół chirurgów. W tym czasie dwaj saperzy, Kułumbiegow i Sliedienko, przy zachowaniu najwyższej ostrożności wynosili tylnymi schodami nosze z granatem. Do tego celu wybrano szczególnie silnych, wytrzymałych mężczyzn: same tylko woreczki z piaskiem, ułożone na noszach w postaci studzienki, ważyły ponad sześćdziesiąt kilogramów. Saperzy byli przy tym ubrani w takie same opancerzone uniformy, jak i chirurdzy. Na Kułumbiegowa, który szedł pierwszy, ekwipunek założono tyłem do przodu.

Po długiej, męczącej przerwie dwóch ludzi z noszami pojawiło się w końcu na starannie wyrównanej piaszczystej dróżce z tyłu budynku szpitala. Cały personel i znaczna część chorych skupiła się w tym czasie przy oknach, mimo najsurowszego zakazu. Kułumbiegow i Sliedienko mieli do przejścia około stu metrów do rozpoczętego przez budowlanych nowego pawilonu. Przygotowano tam ogrodzenie z blach stalowych.

Straszliwie wolno zbliżali się saperzy do tego ogrodzenia. Obserwatorzy w duchu odliczali pozostałe do przejścia kroki, jak przed startem rakiety: pięć... cztery... trzy.. dwa... jeden. Ładunek trotylu z wstawionym detonatorem już leżał na miejscu. Sliedienko wziął go w ręce, podpalił lont wolnopalny (niezbyt długi) i włożył dymiące złącze do studzienki z woreczków z piaskiem. Akurat obok granatu.

Dwie grube „marsjańskie" figury niezgrabnie, z tupotem, oddaliły się kilka metrów i runęły za osłoną. Nastąpił wybuch. Słup piasku, dymu i ognia podniósł się powyżej dwupiętrowego budynku.

7.

Trzy godziny później do bramy szpitala podszedł siwawy człowiek z dużą gospodarczą torbą w rękach. Powiedział, że chce się zobaczyć z szeregowym Witalijem Grabowienką.

Oficer dyżurny jakoś dziwnie popatrzył na niego i wtedy Jakub Wasiliewicz zaczął się spieszyć: postawił torbę na stole, otworzył ją, począł wyciągać różne domowe smakołyki, przygotowane przez żonę.

— *Widzicie, Witalij Grabowienko to mój syn. Przywiozłem mu prezenty.*

— *Tak, tak. Prezenty* —w zamyśleniu odparł oficer i sięgnął po słuchawkę telefonu.

(„KOMSOMOLSKAJA PRAWDA")
Przełożył:
WITOLD DZIUBA

Na zdjęciu: chirurg Jurij Worobiow i jego pacjent Witalij Grabowienko

ze str. 1

Nie pierwszy to przypadek, że teoria rozmija się z praktyką. A świadczyć o tym może przykład województwa skierniewickiego.

Sieć bibliotek publicznych w województwie skierniewickim liczy 152 placówki, które zgromadziły dotychczas w swych zbiorach około 1,5 mln woluminów. Jest to sieć podporządkowana administracyjnemu podziałowi województwa, w ramach której działają: biblioteka wojewódzka, 5 bibliotek miejskich, 2 miejsko-gminne i 35 gminnych wspomaganych przez 109 filii i 417 prowadzonych społecznie punktów bibliotecznych.

Do niedawna cała ta sieć podzielona była na rejony i każde większe miasto sprawowało władzę i opiekę nad bibliotekami w podległym „terenie", jednakże od 1 maja 1987 r. zniesiono rejonizację i **Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Skierniewicach** przyjęła opiekę nad wszystkimi placówkami bibliotecznymi w województwie. Zachodzi jednak obawa, że okres 12 lat skierniewickiego bibliotekarstwa nie umocnił na tyle bibliotek gminnych, aby zagwarantować poprawne wykonywanie wszystkich zadań w obecnej strukturze „WBP i podległa reszta".

3.

Niedawno dyrektor WBP w Skierniewicach — **Ewa Szwonek,** dostała do wypełnienia opracowaną przez Ministerstwo Kultury i Sztuki ankietę zatytułowaną **„Stan i zamierzenia w dziedzinie komputeryzacji bibliotek publicznych".**

Wypełnianie ankiety trwało niezwykle krótko: na pytanie czy w Skierniewickiem są zainstalowane komputery, padła odpowiedź **„NIE".** Wypełnianie pozostałych rubryk mijało się już z celem.

Ministerstwo chce badać stan komputeryzacji bibliotek, a tymczasem **dyrekcja WBP w Skierniewicach ma inne marzenia:** potrzeba maszyn do pisania (w WBP są 2 maszyny, **za** to tylko jedna biblioteka gminna w Zdunach ma swoją maszynę), potrzeba telefonów (WBP ma tylko jedną, prowizoryczną w dodatku linię, natomiast spośród 35 gminnych bibliotek tylko 3 mają telefony), żadna biblioteka nie ma teleksu, brakuje też wykwalifikowanej kadry, jakiej-takiej bazy lokalowej, ba, nawet... rowerów. Więc gdzie tu mówić o komputerach? Ministerstwo chyba nie zna życia...

4.

Jednym z bardziej uciążliwych problemów, z jakim boryka się skierniewickie bibliotekarstwo jest baza lokalowa.

Najtrudniejsza sytuacja występuje na wsi. Ciasnota i niefunkcjonalność lokali (np. biblioteka bez okien w Kowiesach), brak powierzchni magazynowych, przestarzałe meble i urządzenia — to wszystko obniża efektywność pracy bibliotek i zmniejsza ich popularność w społeczeństwie. Spośród 35 bibliotek gminnych **tylko 6 placówek** mieści się w lokalach, które można określić jako odpowiadające wymogom, 9 bibliotek funkcjonuje w dostatecznych warunkach lokalowych, 12 w niedostatecznych, zaś 8 w fatalnych, urągającym normom i przepisom. Jeszcze gorzej przedstawia się baza lokalowa filii bibliotecznych, z których aż 26 ma fatalne warunki lokalowe, a 25 — niedostateczne. W niektórych miastach też można by zadbać o polepszenie warunków, w jakich muszą pracować biblioteki. Na uwagę zasługuje choćby **Żyrardów.**

Należy wspomnieć jednak i o placówkach, **gdzie sytuacja w ostatnich latach uległa poprawie.** Na wymienienie zasługują Miejska Biblioteka Publiczna **w Łowiczu,** biblioteki gminne **w Słupi, Radziejowicach i Zdunach,** a także **Wojewódzka Biblioteka Publiczna** w stolicy województwa.

Jeśli chodzi o tę ostatnią placówkę, nowy budynek oddano do użytku we wrześniu 1985 r., jednak już w trakcie budowy wiedziano, że obiekt będzie za mały w stosunku do potrzeb. M.in. nie zmieściła się tam czytelnia, a wolne miejsca na książkowych regałach powinny zapełnić się już za kilka lat. W dodatku lokalizacja z dala od centrum nie jest zbyt trafna i w obecnym miejscu powinna raczej funkcjonować biblioteka osiedlowa. Ale nie narzekajmy. Do niedawna WBP w Skierniewicach dysponowała pomieszczeniem przy ul. 22 Lipca, gdzie książki upychano na parapetach, panował tłok i ścisk, a ściany i sufity gwałtem domagały się remontu.

Kiepska sytuacja lokalowa spowodowana jest niedostatecznymi nakładami finansowymi. W dodatku ogromnym utrudnieniem jest podział tych skromnych środków na kilka rat w ciągu roku. Władze terenowe zarówno miejskie jak i gminne nie przekazują dodatkowych środków finansowych na działalność oraz rozwój bi-

Czy Ministerstwo Kultury i Sztuki zna życie bibliotekarzy?

Specjaliści od pokonywania obiektywnych trudności

bliotek. Odbija się to nie tylko na wyglądzie i „przestronności" bibliotek, ale także na ich wyposażeniu. Stąd m a r z e n i a o telefonach, maszynach do pisania i rowerach, o komputerach już nawet nie wspominając.

Brak wystarczających nakładów finansowych powoduje, że biblioteczne półki świecą czasem pustkami i nie pozwala na zapewnienie każdej placówki zakupu nowości — zgodnie z obowiązującą normą — 18 woluminów na 100 mieszkańców. W 1986 roku **aż w 18 gminach wskaźnik zakupu był zaniżony.**

Mimo tych trudności z bibliotek na terenie województwa korzysta prawie **85 tys. czytelników,** co stanowi 20,64 procent ogółu mieszkańców (wskaźnik krajowy — 20,4 proc.). Oczywiście obraz czytelnictwa jest zróżnicowany, przy czym jeśli chodzi o biblioteki miejskie, ma on tendencje rozwojowe, **zmniejsza się natomiast liczba czytelników w środowisku wiejskim.** Spada również liczba punktów bibliotecznych na wsi. Podejmowane środki zaradcze są mało skuteczne. W powyższej sprawie WBP w Skierniewicach podpisała porozumienie z ZW ZMW i ZW ZSMP, z których wynika, że w działalności na rzecz rozwoju czytelnictwa na wsi biblioteki będą wspomagane przez aktyw młodzieżowy. Ale to tylko teoria. Porozumienia nie przyniosły jak dotąd żadnych konkretnych korzyści i rozwiązań.

Należy jednak podkreślić, że **część winy** za regres czytelnictwa w środowisku wiejskim **ponoszą biblioteki,** w których oprócz wspomnianych braków w wyposażeniu występuje też niewłaściwa działalność spowodowana brakiem inicjatywy i odpowiedniej wiedzy fachowej bibliotekarzy.

Te wszystkie czynniki rzutują na rozwój czytelnictwa. I choć wskaźnik dla województwa nie odbiega od średniej krajowej, to aż w 18 gminach wskaźnik czytelnictwa jest bardzo niski. **Najniższy jest w Żabiej Woli,** gdzie z usług biblioteki korzysta jedynie 8 proc. ogółu mieszkańców.

5.

W Żabiej Woli jest biblioteka mieszcząca się w domu prywatnym, którego lokatorka pełni obowiązki bibliotekarki.

Niedawno dyrektorka WBP w Skierniewicach zawitała do Żabiej Woli i zastała bibliotekę zamkniętą. Bibliotekarka za nic nie chciała ją wpuścić do środka, tłumacząc, że jej nie zna. Zresztą i tak jest na zwolnieniu lekarskim, więc nie otworzy.

6.

Mówiąc o trudnościach bibliotek w Skierniewickiem, nie sposób pominąć **fatalnej wręcz sytuacji kadrowej.**

Spośród 240 pracowników etatowych bibliotek wykształcenie wyższe posiada 20 osób. Dominują osoby z wykształceniem średnim ogólnym. Nie wiadomo czy jako sensacyjną ciekawostkę czy jako smutną konieczność należy traktować bibliotekarzy z wykształceniem... podstawowym. W Skierniewickiem jest ich 8.

Oprócz 240 pracowników etatowych jest jeszcze 116 osób zatrudnionych w niepełnym wymiarze godzin. A ilu spośród nich posiada odpowiednie wykształcenie — lepiej nie pytać.

Do zawodu przybywają na ogół ludzie młodzi. Nierzadko są to niedoszli studenci, którzy traktują tę pracę tymczasowo i za rok znów będą ubiegać się o indeks.

Nie zachęcają do pracy w bibliotekarstwie niskie zarobki. Bibliotekarze wykwalifikowani z dużym stażem pracy **osiągają zarobki około 14 tys. zł.** Nie ma się więc czemu dziwić, że czasem sytuację ratuje bibliotekarz po szkole podstawowej.

7.

Mimo trudnej — chciałoby się rzec: dramatycznej sytuacji skierniewickich bibliotek, nie można powiedzieć, by w placówkach tych nic się nie działo. Czasy, gdy biblioteka kojarzyła się tylko z panią siedzącą za biurkiem i wpisującą do rejestru wypożyczone książki należą do przeszłości. Nie darmo mówi się, że **biblioteki są podstawową siecią placówek upowszechniania kultury w szerokim tego słowa znaczeniu,** a WBP w Skierniewicach jest bodaj największą placówką kulturalną w województwie.

W bibliotekach, szczególnie miejskich, odbywają się wystawy poświęcone książce, rocznicom i wydarzeniom kulturalnym, odbywają się też spotkania z literatami; dziennikarzami i działaczami społeczno-politycznymi. Niektóre placówki **prowadzą własną działalność wydawniczą** (m.in. w MBP w **Łowiczu** ukazuje się antologia poezji prezentująca utwory znanych poetów poświęcone ziemi łowickiej), wydawane są informatory dla czytelników i periodyczne wydawnictwa okolicznościowe. Odbywają się również sesje popularno-naukowe i odczyty.

Oczywiście nie wszędzie działalność jest tak ożywiona. Dużo zależy od personelu bibliotek, jego zaangażowania i chęci działania mimo „trudności obiektywnych", które co prawda są, ale przy dobrej woli można je pokonać. A w Skierniewickiem bibliotekarze muszą być specjalistami od pokonywania trudności. Na szczęście takich specjalistów nie brak.

8.

Wobec kiepskiej sytuacji bibliotek w województwie skierniewickim, dyrekcja WBP opracowała program **wyjścia z „dołka". Program liczy 13 stron zwartego maszynopisu.** W skrócie można powiedzieć, że gdyby zrealizowano wszystkie założenia, sytuacja bibliotek w Skierniewickiem byłaby optymalna.

Często jednak w programie powtarzają się słowa: „powinno" i „należy". Przede wszystkim należy doinwestować skierniewickie biblioteki.

W zakończeniu tego programu znalazło się takie zdanie: **„Powyższe zadania — zgodnie z zapisem w Ustawie o Radach Narodowych — należą do obowiązków tych rad. Zadania te powinny się znaleźć w planach gospodarczych poszczególnych gmin i miast. Rady tych miejscowości muszą zapewnić środki na ich realizację".**

Tymczasem z innego dokumentu pt. „Ocena stanu bibliotekarstwa publicznego w woj. skierniewickim" wynika, że władze miejskie i gminne jak dotąd nie przekazują dodatkowych środków na cele bibliotek.

Kto pomoże skierniewickim bibliotekom?

JACEK GŁĘBSKI

Czy większe niebezpieczeństwo czai się pod podłogą, czy za biurkiem?

Na oko wszystko gra

ze str. 1

nych, ale mieszczą się w granicach polskich norm. Fachowcy ci dają wiarę wyłącznie metodzie badawczej naukowo zwanej organoleptyczną, która z grubsza polega na użyciu węchu, smaku i wzroku. Plonem tak dokonanych badań jest opinia bagatelizująca niepokoje właścicieli mieszkania. Opinię tę podtrzymuje **Pabianicka Spółdzielnia Mieszkaniowa.**

Tymczasem po serii poważnych zabiegów medycznych ze szpitala do domu powraca pan Ludwik. Mikroklimat mieszkania wyraźnie mu jednak nie służy, co natychmiast objawia się pogorszeniem stanu zdrowia. Lekarze podejrzewają zgubny wpływ lotnych substancji toksycznych. Pani Zdzisława, która od kilku już miesięcy usiłuje przebywać w mniejszym pokoju (do dużego nadal nie wchodzi), nabawia się rozległego owrzodzenia głowy. 21 maja 1987 roku poradnia dermatologiczna miejscowego Zespołu Opieki Zdrowotnej wystawia jej zaświadczenie, z którego wynika, że pacjentka **„leczy się z powodu zmian alergicznych wywołanych uczuleniem na smołę i wykładzinę podłogową".** Wstępne rozpoznanie podłogowych wyziewów, dokonane przy użyciu wiedzy i prostych przyrządów kontrolnych znajomego chemika, zdaje się potwierdzać domniemania, iż spod cementowej wylewki wydostają się trujące związki.

Zaalarmowana tym faktem **Terenowa Stacja Sanitarno-Epidemiologiczna w Pabianicach** nie ma niestety, możliwości skutecznego wykrywania trujących substancji wydzielających się w pomieszczeniach mieszkalnych. Tylko nieliczne ośrodki w kraju dysponują aparaturą do badania skażeń toksycznymi materiałami budowlanymi. Co prawda od 15 stycznia 1986 roku obowiązuje zarządzenie ministra zdrowia i opieki społecznej o dopuszczalnych stężeniach substancji szkodliwych dla zdrowia w pomieszczeniach przeznaczonych na stały pobyt ludzi, ale choć wyszczególnione normy stężeń są wyższe niż obowiązujące poprzednio — również uznane za szkodliwe, praktycznie istnieje znikoma możliwość skutecznego weryfikowania wniosków o badanie mieszkań, szkół, czy przedszkoli. Niepokojący sygnał z Pabianic odbiera dopiero **Pracownia Higieny Materiałów Budowlanych Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Łodzi,** obiecując przeprowadzenie wizji lokalnej we wskazanym mieszkaniu. Oczekiwanie na inspekcję trwa kilka tygodni. W tym czasie chorzy emeryci starają się możliwie krótko przebywać we własnym M-3. Chadzają na przymusowe spacery, unikają wizyt gości, a już szczególnie lękają się nocy spędzonych w niezidentyfikowanych oparach, po których czują się coraz gorzej. Zdesperowani ślą błagalne pisma do spółdzielni mieszkaniowej, prezydenta miasta i do Komitetu Miejskiego PZPR, prosząc o niezwłoczną zamianę mieszkania.

Przybycie inspektorów sanitarnych poprzedza wizyta administratora osiedla, który proponuje wykonanie nowej wylewki cementowej i obłożenie podłogi płytkami PCV. Ale lokatorzy nie wyrażają na to zgody i uparcie chcą dociekać, jakie niebezpieczeństwo czyha pod posadzką.

Z protokołu wizji lokalnej Sanepidu:

„Wraz z nastaniem sezonu ogrzewczego w pokoju dużym o pow. 25 metrów kw. zaczął być wyczuwalny ostry zapach (naftalenowy). Zapach ten wywołuje bóle głowy, drażnienie spojówek itp. objawy. W trakcie wizji ustalono: w mieszkaniu nie wyczuwa się obcych zapachów. W odkrywce, którą dokonał właściciel mieszkania stwierdzono, że płyta pilśniowa miękka nasycona jest substancją o silnym drażniącym zapachu pochodzącym prawdopodobnie z produktów smołowych. To może być przyczyną występowania ostrych zapachów w przedmiotowym mieszkaniu".

Wizję lokalu nr 23 przeprowadzono 28 maja 1987 roku. Miała ona jedynie rozpoznawczy charakter, do analiz pobrano próbkę wydobytych substancji smołowych. Zdaniem właścicieli mieszkania, inspektorzy nie mogli wyczuć obcych zapachów, ponieważ duży pokój jest bezustannie wietrzony. Czekano na wyniki analizy i decyzję Sanepidu.

Tymczasem 2 czerwca 1987 roku wiceprezes Pabianickiej Spółdzielni Mieszkaniowej, **Jacek Vogtt,** w piśmie wyjaśniającym skierowanym do Komisji Skarg i Interwencji KM PZPR autorytatywnie oznajmia:

„Komisja Sanepidu nie stwierdziła żadnych obcych zapachów w mieszkaniu. Natomiast z odkrywki, którą wykonał właściciel mieszkania wydostaje się jedynie zapach związków smołopochodnych — materiałem tym wykonuje się izolację międzystropową. W mieszkaniu stwierdzono również pomalowanie podłoża pod wykładziną podłogową farbą olejną oraz komisja stwierdziła gnicie miejscami wykładziny dywanowej, co może powodować wydzielanie się nieprzyjemnych zapachów. (...) Zarząd PSM uważa, że zarzuty podniesione w piśmie ob. Z. Koniuszy, w świetle przedstawionych faktów mijają się z prawdą".

Według wiceprezesa **Jacka Vogtta,** żale państwa Koniuszy są przypadkiem wyjątkowo odosobnionym. Być może — twierdzi wiceprezes nie posiłkując się wynikami ekspertyz budowlanych, których po prostu nie przeprowadzono — lokatorzy mieszkania nr 23 sami sobie zgotowali ten los, gdyż pomalowali posadzkę farbą olejną, co spowodowało pękanie świeżego betonu i emisję złych zapachów. Ufając zatem metodzie „na oko", spółdzielnia mieszkaniowa ponownie oceniła zarzuty swych członków, jako bezpodstawne.

Dokładnie odmiennego zdania jest **Państwowy Wojewódzki Inspektor Sanitarny,** który zaledwie sześć dni później — 8 czerwca 1987 roku, jednoznacznie formułuje wyniki oględzin mieszkania nr 23 oraz analizy próbki pobranej spod posadzki.

„Wizja lokalna wykazała, że przedmiotowe mieszkanie nie spełnia wymogów zdrowotnych określonych w art. 5, ust. 1, pkt. 3 i pkt. 6 Ustawy z dnia 24.10.1974r. — Prawo Budowlane (...), ponieważ do konstrukcji podłogi zastosowano materiał, który stwarza zagrożenie dla zdrowia użytkowników. Próbka płyty pilśniowej pobrana spod wylewki betonowej w dużym pokoju charakteryzuje się ostrym zapachem typowym dla produktów smołowych. Tego typu substancje w żadnej postaci nie są dopuszczone do stosowania wewnątrz obiektów przeznaczonych na stały pobyt ludzi. Produkty smołowe wydzielają do otoczenia lotne substancje toksyczne (między innymi pochodne fenolu i naftalenu), które oddziałują niekorzystnie na zdrowie ludzkie. Szczególne nasilenie emisji substancji toksycznych, a co się z tym wiąże, uciążliwego zapachu, występuje w sezonie ogrzewczym oraz w upalne lata".

Państwowy Wojewódzki Inspektor Sanitarny w Łodzi zaleca spółdzielni przeprowadzenie ekspertyzy budowlanej, aby wytyczyć zakres prac neutralizujących toksyczne materiały budowlane. Poleca także sprawdzić, czy w pozostałych mieszkaniach bloku nr 10 lokatorzy nie uskarżają się na podobne dolegliwości.

Tym samym domysły chorych emerytów i ich lekarzy stają się przerażającym faktem. Ale **Pabianicka Spółdzielnia Mieszkaniowa** obiecuje lustrację mieszkań dopiero po 2 września, czyli blisko trzy miesiące od momentu wykrycia źródła skażenia, choć wiadomo, że temperatury upalnego lata spotęgują niebezpieczeństwo. Oficjalnie do spółdzielni nie wpłynęła żadna inna skarga od mieszkańców bloku nr 10, co wcale nie dowodzi, że pozostali lokatorzy żyją w atmosferze wolnej od trujących wyziewów. Owszem, niektórzy czują **„dziwny zapach",** lecz są nieświadomi jego źródła i następstw. W płytowcu mieszka wiele rodzin, które wcześniej gnieździły się w ciasnocie, zawilgoconych, przeznaczonych do wyburzenia ruder, mieszkają też ludzie bardzo starzy. Bez skrupulatnej eksperytzy budowlanej nie można wiarygodnie ustalić, czy toksyczne materiały zatruwają atmosferę jednego mieszkania, kilku, czy też całego obiektu. Ale ekspertyzy takiej prawdopodobnie nie będzie.

Wykonawca bloku nr 10 — **Łódzki Kombinat Budowlany „Północ",** poinformowany przez inwestora o rezultatach inspekcji sanitarnej, nawet nie dokonując oględzin wskazanego lokalu, stwierdził (pismo z 13 lipca 1987 roku):

„Przedsiębiorstwo stosując zgodnie z dokumentacją jako warstwę wyrównującą-ociepleniającą na stropach, płytę pilśniową miękką. Stosujemy płytę surową, nie impregnowaną żadnymi środkami bitumicznymi. Prawdopodobnie w tym przypadku nastąpiło incydentalne zanieczyszczenie płyty, bądź zastosowano przypadkowo impregnat. Przedsiębiorstwo wymieni wadliwą płytę wraz z podłożem".

Tym oświadczeniem Kombinat praktycznie przyznaje się do winy, czyli beztrosko zakłada popełnienie nieobliczalnej w skutkach fuszerki. Gotowość budowlanych do bezpłatnego wyremontowania lokalu nr 23 w ramach rękojmi, spółdzielnia mieszkaniowa pragnie potraktować jako pretekst zwalniający ją od wykonywania ekspertyzy bloku. Zdaniem wiceprezesa PSM, ekspertyza budowlana jest zbędna, a zakres ewentualnego odtruwania mieszkań ustali wrześniowa komisja po obejrzeniu i obwąchaniu innych lokali.

Rzetelnej ekspertyzy budowlanej domaga się jednak **Wydział Urbanistyki, Architektury i Nadzoru Budowlanego Urzędu Miasta Pabianic.** 10 lipca 1987 roku architekt miejski, **Wiesław Kruszyński,** nakazał spółdzielni mieszkaniowej:

„Wykwaterować lokatorów z mieszkania nr 23 w terminie natychmiastowym, usunąć występujące zagrożenia dla zdrowia mieszkańców poprzez: wykonanie ekspertyzy budowlanej (...), wykonanie robót określonych w ekspertyzie".

Prawomocna decyzja o natychmiastowym wykwaterowaniu, szczerze ucieszyła chorych emerytów. Zaczęli się nawet sposobić do przeprowadzki. Ale zamiast oczekiwanych kluczy do „zdrowego" mieszkania, dostają pismo, w którym zarząd **Pabianickiej Spółdzielni Mieszkaniowej** „uprzejmie powiadamia, że rozpatrzono pozytywnie wniosek ob. o zamianę mieszkania ze struktury M-3 na M-3. W związku z powyższym prosimy zapłacić w kasie spółdzielni 1000 złotych tytułem opłaty za rejestrację wniosku o zamianę mieszkania".

Pismo identycznej treści państwo Koniuszy znają na pamięć, odkąd po raz pierwszy wystąpili o zamianę mieszkania. Czekali wtedy sześć lat. Faktu, iż kazano im wpłacić tysiąc złotych, wolą nie komentować, choć nie bardzo pojmują, czemu mają finansować własną krzywdę.

Na bezowocnym czekaniu mijają trzy kolejne miesiące, podczas których chorzy ludzie nadal przebywają w zatrutym mieszkaniu. Swoją bierność spółdzielnia osłania trudnym do odparcia argumentem: na razie nie ma lokalu zastępczego. Kiedy taki lokal się znajdzie, tego nie wiedzą ani załamani emeryci, ani sam wiceprezes **Jacek Vogtt.**

ROMAN KUBIAK

Pod czyim dachem Filharmonia?

Rozmawiamy ze ZBIGNIEWEM LASOCKIM — dyrektorem naczelnym Filharmonii Łódzkiej

Z zagrożenie budynku filharmonii istniało, jak wiadomo, od dłuższego czasu, do wielu bowiem lat wiedziano o tym, iż nadejdzie moment, kiedy trzeba będzie, może nawet z dnia na dzień, przenieść się czasowo na inne miejsce, to znaczy przede wszystkim korzystać z innej sali koncertowej. Aż tu nagle spiętrzyły się niepomyślne okoliczności: zmarł dyrektor artystyczny, dyrygent Andrzej Markowski, odszedł na emeryturę dyrektor Kazimierz Mikołajczak i niemal jednocześnie uznano konieczność zaniechania koncertów w obecnej sali w trybie pilnym. I w takiej to sytuacji „zafundowano" naszej placówce aż trzech dyrektorów. Czy powołanie „triumwiratu" jest tym oczekiwanym wyjściem z wszystkich kłopotów?

— Można by odpowiedzieć, że liczba dyrektorów nie uległa zmianie, jedynie ich konfiguracja. Zrezygnowaliśmy ze stanowiska zastępcy kierownika artystycznego, którym był dyrektor Zdzisław Szostak, w zamian, z uwagi na oczekujące nas zadania o charakterze inwestycyjnym, powołaliśmy na stanowisko dyrektorskie inżyniera o dużym doświadczeniu organizacyjnym, Andrzeja Komana. To obecnie ten trzeci dyrektor oprócz mnie i kierownika artystycznego, dyrygenta Tomasza Bugaja. Myślę, że nie grozi nam zagubienie się we wzajemnych kompetencjach i żadnemu z nas nie zabraknie roboty.

— Czy mówiąc o czekających robotach ma pan na myśli tylko przystosowanie „Lutni" przez przebudowę sceny Teatru 7.15 na estradę koncertową, która pomieściłaby pełny skład symfoniczny?

— To przede wszystkim — jako sprawa najpilniejsza, nawet już niepokojąca, skoro mamy już drugą połowę sierpnia i sezon koncertowy za pasem. Ale liczymy też na to, że w dalszej przyszłości będziemy musieli popracować nad dokumentacją projektu nowej siedziby. Przedtem jednak być może wrócimy na jakiś czas do obecnego budynku.

— No właśnie! Pozwoli pan, że podniosę tę samą kwestię, co przed bodaj rokiem w wywiadzie z dyr. Mikołajczakiem. Czy doprawdy uważa pan, że na progu dwudziestego pierwszego wieku technika budowlana nie rozporządza możliwościami, które pozwoliłyby uratować dla celów koncertowych salę przy Narutowicza? Uważam, że nie docenia się u nas tego, co Rzymianie nazywali „duchem miejsca" — „genius loci", a więc ta świadomość tradycji, która nadaje miejscu swoisty nastrój sprzyjający przeżyciom. Tutaj przecież w ciągu przeszło siedmiu dziesięcioleci (co nie tylko dla Łodzi jest tradycją szacowną) koncertowały całe plejady wybitnych artystów, należących już do historii muzyki, tutaj też doznawało artystycznych wzruszeń kilka pokoleń łodzian. Czy więc nikt nie myśli o tym, żeby po iluś tam latach przejściowego użytkowania „Lutni", stanowiącej bądź co bądź scenę Teatru im. Jaracza, spróbować powrotu na stare śmieci?

— Odpowiedź na to pytanie wymaga poruszenia kilku spraw. Otóż ja również nie lekceważyłbym owego uświęconego tradycją miejsca, ale są w tej materii, jak sądzę, różne niewiadome. Wprawdzie zagrożenie sali runięciem stropu nie stało się ostatnio większe niż jest od lat, czyli, jak wolno przypuszczać, dość dalekie od momentu krytycznego, choć może się ono zwiększyć i trzeba tu trzymać rękę na pulsie...

— W razie czego, na kogo spadłaby odpowiedzialność?

— Formalnie ja byłbym „do bicia", ale jak powiadam, decyzja władz o zaniechaniu w najbliższym czasie koncertów wynikła bynajmniej nie ze zwiększenie się niebezpieczeństwa runięcia stropu, ani ze zwiększenia zagrożenia przeciwpożarowego, lecz raczej z zaostrzenia ostatnio przepisów przeciwpożarowych. Jak pan wie, od dość dawna nie wpuszcza się widzów na balkon ze względu na niedostateczną przepustowość drogi ewakuacyjnej.

— Czy z tego wynika, że od wykonania na czas remontu w „Lutni", na co się na razie nie zanosi, zależy terminowe rozpoczęcie sezonu filharmonicznego?

— Na razie sytuacja jest taka, że Wydział Kultury Urzędu Miasta Łodzi zwrócił się do dyrekcji teatru z pisemną prośbą o opuszczenie sali i dlatego dyrekcja filharmonii, uznając całkowicie racje i zalecenia straży pożarnej, biorąc też pod uwagę, że żadne niebezpieczeństwo zagrażające widzom w ostatnim czasie się nie zwiększyło, nie widzi innego wyjścia, jak rozpocząć sezon w terminie, w dotychczasowej siedzibie. Co dalej — zobaczymy, zwłaszcza, że jak się słyszy, Teatr im. Jaracza ma przedstawienia na scenie 7.15 wyprzedane na jakiś czas naprzód i dopiero kiedy ostatecznie opuści salę będzie można przystąpić do remontu.

— Ale jak rysują się dalsze perspektywy. Czy przewiduje się korzystanie z „Lutni" aż do czasu powstania nowego gmachu filharmonii?

— Przede wszystkim „Lutni" nie traktujemy docelowo i liczymy się z tym, że po przeprowadzeniu przez miasto remontu budynku przy Narutowicza wrócilibyśmy przynajmniej na pewien czas na stare miejsce, pod warunkiem jednak, że warunki akustyczne sali koncertowej nie ulegną pogorszeniu i że nadbudowa gmachu, jak się planuje, o jedną kondygnację w górę stworzy właściwe warunki zarówno muzykom, jak i słuchaczom.

— Kiedyś jednak brana była pod uwagę adaptacja przyległych budynków na potrzeby filharmonii.

— To całkowicie odpada, gdyż budynki te będą musiały być zburzone pod przyszłe metro, a gdyby nie to, i tak trzeba by było je rozebrać, żeby stworzyć niezbędny plac budowy wokół remontowanego gmachu filharmonii. Na marginesie dodam, że obecny budynek filharmonii znalazłby się w przyszłości, dzięki pobliskiej stacji metra, w bez porównania korzystniejszej sytuacji komunikacyjnej niż obecnie. W tym co mówię jest zresztą nie mniej przypuszczeń niż pewności, dopiero bowiem w trakcie remontu okaże się, czy będą mogły spełniać swoje funkcje boczne ściany filharmonii, będące w istocie ścianami sąsiednich budynków, mających ulec zburzeniu.

— Rozumiem, że nie można całkowicie przewidzieć sytuacji, jaka może powstać dla obecnego gmachu po planowanych wyburzeniach, ale czy nie można już dziś sprawy postawić następująco. Jeśli remont obecnej siedziby zapewni filharmonii odpowiednie warunki, powźmie się wtedy decyzję o powrocie z „Lutni" do starego gmachu na zawsze, czyli na „dającą się przewidzieć" przyszłość. Obecnie mści się przecież na sytuacji filharmonii niedostatek dotychczasowego przewidywania różnych wariantów.

— Też byłbym za tym, żeby jak najdalej wybiegać w przyszłość, ale nie zapominałbym o zasadzie, że lepsze okazuje się wrogiem dobrego. Otóż nie byłoby chyba słuszne, gdyby tak ważny ośrodek życia kulturalnego, jak Łódź, o takim zapleczu w szkolnictwie muzycznym, miał w przyszłości zrezygnować z szansy uzyskania nowoczesnego budynku filharmonicznego. Mogą zresztą do tego czasu wzrosnąć potrzeby społeczeństwa w zakresie muzyki poważnej i choćby z tego względu dotychczasowa sala mogłaby okazać się za mała. Mówimy przecież ciągle o okolicach roku 2000, bo na wcześniejsze oddanie nowego gmachu nie można chyba liczyć.

— Oby tak było. Ale tymczasem obecny projekt może się znacznie zestarzeć pod względem technicznym i wtedy powstanie gmach od razu nienowoczesny, a jeśli będziemy zmuszeni zamówić nowy projekt, pochłonie to znów znaczne sumy...

— Nagrodzony projekt inż. Witolda Millo jest jak mi się wydaje zarówno atrakcyjny, jak i funkcjonalny, otrzymał on dotychczas dwie pozytywne recenzje, co jednak nie wystarcza, ponieważ wymagana jest trzecia, z którą wynikła jakaś zwłoka. Będziemy zabiegać w Wydziale Kultury o przyspieszenie trzeciej recenzji, co umożliwi przystąpienie do prac nad szczegółową dokumentacją, a to potrwałoby zapewne kilka lat, podobnie jak budowa dalszych kilka lat.

— Widzę z tego, że nawet bez poślizgów terminu, które nie należą u nas do rzadkości, realny termin oddania do użytku nowego gmachu przypadłby rzeczywiście na przełom tysiącleci. No, jeśli potrzeba nowej siedziby okaże się oczywista i jeśli będziecie jej głównym gospodarzem. Ale wybiegam pewnie już zbyt daleko w przód. Chciałbym natomiast zapytać, czy nie ma pan żadnych obaw, że z powodu różnych kłopotów i trudności, które mogą wyłonić się w najbliższym czasie, a może raczej — pod ich pretekstem, nastąpi dążenie na to jakaś fuzja z inną placówką, czyli utrata niezależności organizacyjnej, a w ślad za tym, co byłoby nieuniknione, utrata autonomii orkiestry symfonicznej łódzkiej filharmonii, jednej z lepszych orkiestr w Polsce. A oznaczałoby to nieuchronny regres muzyki symfonicznej w Łodzi. Jest to też temat, który poruszałem już w rozmowie z dyr. Mikołajczykiem, ale sprawa jest tak ważna dla polskiej kultury muzycznej, że nie zawadzi chuchać na gorące.

— Chyba rzeczywiście takie niebezpieczeństwo w pewnym momencie zaistniało, — ale myślę, że dla czynników decydujących było jasne, że oznaczałoby to niepowetowaną stratę dla muzyki w tak ważnym ośrodku, jak Łódź.

— Jeśli mi wiadomo, orkiestra symfoniczna powinna odbywać próby tylko w sali, w której potem koncertuje, czyli musi mieć salę całkowicie do własnej dyspozycji...

— Argumentów za niezależnością placówki jest multum...

— Za niewiele dni inaugurujecie więc sezon w starej siedzibie, ale co dalej. Czy w tak niepewnej sytuacji można liczyć na program koncertowy bazujący na pełnym składzie orkiestry symfonicznej.

— Mogę zapewnić, że zaplanowaliśmy program bogaty i urozmaicony z udziałem wielu interesujących wykonawców, co powinno zaspokoić oczekiwania łódzkich melomanów, na których liczną obecność na naszych koncertach bardzo liczymy.

— Pozwoli pan, panie dyrektorze, iż zapytam niedyskretnie, czy pełniona funkcja nie zabierze panu, jako czynnemu muzykowi zbyt wiele czasu i energii ze szkodą dla działalności artystycznej.

— Przede wszystkim mam na uwadze to, że od losów łódzkiej filharmonii zależy w znacznej mierze sytuacja kultury muzycznej Łodzi. A to przecież jest mi nieobojętne jako muzykowi. W każdym razie nie zamierzam rezygnować z grania.

— Bardzo panu dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
JERZY KWIECIŃSKI

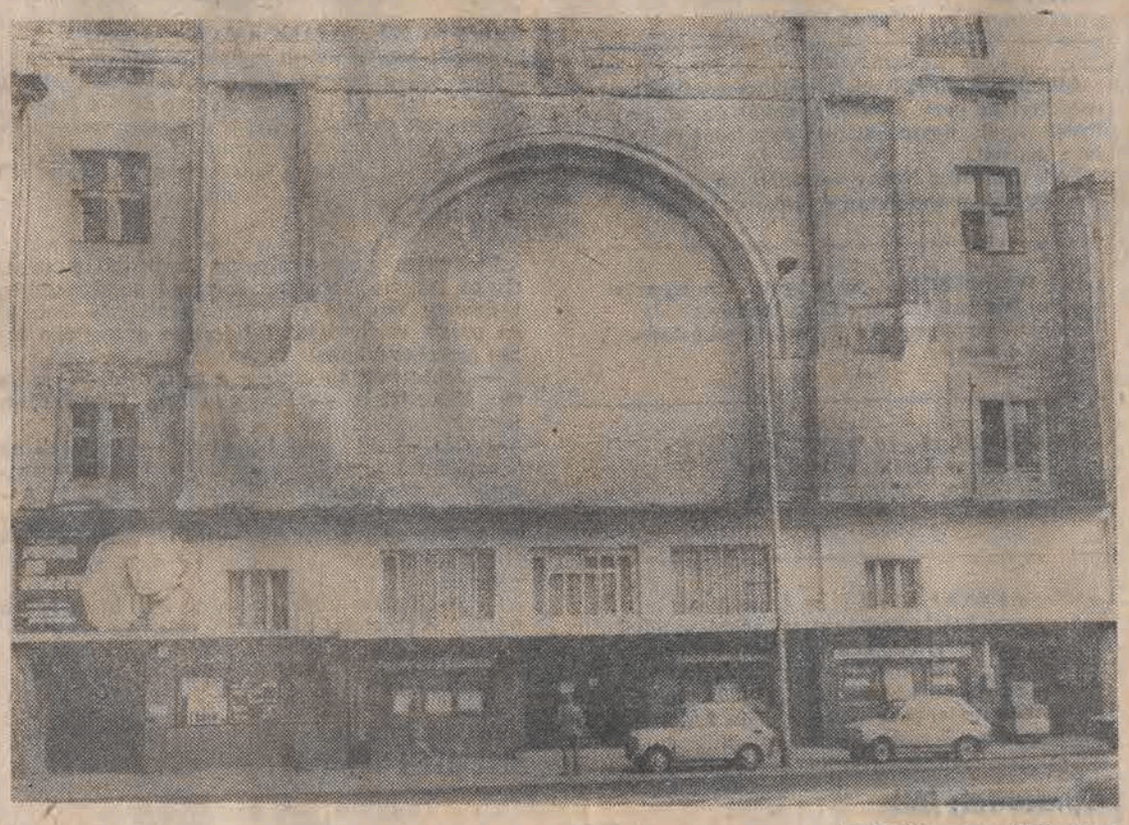

Foto: Grzegorz Galasiński

Mówi: Bogdan Hussakowski

— Do jakiego pokolenia zalicza pan siebie?

— Metryka mówi o średnim, ale nie mam problemów w nawiązywaniu kontaktów z pokoleniem młodych.

— Wtedy było prościej czy trudniej przebijać się?

— Trudniej, bo mieliśmy nad sobą dwie warstwy pokoleniowe: średnie (Jarocki, Swinarski) i starsze (Korzeniowski, Kreczmar, Axer). Trzeba więc było dłużej terminować.

— Początkowo chciał pan zostać aktorem?

— Byłem nim przez trzy sezony w warszawskim Teatrze Klasycznym (obecnie Studio). Później na tyle intensywnie zająłem się reżyserią, że trzeba było wybierać. Nieskromnie muszę dodać, że ani studia aktorskie w krakowskiej PWST, ani te trzy sezony nie zdążyły mnie pogrążyć w nadmiernych kompleksach.

— Ostatecznie zdecydował się pan na reżyserię...

— Jeszcze na wydziale aktorskim byłem zdecydowany, że reżyseria będzie moim głównym zajęciem w teatrze. Dlatego wybrałem reżyserię, że poprzez nią nieporównanie łatwiej jest zaspokoić ciekawość świata, a właśnie ona zagnała mnie do teatru.

— Będąc dyrektorem i kierownikiem artystycznym teatru może pan sobie pozwolić na wszystko jako reżyser?

— Zanim zostałem dyrektorem też mi się tak wydawało. Obecnie dyrektorowanie pomogło mi w pełni zrozumieć słynną maksymę, iż wolność jest uświadomioną koniecznością.

— Niedawno zabrano panu trzecią scenę, chyba tę najbardziej rentowną dla teatru. Tak łatwo pan się poddaje?

— Jeśli wierzyć ustaleniom (a nie mam powodu nie wierzyć), zabrano nam tylko budynek przy ul. Piotrkowskiej. Scena „7.15" będzie funkcjonować przy ul. Moniuszki (Teatr Rozmaitości). Zgodziłem się więc na zmianę lokalizacji, ponieważ Filharmonia Łódzka rzeczywiście znalazła się w stanie krytycznym. Dodam, że zespół aktorski Teatru im. S. Jaracza jest skonstruowany dla potrzeb trzech scen i pozbawienie go jednego z miejsc pracy oznaczałoby jego natychmiastową erozję i rozbicie. Z kolei wydaje mi się, że rozproszenie jednego z najlepszych polskich zespołów aktorskich byłoby zbyt wysoką ceną jaką trzeba byłoby zapłacić za rozwiązanie nienowego przecież problemu łódzkiej filharmonii. Ale może się mylę...

— A przecież mówi się o panu, że jest największym dyplomatą wśród dyrektorów teatrów?

— Dyplomacja nie może oznaczać takiej gotowości do kompromisu, która staje się celem samym w sobie. Jeśli rzeczywiście stosuję taktykę czy zabiegi, które można określić jako dyplomacja, to po to, żeby zespołowi coraz lepiej się pracowało. Dyplomacja musi się skończyć tam, gdzie ludziom zaczyna zagrażać widmo utraty warsztatu pracy. Wtedy Taleyrand musi ustąpić miejsca Rejtanowi.

— Czy w teatrze można wylansować aktora?

— W teatrze można aktora uformować i rozwinąć. Film, TV, radio, dubbing pomagają aktorowi zdobyć popularność, ale jednak są wobec jego talentu pasożytami.

— Kogo uformował i rozwinął pan w swoim teatrze oprócz żony — aktorki?

— Wolałbym uniknąć wyliczanki, ale wydaje mi się, że spora grupa naszych aktorek i aktorów coraz poważniej liczy się na aktorskim rynku, nie mówiąc już o tych, którzy pojawili się wśród nas wylansowani. Obserwowanie rozwijających się z roli na rolę osobowości i talentów jest jedną z najpoważniejszych satysfakcji w zawodzie dyrektora. Ta satysfakcja osładza świadomość, iż w każdym teatrze tak wiele osób wciąż czeka na swoje pięć minut.

— Kto dominuje w domu?

— Basza — pies rasy basset.

— A kto w domu gospodaruje?

— Oboje.

— Urlopy spędzacie razem czy osobno?

— Różnie, w tym roku osobno.

— Tak bardzo jest pan zajęty zawodem, teatrem, że podejrzewam, iż nie ma życia prywatnego?

— Bardzo chciałbym móc się z tym przypuszczeniem nie zgodzić, ale ciężko mi odnaleźć dowody na swoje własne życie pozateatralne.

— Ale słyszałem, że mimo największego zapracowania potrafi pan znaleźć czas na swoje największe hobby — kuchnię?

— Któryś z moich przyjaciół zauważył z przekasem, że tylko po książkach kucharskich w mojej bibliotece widać, iż są naprawdę często używane. Rzeczywiście, bardzo lubię kulinarne wycieczki w różne strony świata, a szczególnie pasjonuje mnie kuchnia orientalna.

— Czy w obecnych czasach łatwiej jest być aktorem, reżyserem, dyrektorem teatru czy kucharzem?

— W teatrze coraz trudniej pracuje się w każdym z tych zawodów.

— Jaką politykę repertuarową będzie pan prowadził w nadchodzącym sezonie teatralnym?

— Interesujący twórcy będą realizować u nas wiele ciekawych, a często nieznanych do tej pory tekstów. To taka magiczna formuła.

— Jaką rolę przewidział pan dla siebie?

— Może uda mi się wepchnąć.

— Z natury jest pan optymistą?

— Z natury jestem, doświadczam jednak zdarzeń i sytuacji, które tę naturalną skłonność wystawiają na ciężką próbę.

— Na przykład — co?

— Chciałbym nadal zostać optymistą po załatwieniu przeprowadzki „7.15". Oby nie było to „ostateczne rozwiązanie" tego problemu.

— W tym roku otrzymał pan nagrodę „Trybuny Ludu" za osiągnięcia reżyserskie i wkład w rozwój życia teatralnego Opola i Łodzi. Ale do nagradzania nie ma pan specjalnego szczęścia?

— To prawda, zdążyłem się do tego przyzwyczaić.

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

Roman Gorzelski

W blasku pierwszej gwiazdy

Ukryj mnie Boże w fałdach swoich szat
zanim ogień śniegu ogrzeje me ciało
jestem przecież tylko dalszym ciągiem ziemi
:dzień staje się dla mnie chlebem powszednim
a noc zwyczajną odludną przystanią
— Ty rozkazujesz gwiazdom i liczysz im lata
uczysz ptaki śpiewać, termity budować swoje
pałace
nawet księżyc pozwoliłeś ludziom osiodłać
dlatego ukryj mnie w fałdach swego
niebieskiego płaszcza: odchodząc
zostawiłeś nam lecznicze zioła
i zioła sprowadzające sen wieczny
(nasz początek w Tobie i nasz koniec)
każdy dzień pobytu tutaj to jałmużna dla nas
przemawiasz do nas nie mówiąc
usta Twoje pełne mądrych słów
mogą być w źdźble trawy i w skrzydłach
wróbla
to dzięki Tobie skała ma swą pamięć
a zakończenie drogi przyjazny dom
i klątwa nad klątwami do piekieł powraca
łzy perzem porosną i biel powróci na szczyt
latarni nadziei
— gdzieś młoda matka nie wiedząc o tym
śmierć w swoim dziecięciu kołysze
słowa muzycznieją i odchodzą od niej
wieczność grzeje się jak kot pod ciepłym
piecem
i pierwsza gwiazda przestaje być pierwszą

Ucieczka na południe

To tam pośród mórz złotych ziemia się kołysze,
Rybak wiosło powoli wyjmuje z tej wody,
A wzdłuż brzegów od wieków — zielone ogrody
I flotylla delfinów zaplątana w ciszę.

Źródło bielą strumienią ucieka z zieleni,
Idzie z dzbanem dziewczyna w słońce
zapatrzona.
Tylko czas na tej wiecznej wyspie nie pokona
Człowieka i nie wpędzi go w krainę cieni.

Może jeszcze na brzeg ten wejdzie ktoś z
północy
I zatrzyma przez chwilę przy swej łodzi oczy —
Przy łodzi, którą przybył do miejsca wygnania.

Morze ziemię kołysze, wyciąga strumienie,
Ziemia w morzu się nurza, a drzewo korzeniem
Łączy wody i niebo i bezmiar czekania.

Depesza z Kolumny

Mam to co chcę: święty spokój
na trotuarze miedzy
z oknami wystawowymi łąki
i strumienia

Jazda pociągiem

Buk dąb grab
wiąz jesion platan lipa
klon jawor brzoza topola
kasztanowiec grochodrzew
klon jesionolistny jodła
świerk kłujący daglezja
sosna czarna miłorząb cis
i inne gatunki które
szkoda chyba na trumnę
dla ciebie — dla mnie

Na dzień do Tomaszowa

Tombak to sztuczne złoto
(stąd blisko do tanich kawiarnianych myśli)
Tomasz to człowiek niewierny
(wiadomo jak sprawdzał widziane rany)
tomka to trawa pachnąca snem
(nadaje sianu swoistego aromatu)
Tomaszów Mazowiecki to miasto nad Pilicą
(pełne fabryk włókienniczych i wielu ludzi)
— tyle zdążyłem przeczytać w okazyjnie
nabytej księdze
gdy kelnerka podając mi herbatę mówi:
zarówno człowiek jak i miasto
czasem rodzi się dobre a czasem złe
i nie pomogą tu żadne próby aby cechy te
wymazać
myślę: są pary które tu rządzą — niebo i
ziemia
dzień i noc — ogień i woda — drzewo i metal
miasto i wieś — śmierć i życie
:nie należy im się przeciwstawiać
bo współżyją z sobą w pozornej walce
jak kwiat i korzeń
— jak człowiek i miasto...

Fascynacja upadkiem

„Jestem kobietą której obnażono płeć
i odebrana mi jest moja moc"
Takim mottem otworzyła swój debiutancki tomik „Ja woda" Mirosława Marinow. Zdanie to, jak okrutna skaza, ciąży na zawartych w nim wierszach. Autorka przeżywa bolesny dramat swojej kobiecości. Poprzez zbuntowany nihilizm przeprowadza negację wartości, które stoją w opozycji z jej osobistymi normami moralnymi. Odrzuca kobiece ciepło i opiekuńczość, co uwidacznia się zwłaszcza w wierszach o charakterze erotycznym. Marinow próbuje epatować odbiorcę mniej lub więcej czytelnymi wulgaryzmami. Jej wiersze utrzymane są w konwencji poezji kobiecej w pewnym sensie „odfeminizowanej", która w ostatnich latach jest tak modna wśród piszących pań, że wspomnę tylko E. Karpinowicz, A. Biedę — Wiśniewską, E. Ostrowską czy S. Pułę. W licznych tekstach razi kalectwo emocjonalne ukierunkowane na odrzucenie wyższych uczuć. Miłość dla autorki i zdaje się, że zarazem bohaterki wierszy, to druzgocąca klęska rozbijana falami wyuzdanego, bolesnego erotyzmu przemieszanego ze strachem o ukochanego.

„Mężczyzna subtelnie rozbierając dziewczynę
fachowo drażni jej sutki
Dziewczyna jest porażona
ale kocha go
Kiedy naga leży pod kołdrą
a on wsuwa się do niej
przez chwilę dotyka ją
obcy drąg..."
i dalej
„Kiedy on przechodzi przez jezdnię
ona umiera
by go nie zabito..."
s. 13

Psychika bohaterki tekstów Marinow, kreowana w wierszach, poszukuje uczucia a nie mogąc go znaleźć, z powodu własnego kalectwa, stara się szargać to co piękne i wartościowe. Autorka ukazuje kobiety czy kobietę chorą z braku autentycznej miłości. Nienawidzącą seksu, który jest jednak nieodzownym składnikiem gry. Bardzo ponurej, ciemnej rozgrywającej się w piwnicach rzeczywistości. W niekonsekwentnej kreacji twierdzi, że jest dziewicą by w kolejnym tekście mówić ustami bohaterki o oddawaniu się „nieszczęsnym zboczeńcom" a nawet ojcu, który trzymał ją mocno w przegubach i zapładniał na stojąco (s. 8). Choroba braku uczuć jest podkreślana poprzez umieszczenie akcji w szpitalach, salach operacyjnych, domach dla obłąkanych.

„Na każdy drewniany stół operacyjny
wniesiono ułożono to
Dwóch mężczyzn w białych fartuchach
opracowywało to
To było szczęśliwe
to tylko było
Było to dużą chudą kobietą"
s. 35

czy w innym miejscu
„... weź łyżkę
ginekologiczną
najlepiej
może uda Ci się to usunąć..."
s. 30

Często, obsesyjnie niemal pojawiają się w wierszach żmije, węże, krem do twarzy i woda. Z ich pomocą Marinow stara się budować obrazy stanowiące swoiste wykrzywienie rzeczywistości, którym brak jednak istotnego przesłania.

Na pierwszy plan wysuwa się wszechobecna degradacja wyższych wartości. Rzuca się w oczy wypalona przestrzeń niezdolna do tworzenia piękna choć pragnąca go i jednocześnie z całą świadomością odrzucająca możliwość jego posiadania i poszerzania.

„... — oto dziecko z przedwcześnie rozwiniętą macicą
z rosnącym przerażeniem ślinią palce
onanizowało się
w ubikacji
— oto dziewczyna o krwawiących powiekach krzyczała
gwałcona
nad przepaścią..."
s. 34

Anatomia rozpadu żyjącego ciała będąca chwytem dość powszechnie używanym przez autorów najmłodszych pokoleń u Marinow zdaje się wkraczać w sferę osobistych wynurzeń.

„Rozwiązuje się brzuch
miękną uda..."
s. 33

Roznegliżowane wnętrze staje się barierą w odbiorze, równocześnie znosząc granicę między światem realnym i fantazją poetycką.

„Jeszcze nigdy nie byłam kobietą
Jeszcze nigdy nie spałam z mężczyzną..."
s. 62

Ciekawe natomiast są próby reportażu poetyckiego (s. 16) a wręcz doskonałe niektóre z krótkich form choć jako całość zdają się być tylko zapisem, z którego autorka dopiero zamierza przygotować rozbudowany tekst.

„Szerokimi schodami wchodził śnieg na palcach"
s. 43

Czuć tutaj ulotność sytuacji, jej delikatność wysublimowaną do granic jednego zdania. Miejmy nadzieję, że w tym kierunku rozwijać się będzie twórczość Mirosławy Marinow. Zbyt wiele słów zaciera często prawdziwą wartość zapisanych myśli. Bunt natomiast powinien stawać się pomocą nie zaś przeszkodą. „Poety nigdy nie można zabić do końca" (s. 27) to zdanie niech będzie prawdziwym mottem przy czytaniu tego tomiku.

MIROSŁAW PISARKIEWICZ

Mirosława Marinow, „Ja, woda", Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1987.

Kronika kulturalna

ŁÓDZKIEJ SZKOLE BALETOWEJ, jednej z nielicznych tego typu placówek w kraju, **nadane zostanie w styczniu przyszłego roku imię Feliksa Parnella** (wielce **zasłużonego** dla naszego miasta **choreografa).**

Przed szkołą stanie popiersie F. Parnella, dłuta Antoniego Białasa. Otwarta zostanie również **wystawa, obrazująca dorobek twórczy tego wybitnego artysty. Znajdą się na niej** cenne pamiątki po artyście (przekazane przez jego żonę).

Nowoczesny a zarazem funkcjonalny wystrój szkoły przygotują plastycy z Pracowni Sztuk Plastycznych. Wnętrze jej ozdobi m. in. dziesięć portretów słynnych polskich i zagranicznych choreografów i tancerzy.

W TYM ROKU obchodzi dwudziestolecie Łódzkie Towarzystwo Przyjaciół Książki,
zrzeszające w swych szeregach **ponad 120 członków. Przyświeca im piękna dewiza — amor libri nos unit (łączy nas miłość do książki).**
Przez siedemnaście lat kierował pracami Towarzystwa z ogromną pasją i oddaniem, **Michał Kuna** — bibliotekarz, typograf i zapalony bibliofil. Prezesurę po nim — od trzech lat — przejął **Bogdan Jastrzębski.**

W ciągu dwudziestu lat **ŁTPK wydało kilkadziesiąt publikacji dotyczących Łodzi i regionu** — w pięknym wystroju edytorskim.

W kręgu Towarzystwa narodził się pomysł, organizowanej przez łódzkie BWA, **międzynarodowej wystawy „Małe formy grafiki",** której komisarzami są znani bibliofile: Michał Kuna i Grzegorz Matuszak.

GORĄCO ZACHĘCAMY do zwiedzenia przepięknej wystawy — „Skarby pradawnej Polski od Wenetów do Piastów", czynnej w warszawskim Muzeum Archeologicznym.
Zawiera ona prawie cztery tysiące eksponatów.

W osobnym dziale, obrazującym początki tworzenia się Państwa Polskiego, znajdują się m. in. tak **bezcenne klejnoty naszej kultury narodowej, jak włócznia św. Maurycego,** ofiarowana przez Ottona III bądź słynny **„Szczerbiec".** — **miecz koronacyjny królów polskich.**

Są ponadto bogato eksponowane **najdawniejsze zabytki piśmiennictwa, przedmioty sakralne, detale architektoniczne oraz przepiękne ozdoby — obok których nie przejdzie obojętnie żadna kobieta.**

Wystawę tę, która była prezentowana w kilku miastach włoskich, wzbudzając zachwyty, można oglądać do końca października.

PRZY ZWIĄZKU PISARZY ZSRR powstała **rada do spraw literatury krajów socjalistycznych.**

Zajmie się ona koordynacją rozwoju kontaktów z literatami tych państw. Wydawać będzie almanach „Horizont".

Na czele rady stanął Władimir Ogniew, który został zarazem redaktorem naczelnym almanachu.

DLA AMATORÓW MOCNYCH WRAŻEŃ powstała w Moskwie nowa scena nosząca nazwę **„Detektyw". Będą na niej grane** wyłącznie sztuki o tematyce kryminalnej i sensacyjnej.

Dyrektorem nowego przybytku Melpomeny **został Witalij Sołomin.** Grał on rolę doktora Watsona w filmie o przygodach Sherlocka Holmesa, wyświetlanym przez radziecką telewizję.

SPECJALIZUJĄCE SIĘ W LITERATURZE MŁODZIEŻOWEJ Wydawnictwo „Iskry" obchodzi w tym roku 35-lecie.
Oficyna ta położyła szczególne zasługi w promocji polskiego reportażu, młodej poezji i prozy. Umożliwiła start literacki wielu pisarzom.

STOWARZYSZENIE MUZYKÓW ROZRYWKOWYCH („STOMUR") **zorganizuje w Warszawie, w czasie trwania „Jazz Jambore '87"** (od 21 do 25 października br.) **Ogólnopolską Wystawę Instrumentów Muzycznych oraz Sprzętu Elektroakustycznego (OWIM '87)**

LICZNE RZESZE wielbicieli muzyki rockowej spędziły noc przy świecach wokół domu Elvisa Presleya, dla upamiętnienia dziesiątej rocznicy jego śmierci.

Pod względem liczby sprzedanych płyt Presley jest niepokonanym rekordzistą.

NA WĘGRZECH — w Tokaju — **odbywały się Dni Muzyki i Tańca Cygańskiego. Występowały zespoły z Polski, Czechosłowacji, Francji i Węgier.**

W DNIACH 18—20 WRZEŚNIA 1987 r. odbędzie się **w Łodzi,** w Muzeum Historii Miasta, **Ogólnopolski Zjazd Bibliofilów.**

NA SŁYNNEJ AUKCJI w Jerozolimie anonimowy **kolekcjoner amerykański zapłacił 858 tys. dolarów!!! za „Kwiaty" Marca Chagalla.**

Jak dotąd, jest to **rekordowa cena za którą nabyty został** obraz zmarłego w 1985 r. wybitnego **malarza francuskiego — żydowskiego pochodzenia.**

Opracował: JAK

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko – obyczajowa

SPRAWIEDLIWY PODZIAŁ

Zjechali się na popas w karczmie jezuita, dominikanin i bernardyn. Wszystkim chciało się jeść niezmiernie, a jak to zwykle po naszych karczmach bywa, nie było czym ani ptaka pożywić. Ale fortuna im się uśmiechnęła: kura jajo zniosła. *„Bonum omen!* — zawołali — *może Opatrzność chce nas nakarmić, jak niegdyś kilka tysięcy ludzi siedmią chlebami i dwoma rybami".* Kazali więc jajo gotować, a gdy już ugotowano i podano, rozmyślali, jak też jaje na trzy równe części podzielić. Jezuita wnosił, żeby podzielić na cztery i jemu, jako starszemu zakonem Societatis Jesu, dać dwie ćwiartki, lecz dominikanin utrzymywał, że Ordo predicatorum jest dawniejszy, a na to bernardyn zaproponował, że kto powie najstosowniejsze dictum z ewangelii lub z jakiego obrządku wiary świętej, ten całe jaje dostanie. Jezuita i dominikanin równie dobrze rozumieli o swojej sapiencji, o bernardynie zaś, pewni będąc, że w najgorszym razie, jeżeli obadwa zarówno mądrze powiedzą, to po pół jaja dostaną, a bernardyn ani powącha — przystali więc na projekt.

Najpierwszy zatem wziął jezuita; **stłukł jajo** i obłupując skorupkę rzekł: „Egrede ex domicilio tuo"; po czym podał dominikaninowi, a ten wziąwszy szczyptę soli mówił: „Accipe salem sapientiae" i podał bernardynowi; ten zaś przeżegnawszy rzekł: „consumatum est", i połknął.

Ludwik de Laveaux: Pamiętniki. Kraków 1879

NAD MISKĄ BIGOSU

Dwóch Podlasiaków jedząc bigos, znajdują na dnie miski trzewiczek dziecinny. Skarżą się przed kucharką, która pyta ich, co w tym tak złego.

— *Wiemy, że nic złego, ale to miejsce w misce zabiera i przez to mniej dostaliśmy bigosu.* „Kurier Warszawski", 1848, nr 78

HERETYK

Siostra gubernatora podolskiego, stara panna, hr. Grocholska, specjalną animozją pałała do Adama Mickiewicza. Spędziła z nim czas jakiś w Rzymie, więc nic dziwnego, że niejednokrotnie wypytywano ją o wieszcza narodu. Odpowiedź hrabianki zamykała się stale w słowach: *„Nic, nic nie powiem. Był heretykiem".* Poza tym niepodobna było nic wydobyć ze staruszki.

Jeśli jednak przypomnę, że nieprzyjaciółka Mickiewicza wyrzuciła ze służby za „niemoralność" młodą dziewczynę, piorącą w jednej balii bieliznę męską i żeńską, wówczas i jej ocena *wieszcza we właściwym wystąpi świetle.*

M. Rolle: Typy i oryginały kresowe. „Kurier Literacko-Naukowy", 1932, nr 9.

NIEDBALUCH

Sławny poeta Stanisław Trembecki, znany był z licznych dziwactw, o ubiór własny był tyle niedbały, że nieraz musiał go kamerdyner chcącego iść na pokoje królewskie przytrzymywać, ażeby mu włożyć biały kołnierzyk. Do liczby różnych jego dziwactw należy i to, że raz postanowiwszy przez rok cały nic więcej nie jeść na śniadanie, jak tylko groch, dotrzymywał słowa. „Kurier Warszawski", 1829, nr 33

ORGANIZACJA PRACY

W czasie Wielkiejnocy pewien bernardyn w Sł. w ten sposób przemówił do swych słuchaczów: *„Dla uniknięcia natłoku jaki zwykł bywać w tej porze u konfesjonałów, oświadczam wam, bracia moi, że w poniedziałek będę słuchał spowiedzi oszczerców, we wtorek lichwiarzy, w środę pijaków, w czwartek złodziei, w piątek lubieżników, w sobotę kobiety złego życia".* Domyślić się można, iż nikt do spowiedzi nie poszedł — tego to właśnie żądał bernardyn. „Tygodnik Polski", 1819, nr 2

POTRAWY CUDZOZIEMSKIE

Dobra na Włocha żaba, a do niej sałata,
Polakom sztuka mięsa zawsze będzie grata,
Dobra gęś z czarną juchą, nadziewane prosię,
Może to mieć i każdy, kto będzie dbał o się.
Na ostatek obiadu z odłużanym grochem,
Weźże diable kasztany pospołu i z Włochem.
„Kurier Warszawski", 1830, nr 159

WYRACHOWANIE

Lichwiarz pewny słysząc kaznodzieję przeciwko lichwie każącego, zaprosił go do siebie, i dawszy mu sto czerwonych złotych, mocno go prosił, ażeby żwawiej jeszcze przeciwko temu grzechowi kazał.

— *Jakże mię ty śmiesz o to prosić* — rzecze mu kaznodzieja — *kiedy ty sam lichwiarzem jesteś?*

— *Oto* — odpowie lichwiarz — *iż jeżeli ty kazaniami swymi lichwiarzów poprawisz, wszyscy do mnie przychodzić będą ludzie, i ja natenczas więcej niż teraz dla tak wielkiej liczby podobnejże mnie profesji ludzi, zyskać będę.*

C. A. Kaliszewski, Zebranie gładkich i dowcipnych powieści i listów. Warszawa 1758.

Opracował: ANDRZEJ KEMPA

Leonard: „INKARNACJA"

Rozszedł się już drugi nakład niebywale interesującej książki Leonarda „Inkarnacja". W przygotowaniu jest drugie wydanie „Upiora" tegoż autora. Fragmenty „Upiora" drukowaliśmy w „Odgłosach". W pierwszej połowie 1988 roku ukaże się nakładem Wydawnictwa MON nowa książka Leonarda „Matnia". Fragment „Matni" drukowaliśmy w „Odgłosach". Od października 1987 roku w „Odgłosach" będziemy publikowali obszerne fragmenty „Matni" z ilustracjami Januszn Szymańskiego-Glanca.

Dla przypomnienia Czytelnikom „Odgłosów" powieści Leonarda „Inkarnacja" publikujemy fragmenty Rozdziału V części I. Tytuł fragmentu pochodzi od redakcji.

Zasadzka na oceanie

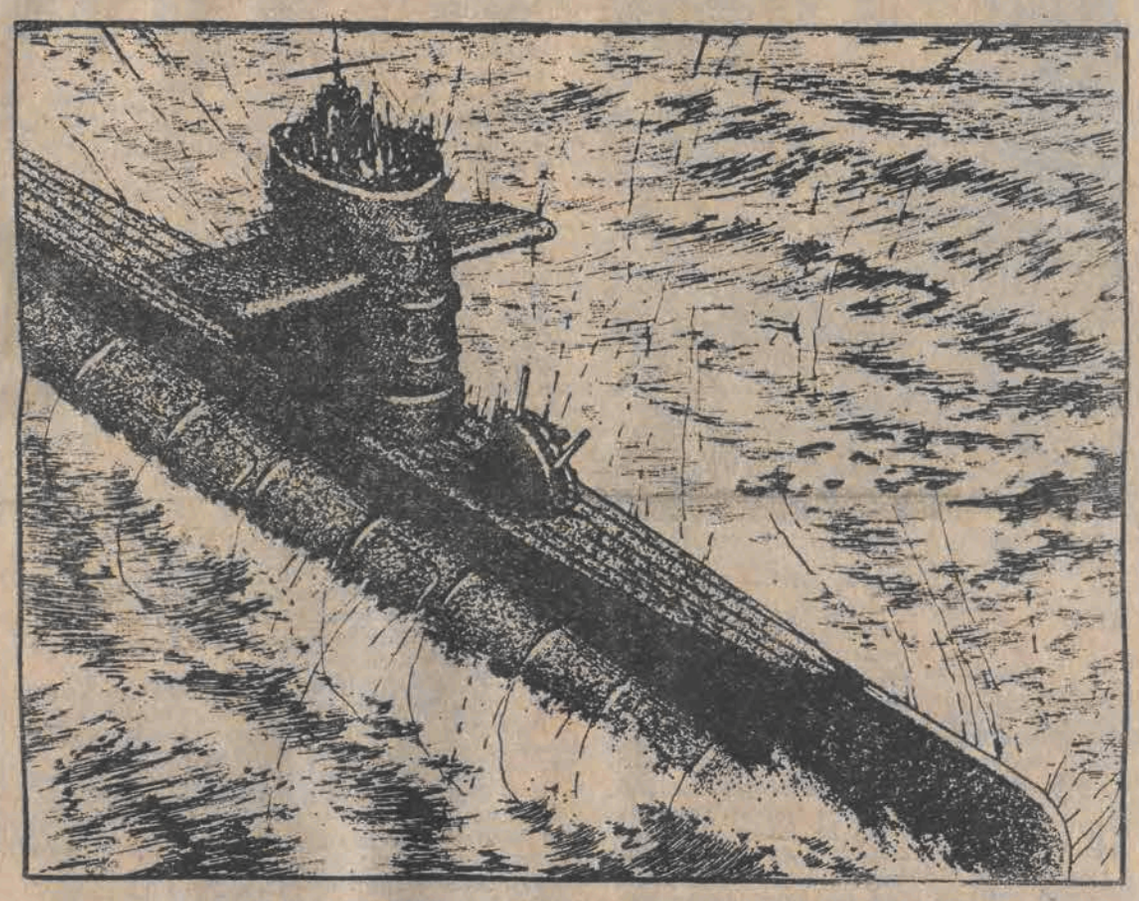

(2)

Godzina 18.39:

Męcząca duszność potęguje się. I ten nadmiar śliny w ustach, którą można się udławić. Duszność i cisza. Ocean jest wciąż spokojny, ale zmiana barw — ze szmaragdowego w ciemnozielony, z ciemnozielonego w niebieskawy — zapowiada ochłodzenie. Tylko słońce jest jednakowo obojętne. Rozpaloną tarczą, chyląca się ku widnokręgowi, oślepia lewą burtę; bez przyciemnionych okularów nie pozwoli spojrzeć w twarz.

Doprowadzenie siłowni do ruchu skończone. Jeszcze chwila, a włączony zostanie agregat i — do Nou. Najwyższa pora: za dwadzieścia minut ciemność. Z prawej burty, z kierunku wstawania słońca widoczność jest doskonała. Sto mil na wschód od mostku kapitańskiego „Natalie", gdzieś między biurem Société le Nickel a swoim bungalowem kręci się Marie-Ange. Wcale nie przeczuwa niespodzianki, jaka ją jutro spotka. Kobiety podobno lubią niespodzianki, Ransart nie. Hazard lubi, niespodzianek nie. Żadnych. Ani z kobietami, ani w ogóle.

Wachtowy z lewego skrzydła pomostu osłania ręką oczy przed oślepiającym słońcem. Jest zmęczony bezczynnością. Nic bardziej nie rozkłada człowieka jak widok lustrzanie gładkiej powierzchni oceanu oglądany z pokładu unieruchomionego statku. Zdechnąć można na takiej patelni, dostać kuku na muniu, ujrzeć fatamorganę.

— Kapitanie, mamy towarzystwo! — Ożywia się — Sto jardów od burty. Chyba... tak okręt podwodny. Ale olbrzym! Widział pan już coś takiego?

Frank ma rację zarzucając spadek dyscypliny „Kapitanie, mamy towarzystwo..." A gdzie namiar przy meldowaniu spostrzeżonego obiektu, jaki obserwator marynarki wojennej powinien był najpierw podać?

Mruży oczy w kierunku prawego skrzydła pomostu i z wrażenia drętwieje.

„All stop. Nie włączać radiostacji, bo storpeduje. Cała załoga opuścić statek. Natychmiast" — odczytuje sygnały świetlne podawane aldisem.

Równocześnie z sygnałami spod kiosku wynurzonego okrętu podwodnego z napisem U-1352 rozlega się wezwanie:

— Opuszczać statek! Wodować szalupy i opuszczać! Załodze gwarantuje życie! Daję sześćdziesiąt sekund! Sześćdziesiąt. W sześćdziesiątej pierwszej torpeduję! Uwaga, zaczynam! One... two... three...

Okręt-widmo. Oficjalnie pogrzebany stoi jak ręką sięgnąć od burty „Natalie" z lufami dział wycelowanymi w statek.

Dłoń Ransarta mechanicznie uruchamia wściekłe ujadanie dzwonków alarmowych.

Salwa ostrzegawcza z dział przecina ze świstem powietrze, dwie fontanny wody wzbijają się pięćdziesiąt stóp od dzioba „Natalie".

— Szalupy na wodę! Opuszczać statek — żąda przez tubę akustyczną spod kiosku dowódca okrętu-widma

— ... osiem... — liczy dalej — dziewięć... dziesięć... Do sterówki wbiegają zdyszani Mizera i Birnem.

— Nie do wiary! — mówi wciąż zdrętwiały Ransart. — Przepadliśmy...

Mizera wyszczerza zęby w szatańskim uśmiechu.

— Ale najpierw powalczymy. Ślizgaj się chyłkiem do swoich ludzi. Do dział! — Budzi z odrętwienia swego zastępcę. — I tak jak ćwiczyliśmy!

Skulony za oszalowaniem sterówki wciska Birnowi na głowę wyszamerowaną złotem czapkę kapitana francuskiej marynarki handlowej.

— Wchodzisz w swoją rolę — mówi z ukrycia. — Musimy zyskać na czasie. Bierz tubę i powtarzaj za mną. Sygnalista, nadawaj to samo aldisem. Jazda. Leon Kapitan statku do dowódcy okrętu — podpowiada — radiostacja wyłączona!

— Kapitan statku do dowódcy okrętu — krzyczy w tubę Birn. — Radiostacja wyłączona! Zastoso..

— Głośniej!

— Radiostacja wyłączona! Zastosujemy się do rozkazu, ale minuta nie wystarczy: mamy awarie agregatu prądotwórczego!

Dobitny głos roznosi się echem po morzu, wysoki blondyn z naramiennikami komandora porucznika u-bootwaffe, stojący w rozkroku pod kioskiem, nie może go nie słyszeć. Marynarze uzbrojeni w pistolety maszynowe rozstawiają się w tyraliere na pokładzie okrętu, z kiosku, z włazu załogowego na śródokręciu wysypują się dalsi

— ... dwanaście... trzynaście... czternaście... — Birn napina głos.

— Kapitan statku do dowódcy okrętu... — przechodzi na łamany niemiecki. — Radioaparat schweigen! Strom kaputt! Mannschaft weg gehen schiff aber ein minute nicht genug. Verstanden?

— szesnaście... siedemnaście... osiemnaście...

— Maszyna nie człowiek! — Zaskoczenie kłóci się w Mizerze z podziwem dla niesamowitego opanowania dowódcy okrętu podwodnego. — Gadaj, Leon co ci ślina przyniesie na język, nie przerywaj. Pomachaj mu czapką, uśmiechaj się do niego.

— ...dwadzieścia... dwadzieścia jeden... dwadzieścia dwa...

Pertraktacji na słowa ani gesty ten człowiek nie uznaje. Bomba zegarowa, raz przez niego włączona, tykać będzie aż do nakręconego końca. To desperat, myśli Mizera. Ten nie cofnie się przed niczym.

Takiego olbrzyma podwodnego jeszcze nie widział. Więc to ten! Blondas pod kioskiem w pełnym tropikalnym umundurowaniu u-bootwaffe, w czarnych rękawiczkach — to światowej sławy fregattenkapitän Kurt Hacke. Wyprostowany jak na paradzie ani drgnie. Coś w rodzaju dumy rozpiera pierś Mizery. A jednak tory pocisków A i B przecięły się, mógłby zameldować admirałowi.

Dziób olbrzyma oddalony jest od śródokręcia „Natalie" nie więcej jak o sto jardów. Przy tych gabarytach ma w forszypie z pewnością kilka wyrzutni torpedowych. Sto jardów — oblicza trzeźwo Mizera. Torpeda biegnąca z prędkością pięćdziesięciu mil na godzinę potrzebuje na pokonanie tej odległości trzy sekundy. Trzy sekundy ma Ransart na oddanie drugiej salwy i na ucieczkę ze statku. Trzy sekundy. „Natalie" albo ustali rekord światowy w tempie strzelania z dział, albo w czwartej sekundzie wyleci w powietrze.

— ... dwadzieścia sześć... dwadzieścia siedem... Wszystko w rękach Ransarta, myśli Mizera przygryzając wargi. A on nakazał mu rozładować i zakapturzyć działa, amunicję pakować w skrzynie. Oby tylko zdążył do swoich ludzi.

Z łamanego niemieckiego Birn przechodzi na poprawny francuski. Bezkonkurencyjny jest Leon w tej roli. To największy poliglota w eskadrze, podobno zna także rosyjski.

Załoga pokładowa odbezpiecza żurawiki przy wsięgnikach szalup ratunkowych, kiedy Ransart krętym tunelem pod pokładem osiąga stanowiska artylerii. Według tego spod kiosku — mija dokładnie połowa czasu wyznaczonego na opuszczenie statku.

— ... trzydzieści jeden... — rozpoczyna odliczanie drugiej połowy — trzydzieści dwa...

— Wylegujecie się jak na urlopie! — napada Ransart na bosmana Geralda Laxera siedzącego z niezmąconym spokojem przy swoim dziale. Ze sztyletem rzuca się na plandeki na skrzyniach.

— Zostaw to, Oscar! — słyszy gadatliwego Laxera odzywającego się do niego po imieniu. — Działa są załadowane, na amunicji siedzimy... Nigdy, widzisz — mówi Laxer z kpiącym uśmieszkiem — nie miałem nadmiaru zaufania do ich lordowskich mości z British Admiralty. Ci starsi dżentelmeni myślą kategoriami z poprzedniej wojny, są zawsze o jedną wojnę do tyłu. Założyłem się z chłopakami że i tym razem coś tam naknocili.

Najlepszy artylerzysta Królewskiej Australijskiej Marynarki Wojennej śmieje się swemu przełożonemu w nos i w obecności innych podwładnych odzywa się do niego po imieniu. Gdyby zrobił to w Garden Island, poszedłby za to do paki, a może zostałby nawet zdegradowany. Jest czterdziesta sekunda. Ransart nie wie, czy śmiać się czy płakać ze szczęścia. Przybiera marsową minę. — Gerry, postawię cię przed sądem wojennym za interpretowanie rozkazów po swojemu! Po wszystkim — dopowiada.

— Odbędzie się to u Pana Boga... — ripostuje Laxer. — Wygrałem. Założę się z tobą, że i temu damy radę. Przyjmujesz zakład?

— A działka przeciwlotnicze?

— Wszyscy twoi ludzie mają o Admiralicji jednakową opinię. Od samego początku nie braliśmy poważnie tej bajeczki spod Campbell. Ten Hacke to facet dużego formatu, podoba mi się. Tacy nie rozbijają się na byle gównie.

— A blachy? — chce wiedzieć Ransart. — Nie zatną się?

Wymiana zdań przebiega szybko, błyskawicznie, bo ten spod kiosku dolicza się czterdziestej ósmej sekundy. Jeszcze dwanaście.

Zeszkarłaciałe na krew słońce gotuje się do zanurkowania w głębiny. Ale jeszcze przedtem ujrzy interesujący spektakl. Nie będzie to zwykłe zatopienie statku schwytanego w potrzask. Dowódcy okrętu podwodnego, temu wyprężonemu na pomnik rekwizytowi z epoki romantyzmu, tej mieszance rycerza z czasu pojedynków na topory, na szpady z bezwzględnością dawnych Krzyżaków, chodzi tym razem o coś innego. Załoga okrętu napełnia sprężonym powietrzem pontony gumowe, wywleka sprzęt abordażowy. — Mizera uważnie śledzi jej ruchy. O zniszczenie statku, o wycięcie w pień rozbitków tym razem nie chodzi. O klasyczne, dawno zapomniane przejęcie statku w celu pobrania z niego paliwa — o to mu chodzi. Mizera ma powód do dumy: pociski A i B, punkty wystrzelenia, trajektorie — to wszystko nic, pyłek bez znaczenia w obliczu tego, co go rozsadza. Jaka szkoda, że Natalka się o tym nie dowie.

— ... pięćdziesiąt... pięćdziesiąt jeden...

Lufy najcięższych dział przeciwpancernych, jakimi dysponują alianckie siły zbrojne na Pacyfiku, wycelowane są zza swego ukrycia w wynurzone cielsko przeciwnika. Dwa pierwsze działa mierzą w szeroko rozwarte ślepia szczelin zbiorników balastowych, pozostałe cztery w mamucią podstawę kiosku. Tam mieści się serce okrętu. Pociski pierwszych dział mają przebić wewnętrzny kadłub i narobić spustoszenia wśród załogi wyrzutni torpedowych (z tej odległości nie mogą chybić), pociski czterech dział przebiją pancerz kiosku i eksplodują w centrali. Trzy sekundy. Na oddanie drugiej salwy czasu z pewnością nie starczy. Śmiertelna musi być pierwsza. Pierwsza albo żadna.

Ransart o tym pomyślał. W zakamarkach statku czai się dwunastu strzelców z gotowymi do odpalenia rakietami przeciwpancernymi, w broń maszynową przeciwnika wymierzone są szybkostrzelne oerlikony. Cała ta masa prochu, jeżeli nie minie się z celem, zdolna jest podziurawić świat na sito.

Ku mostkowi kapitańskiemu podnosi się kciuk Ransarta: artyleria gotowa do otwarcia ognia.

W okienku nadbudówek na dziobie i na rufie, imitujących wejścia do kubryków, pojawiają się podniesione kciuki: czterolufowe oerlikony gotowe do otwarcia ognia.

Obsługi dział okrętu podwodnego wycelowanych w mostek kapitański, w śródokręcie „Natalie", celowniczowie karabinów maszynowych zamocowanych na kiosku wpatrują się w swego dowódcę.

— ...pięćdziesiąt trzy... pięćdziesiąt cztery... pięćdziesiąt pięć... pięćdziesiąt...

— Szalupy na wodę! — ryczy Birn w tubę. — Opuszczać statek! — rozkazuje. — Abandon the ship! — powtarza.

Za szalupami rzucają się za burtę opasani kapokami marynarze pokładowi, kucharze, mechanicy. Rozkaz wykonany!

Birn wymachuje czapką temu spod kiosku. Dwadzieścia par rąk przebiera wodę ku szalupom i tratwom. Więcej lud.: załoga takiego stateczku nie liczy. I jak przystało na kapitana przestrzegającego bon-tonu francuskiej marynarki handlowej, jako ostatni skacze do wody.

Godzina 18.46:

Słońce leży brodą na linii horyzontu. Wsiąknięcie w ocean nie zajmie mu więcej niż dziesięć minut. Jeszcze dziesięć minut dnia. Napastnicy, jeżeli chcą zawładnąć zdobyczą przed zapadnięciem ciemności, muszą się spieszyć. Ten granitowy Hacke popełnił fatalny błąd, prawdopodobnie zdaje sobie z tego sprawę. Winien był zostawić na pokładzie kapitana statku i głównego mechanika — tak rabuś, roztropny rabuś, nie wyznający się w obcym terenie, by postąpił. Światło dnia jest teraz dla niego na wagę złota. Obsadzić statek, zapoznać się z jego rozplanowaniem, systemem paliwowym, rozmieszczeniem zbiorników przy, jak głoszono, nieczynnym generatorze i nie znanym stanie akumulatorów, trzeba jeszcze za dnia, dla samego już łupienia zdobyczy lepsze będą ciemności. Granitowy rzuca okiem na niebo. — Prędzej! — popędza ludzi. — Schneller! — denerwuje się.

Nie bez powodu się denerwuje: ktoś czegoś zapomniał. Czegoś dla sekcji abordażowej niezbędnego, bo jeden ponton z szóstką ludzi zawraca, na dwóch pozostałych przestają wiosłować. — Donnerwetter nochmal! — słychać wściekłego dowódcę okrętu.

— Niech to szlag trafi! — złorzeczy kapitan Ransart. Nikt nie pomyślał, że spotkanie z przeciwnikiem nastąpi na odległość wyciągniętej ręki. W połowie drogi między statkiem a napastnikiem, gdzie o otwarciu ognia mowy jeszcze nie będzie, pontony znajdują się w martwym polu ostrzału jego artylerii; pochylić luf bardziej już nie można.

— Zatelefonuj do oerlikoniarzy — doradza mu Laxer. — Ich działka mieszczą się wyżej.

— Nie — Ransart kręci głową — mogliby źle telefon zrozumieć i podnieść kurtynę przedwcześnie. A poza tym ci tam mają nas z pewnością na podsłuchu. Żadnego hałasu.

Cholera jasna, dlaczego zawracają? niepokoi się skulony pod wiatrochronem Mizera. Czyżby domyślili się podstępu? Z tej odległości, jeżeli się dobrze przyjrzą — a patrzą ze słońcem — łatwo odkryć mistyfikację; musieliby być ślepi, aby tego nie dostrzec. Jak tylko zawrócą ludzi, torpedy pójdą w ruch. Trzeba zaczynać.

W ostatnim momencie powstrzymuje rękę. Pontony odbijają. Podrzucono na nie jakieś rzeczy — aha, latarki elektryczne! rozpoznaje Mizera — i ruszają. Szalupy są spory kawałek od statku. Porządnie uzbrojone. Wezmą przeciwnika w kleszczowy ogień z karabinów maszynowych ukrytych pod gretingami.

Cisza przed burzą. To krwawe słońce, ta drżąca pod skórą woda zapowiadają nadejście czegoś gwałtownego. Przyjdzie szkwał, sztorm, huragan, cyklon, koniec świata. Niech tylko ci w pontonach podpłyną bliżej, wówczas granitowa postać pod kioskiem zawaha się z odpaleniem torped w swoich własnych ludzi. Choć kto go wie. A po burzy, po huraganie, po cyklonie, jak po biblijnym potopie. Pan da ludziom swoje przebaczenie, na znak zaś, że dał, rozwiesi nad oceanem tęcze. I wtedy wszyscy ocaleni na chwałę jego zaśpiewają hosannę. Ale nie wcześniej niż po podpłynięciu sekcji abordażowej pod burtę Arki. Płyńcie w spokoju, bracia. Nie leńcie się, silniej przebierajcie wiosłami, wyzwolenie wasze blisko. Tysiąc sążni pod pontonami gumowymi nadmuchiwanymi sprężonym powietrzem, na których tak niecierpliwie się wiercicie, dokładnie pod waszymi dupskami, ułożony w ognistych krzewach koralowego dna oceanu spoczywa snem wiekuistym wasz dobry znajomy. „Golden Creek" się nazywa, nie opóźniajcie nadejścia pojednania. Jeszcze jedno machnięcie wiosełkami, umiłowani bracia. Jeszcze jedno. I już ostatnie...

Ręka komandora podporucznika Mizery przecina powietrze.

— Ognia!

Torpedy! Dlaczego nie padają torpedy? Dlaczego?...

I już nie padną! Głuche detonacje we wnętrzu okrętu, rakiety drą poszycia kadłuba, dziurawią kiosk; artylerzyści Ransarta biją wszystkie rekordy, oerlikoniarze sieją spustoszenie wśród rozbieganych figurynek na pokładzie Goliata, a torpedy nie padają. Gdzie są torpedy, co miały posłać „Natalie" w powietrze? Co się stało, że nie padają? Unicestwiający knock-out w pierwszym starciu: okręt kładzie się na burtę. Chryste, kładzie się! Nie ucieka w zanurzenie, to nie to — przewala się na bok jak słoń po śmiertelnym ciosie. To koniec. Jego imponujący dowódca z rękami na skrwawionej piersi, już nie granitowy monument a klęczące na postrzelonych kolanach nieszczęście, bełkoce spod zdemolowanego kiosku o dalszej walce, lecz to nie jest walka. To jatka, siekanina, rozstrzeliwanie oszalałych ludzi.

— Wstrzymać ogień! — rozlega się głos Mizery. — Koniec! Wstrzymać ogień!

Silna eksplozja na rufie okrętu wstrząsa oceanem. Słońce powstrzymało swoją ucieczkę z tej części świata. Zbyt długo na ten spektakl czekało, aby nie obejrzeć go sobie do końca. Ale zadowolone nie jest. Tyle sobie po jego aktorach obiecywało, a tu raczej zawód. I diablo szybko się kończy. Kiedy główny bohater wystawia z wody swój tył, pokazuje się bezwstydnie widowni od swojej najbardziej intymnej strony, epilog dramatu może być tylko jeden. To już koniec. Wszystkich błyskotliwych aktorów jednakowy. Taki bywał, jest i pozostanie. Raczej nieciekawy.

— Reflektory na wodę! Oświetlić wodę! Załoga ratować rozbitków!

Słowa te padły z postrzelonego mostku „Natalie".

---

1 Radioaparat milczeć! Prąd zepsuty! Załoga iść statek precz, ale jeden minuta za mało. Zrozumiano? (niem.)

Jednakże następnego dnia zjawił się kolejny strażnik, w rękach trzymał paczkę, owiniętą w białą szmatkę z żółtymi śladami przypaleń. Sasza poznał ją od razu, przez tę szmatkę prasował w domu spodnie. A więc zgoda nie tylko na książki, ale i na paczki!

— Nazwisko?

— Pankratow.

— Podpiszcie.

Strażnik podał mu spis zawartości paczki i ogryzek ołówka. Spis sporządzony był ręką mamy, poznał jej zamaszyste, nieczytelne pismo, i tylko słowo „czekolada" dopisał ktoś inny wyraźnymi, jak gdyby wykaligrafowanymi literami. Połowa spisu była wykreślona atramentowym ołówkiem.

Sasza przebierał zawiniątka i paczuszki, starannie ułożone przez mamę, a potem rozgrzebane cudzymi rękami... Biała bułka, ser, gotowane mięso, kiełbasa — wszystko porozcinane na kawałki podczas kontroli, masło zawinięte w pergamin, cukier, zmiana bielizny, skarpety, chusteczki do nosa. A więc mama żyje, wysłała w kolejkach, wie, gdzie on jest.

— Można odesłać bieliznę?

— Zapakujcie.

Zawinął brudną bieliznę w szmatkę. Ten przyżółcony żelazkiem kawałek białego płótna doniósł do niego zapach domu, jego domu.

— Napiszcie, o co prosicie.

Na odwrocie kartki Sasza napisał: „Wszystko dostałem. Niczego nie przysyłaj oprócz białego chleba, mięsa i bielizny. Wszystko dobrze, jestem zdrowy, całuję. Sasza".

— Ołóweczek! — zażądał strażnik.

20.

Ten skrawek papieru Zofia Aleksandrowna oglądała, obmacywała, czytała dziesiątki, setki, tysiące razy — symbol cierpienia jej syna, jego gorzkiego losu, ale i świadectwo, że Sasza żyje. Okazywała karteczkę wszystkim: Michaiłowi Jurijewiczowi, sąsiadce Gali, Milicy Pietrownie, siostrom, Warii Iwanownie i Maksowi Kostinowi... Niczego nie trzeba, wszystko dobrze, jestem zdrowy, całuję... To mógł napisać tylko on, jej dobry, dzielny chłopiec.

Wszystko nabrało nowego sensu. Zmięta karteczka, bielizna przesiąknięta zapachem więzienia, chleb i mięso, o które prosił Sasza — bez tych namacalnych drobiazgów nie mogła sobie uzmysłowić, że Sasza żyje. Wieczory i noce przestały być tak samotne — znów jest przy nim, wie, co robi w każdej minucie, czuje każdy jego ruch. Bolało ją serce — to znak, że źle się czuł; nie mogła zasnąć — on leżał na pryczy z otwartymi oczami; ogarniały ją fale obezwładniającego strachu — Saszę prowadzili na przesłuchanie, i męczył się, miotał, cierpiał. Przypomniała sobie, jak zbiła go kiedyś w dzieciństwie, nie chciał, żeby poszła do teatru, płakał wtedy — nie z bólu, lecz z upokorzenia, skrzywdziła go, takiego malutkiego... Teraz bije go życie.

Mark rozmawiał o Saszy z wysoko postawionymi i wpływowymi ludźmi. Wierzyła Markowi, Mark nie okłamywał, nie uspokajał, zrobił wszystko co mógł. A jednak bardziej niż jemu wierzyła kobietom w więziennych kolejkach. Tam wszystko było jasne, proste i sprawiedliwe. Te słabe kobiety broniły swoich najbliższych, ogrzewały ich własnym ciepłem, które traciły stercząc na mrozie, zaspokajały ich głód tym, co ujmowały ze swoich skąpych przydziałów, przez głuche kamienne ściany słały im swoją miłość i nadzieję. Zofia Aleksandrowna bez strachu myślała teraz o kolejkach pod więzieniami: tam nie czuła się samotna. Nie złagodziło to jej cierpień, nie usunęło dojmującego poczucia wyjątkowości. Ale musiała robić to co inni. Świat, który dawniej wydawał się tak straszny, żądał działania, a działanie zmniejsza strach. Kobiety pouczyły ją jak odnaleźć Saszę, jak zorganizować przekazanie paczki i co przesłać, gdzie się zwrócić, do kogo i co pisać. Zwracać się i pisać należało właśnie tam, gdzie radziły. Uzyskała posłuchanie u prokuratora do spraw nadzoru nad organami GPU. „Po zakończeniu śledztwa zostanie obywatelka poinformowana o jego rezultatach" — odpowiedź, którą kobiety z kolejki z góry przewidziały, lecz która była mimo wszystko ważna: teraz prokurator zwróci uwagę na sprawę Saszy, to może wiele zmienić. Kolejka wiedziała co robić, kiedy Saszę już osądzą, kolejka znała całą d r o g ę, ta d r o g a — to też droga życia, ludzie idą i po niej, i to uspokajało bardziej niż nadzieje i obietnice. To, dokąd Saszę ześlą, zależy od tego, czy domyśli się on, by zażądać badania lekarskiego; ma słabe płuca, może trafić na Priwołżje, a nie na Syberię. Jeżeli zadzwonią do niej i powiedzą, żeby zebrać ciepłe rzeczy, to oznacza to Syberię albo Północ, a jeżeli nie powiedzą, to Azja Środkowa.

I kiedy przyszedł administrator, Nosow Wiktor Iwanowicz, była już na to przygotowana; w kolejce uprzedzono ją, że pokój Saszy zostanie opieczętowany, administrator ma taki obowiązek, choć zapewne niezręcznie jest mu go spełniać. Bała się tylko, że ze zmieszania administrator zacznie używać ordynarnych słów, i na ten wypadek przygotowała sobie w myślach specjalne zdanie:

— „Wiktorze Iwanowiczu — miała zamiar powiedzieć — jeżeli będzie pan rozmawiać ze mną spokojnie, to lepiej pana zrozumiem."

Ale Wiktor Iwanowicz wcale nie klął.

— Taki porządek, Zofio Aleksandrowna. Przyjdzie czas, to rozpieczętujemy. I pani będzie spokojniejsza. Zna pani naszą publikę, wlezą — nie wyrzucisz. Jeśli trzeba przenieść jakieś rzeczy, to przyślę dozorcę. Niepotrzebne zostawić, to pani pokój.

Dawał jej do zrozumienia, że nie należy zabierać wszystkich rzeczy, i Zofia Aleksandrowna sama to rozumiała: dopóki pokój nie jest opróżniony, nikt nie może go samowolnie zająć. Pomoc dozorcy odrzuciła: trzeba by mu zapłacić, a pieniędzy nie ma.

Opróżniła nie pokój, w którym spał i uczył się Sasza lecz swoją sypialnię. Musiała wynieść stamtąd wszystko, co było jej potrzebne, i upchnąć w sypialni biurko Saszy, tapczan i wieszak.

Przy tych czynnościach zastała ją Waria. Szybko zdjęła płaszcz i zaczęła pomagać, przenosiła stosy bielizny, sukienki, dywaniki, poduszki, prześcieradła, niczego nie upuszczała, nie gubiła, od razu wiedziała gdzie co położyć i układała tak, żeby wszystko się zmieściło.

Pomoc tej dziewczyny sprawiała Zofii Aleksandrownie przyjemność, z przyjemnością przyjmowała też ją samą. Zofia Aleksandrowna myślała czasem, że być może postępuje źle, włączając Warię do swojego życia, do swojego nieszczęścia, lecz współczucie Warii, jej chęć pomocy były tak niezachwiane, że Zofia Aleksandrowna nie wyobrażała sobie, by Warię można było odtrącić. Również i teraz pomoc tej dziewczyny nadawała ich pracy pozory zwyczajnych domowych czynności, zwykłego przesuwania mebli, i aby zachować to wrażenie, Zofia Aleksandrowna nic Warii nie mówiła. Czuła jednak, że dotychczasowa odwaga opuszcza ją. Mąż odszedł, syna zabrali, zabierają pokój... Tę sypialnię dawno trzeba było oddać Saszy. Dorosły mężczyzna, niewygodnie mu w przechodnim pokoju, a ona nie oddała, myślała o własnej wygodzie. Jakże to egoistycznie z jej strony! A Sasza nigdy o tym nawet nie wspomniał, jej kochany, skromny chłopiec.

Żelazne łóżko nie dawało się rozebrać, ułamała się noga od szafy, komody nie mogły ruszyć z miejsca, choć wyjęły wszystkie szuflady.

Wrócił z pracy Michaił Jurijewicz, zjawiła się sąsiadka Gala, oboje pomogli przesunąć szafę i komodę, rozebrali łóżko, przenieśli do maleńkiego pokoiku tapczan, na którym spał Sasza, jego biurko i etażerkę. Zofia Aleksandrowna rozłożyła przybory do pisania, ustawiła kilka książek Saszy, powiesiła zasłonkę.

Waria wyciągnęła pantofle, długo obracała je w rękach, oglądała, a po włożeniu znów wyprężyła nogę, lubując się jej widokiem. Wreszcie skończyła toaletę, otworzyła drzwi.

— Wejdź, Serafim.

Już po włożeniu płaszcza i chustki, sprawdziwszy swój wygląd w lustrze, Waria odwróciła się ku siostrze:

— Byłam u Zofii Aleksandrowny. Pomagałam przenieść rzeczy. Opieczętowali pokój Saszy.

Waria zadała Ninie cios instynktownie, ale precyzyjnie: nawet o tym co dzieje się w domu Saszy, Nina dowiaduje się od niej.

Oczywiście ani Nina, ani nikt inny nie może pomóc Saszy. Co mogliby zrobić? Nie wiedząc nawet o co jest oskarżony? A jednak jest winna wobec Saszy, winna już choćby dlatego, że ona pozostaje na wolności, a Sasza siedzi w więzieniu. On, najlepszy spośród nich! A wszyscy milczą. Nina miała nadzieję, że to nieporozumienie zostanie wyjaśnione, ale opieczętowali pokój, to znaczy, że Saszy nie zwolnią. Co wtedy? Przyznać, że Sasza to wróg władzy radzieckiej? Odżegnać się od niego? Porzucili Saszę w nieszczęściu, odstąpili, zostawili go samego. Zachodziła do Zofii Aleksandrowny, wyrażała swoje współczucie. Komu potrzebne to jej współczucie?

ANATOLIJ RYBAKOW

(13)

Dzieci Arbatu

21.

Waria wyszła od Zofii Aleksandrowny dopiero wtedy gdy wszystko skończyły, choć wiedziała, że w domu czeka na nią Serafim, ten sam młodziutki kursant, którego Maks przyprowadził na Nowy Rok.

Tenże Serafim — zjawił się jednak, nie zniknął — zadzwonił wtedy do Warii następnego dnia i umówił się z nią na Placu Arbackim. Poszła ot tak, dla śmiechu, zabrała ze sobą Zoję i jeszcze jedną dziewczynę. Przyjaciółki zostały na drugiej stronie ulicy, widziały, jak do Warii podszedł młodziutki wojskowy, jak oboje poszli Arbatem. Dziewczyny szły po przeciwległym chodniku, dawały Warii jakieś niezrozumiałe znaki, i ona też dawała im znaki, których one nie rozumiały... Serafim zaprosił ją na tańce do Domu Armii Czerwonej. Waria nie mogła wtedy pójść, wybierała się do kina. Wiedziała jednak, jak trudno jest się dostać do Domu Armii Czerwonej, i obiecała Serafimowi pójść tam z nim w następną sobotę. Serafim umiał tańczyć wszystkie nowoczesne tańce, chodzili więc tam co tydzień, a przyjaciółki zazdrościły jej tych potańcówek.

Waria pogodziła się z jego zabawnym imieniem, jeden z braci Znamienskich też nazywa się Serafim. Oczywiście nie jest taki jak koledzy z podwórka — rodowite, moskiewskie, arbackie chłopaki — jest prowincjonalny, nieśmiały. Ale adorował ją n a p o w a ż n i e, to schlebiało Warii, czuła się dorosła, no a poza tym Ninka nie mogła mieć jej za złe tej przyjaźni, przecież Serafim to przyjaciel Maksa, a Maks nie może mieć niedobrych przyjaciół.

W domu Nina przywitała Warię zirytowanym spojrzeniem: już od godziny Serafim wiercił się na tapczanie z książką w rękach, szelest przewracanych kartek drażnił Ninę, przeszkadzał jej w pracy — poprawiała zeszyty uczniów. To jej pełne potępienia spojrzenie zdawało się mówić: „Umówiłaś się z człowiekiem, przychodź na czas, nie mam obowiązku zabawiać twoich kawalerów!"

Waria nie wyjaśniła Ninie przyczyny spóźnienia. Powie, ale później. Kazała Serafimowi wyjść na korytarz, musiała się przebrać.

Lustro wisiało na drzwiach szafy. Waria uchyliła drzwi tak, żeby móc stanąć bokiem do światła, i zaczęła się przebierać. To też drażniło Ninę, przecież Waria ma na sobie całkiem ładną sukienkę, mogłaby iść w niej. A jak wkłada pończochę! Wypręża nogę, nieruchomieje, napawa się własną urodą. I ten zwyczaj chodzenia półnago po pokoju! Skąd się to wzięło? U szesnastoletniej smarkatej!

— Nie zapominaj, że czekają na ciebie.

— Tak — potulnie odpowiedziała Waria. I równie potulnie spytała: — Pożyczysz mi na dziś swoje pantofle?

Nina nie miała ochoty pożyczać swoich jedynych wyjściowych pantofli, ale chciała też, żeby Waria wyniosła się jak najprędzej.

— Weź.

Napisać list.. Zebrać podpisy, przecież Sasza był sekretarzem ich organizacji komsomolskiej, napisać, że poręczają za niego. Maks podpisze, i Wadim, i Lena, i inni. I dyrektor szkoły, nauczyciele, którzy znali Saszę. Nina uczyła w szkole, którą kończyła kiedyś razem z Saszą, i miała nadzieję, że uda się zebrać podpisy. Jurka nie podpisze, czort z nim. Zadzwoniła do Leny i Wadima, umówili się na jutro u Leny. Następnie zeszła do matki Maksa i poprosiła o przekazanie mu, żeby zajrzał do niej nazajutrz.

Niewesoło było to spotkanie. Lena milczała, otulała się chustką. Trzeba podpisać list — proszę bardzo. I Maks miał smutną minę. Wiedział, że ich list nie ma sensu, rozumiał następstwa tego kroku, ale nie chciał odmawiać, żeby Lena nie posądziła go o tchórzostwo. Tylko Wadim powiedział:

— Kocham, a co właściwie da taki list? Pomoże Saszy? A jeżeli zaszkodzi, skomplikuje sprawę? Wezwą nas: co wiecie o Pankratowie? W szkole był dobrym komsomolcem. Ale w szkole uczyliśmy się z nim sześć lat temu. Jaki jest teraz? Czy wiecie, co właściwie wydarzyło się w Instytucie? Opowiadał wam? Co wam opowiadał? A potem wezwą Saszę: „Co opowiadaliście swoim kolegom?" Nie poddaję w wątpliwość uczciwości Saszy. Po prostu próbuję wyobrazić sobie, jak to będzie wyglądało.

— Więc mamy zostawić Saszę na pastwę losu? — spytała Nina.

— *Dlaczego na pastwę losu? Przecież badają* jego sprawę. Dlaczego mamy zakładać, że nie dojdą prawdy? Tak, znamy Saszę, ale oni przecież na pewno też sprawdzą jego opinie, charakterystyki. Aresztowali go nie dlatego, że nazywa się Sasza Pankratow, ale w związku z jakąś sprawą. A sprawy tej nie znamy.

— Powinniśmy podtrzymać Saszę na duchu — powiedziała Nina.

— Pomyśl rozsądnie — perswadował Wadim. — Sasza nie dowie się nawet o naszym liście. Przeciwnie, zaczną go wypytywać o każdego z nas, a to tylko skomplikuje jego sytuację.

— Boisz się, że zapytają o ciebie?

— Niczego się nie boję — Wadim poczerwieniał na twarzy.

Wszyscy zrozumieli, że Wadim ma rację. Nina też to rozumiała. Istnieje jednak coś, co jest ważniejsze i bardziej znaczące niż to rozumienie. I jest jeszcze to gorzkie, wstydliwe — po prostu bali się o siebie. Pokonanie tego strachu było rzeczą trudniejszą od wysłania listu.

— A może poradzić się taty? — spytała Lena.

— Słusznie! — podchwyciła Nina w nadziei, że Iwan Grigorijewicz podejmie jakieś kroki i pomoże Saszy.

Również Wadimowi spodobała się ta myśl: Iwan Grigorijewicz na pewno odradzi wysłanie tego nieprzemyślanego listu. On, Wadim, i tak go nie podpisze, podjął już stanowczą decyzję. Jedynie Maksym ze swoim zdrowym chłopskim rozsądkiem rozumiał, że nie należy stawiać Iwana Grigorijewicza w niezręcznej sytuacji.

— Czy to warto — powątpiewał. — Sami powinniśmy zadecydować.

Gdy pili herbatę, do pokoju wszedł Iwan Grigorijewicz z Aszchen Stiepanowną.

— Tato — powiedziała Lena — co zrobić z Saszą?

— A co można zrobić?

— Chcemy napisać list do GPU.

Budiagin zasępił się.

— Komu potrzebny ten wasz list?

— Coś jednak trzeba zrobić — powiedziała Nina.

— Dadzą radę i bez was — gniewnie odparł Budiagin.

22.

Po powrocie Budiagina z zagranicy Stalin nie przyjął go ani razu, choć Iwan Grigorijewicz mógł opowiedzieć o wielu sprawach, nie wymienianych w raportach dyplomatycznych, a równocześnie bardzo pilnych w zaistniałej sytuacji międzynarodowej. Prosił o spotkanie. „Czekajcie, wezwą was". Czekał ponad rok. To nie był przypadek, tak samo jak nieprzypadkowe było to, że nie wybrano go do nowego KC. Ambasador w największym mocarstwie zachodnim, realizował politykę dyktowaną przez KC, ale miał prawo przedstawić KC swój punkt widzenia.

Ze Stalinem jednak nigdy nic nie wiadomo. Na zesłaniu przestał rozmawiać z towarzyszem, który zażartował z jego zwyczaju spania w skarpetkach. Na Syberii Stalin wyglądał szczególnie bezbronnie, marzł, i dlatego sypiał w skarpetkach. Był właścicielem jedwabnej pikowanej pstrokatej kołdry. Z tego również żartowano. Wszystkie żarty Stalin uważał za podkreślanie swojej słabości, nieprzystosowania. Przestali więc żartować. Nie można się było z nim spierać — nie umiał przegrywać. Silny akcent gruziński, ciężki styl, którym się posługiwał powodowały, że nie był dobrym mówcą: w dyskusjach też sprawiał wrażenie bezradnego, i nikt nie chciał sprawiać mu przykrości. Nie sprawiać przykrości znaczyło — nie sprzeciwiać się.

Spory i różnice poglądów nie przeszkadzały zesłańcom w zgodnym wspólnym życiu. Stalin jednak nigdy nie wyciągał ręki do zgody — przeciwnik ideowy był dla niego osobistym wrogiem. Uważał za rzecz oczywistą i naturalną, że towarzysz niedoli oddawał mu swoje walonki, których sam potrzebował. Nigdy jednak nie wziąłby walonek od kogoś, z kim przedtem się spierał. Ze swoimi kaprysami, obrażaniem się, skłonnością do uciążliwych niesnasek był naprawdę nieznośny. Inni polowali, chodzili na ryby, tylko on nigdzie nie chodził, wieczorami siadywał przy oknie i pracował w świetle lampy naftowej. Ten samotny, nieprzejednany Gruzin w głuchej syberyjskiej tajdze, w chłopskiej chacie na skraju wsi, wśród miejscowych, z którymi nie umiał się zżyć, wzbudzał współczucie. I towarzysze wiele mu wybaczali.

Budiagin jako jedyny zżył się jakoś ze Stalinem. Młody chłopak, robotnik z Motowilichy, po raz pierwszy w życiu zetknął się z mieszkańcem Kaukazu, użalił się nad tym Gruzinem, rzuconym w mrozy Syberii, w warunki w których nie każdy Rosjanin był w stanie wytrzymać. Budiagin wyświadczał mu więc przysługi, pomagał jak mógł, Stalin traktował to jako rzecz naturalną. Iwanowi Grigorijewiczowi było tu łżej niż innym: znał się na kowalstwie, na ślusarce, dobrze władał toporem, umiał naprawić i pług, i strzelbę, lubił łowienie ryb, zwłaszcza nocne, jesienne, z łuczywem płonącym na dziobie łodzi. W milczeniu słuchał sporów swoich wykształconych towarzyszy, ich rozmów, rozważań, dużo czytał, uczył się nawet angielskiego. Większość uczyła się niemieckiego, francuskiego, i tylko Stalin nie zajmował się językami. Zesłańcy dawali Budiaginowi książki, tłumaczyli, wyjaśniali. Stalin też mu tłumaczył i wyjaśniał. W jego prostolinijności, w zamiłowaniu do rozważań, wyniesionym jeszcze z seminarium duchownego, w niewzruszonym mniemaniu, że jego wiedza to absolutny szczyt mądrości tkwiła siła przekonywania, imponująca wówczas Budiaginowi bardziej, niż błyskotliwa elokwencja innych. Z czasem przestało mu to imponować, szybko się rozwijał, spotykał na swojej drodze ludzi bardziej wykształconych i inteligentniejszych niż Stalin.

A jednak te osiem miesięcy wspólnego zesłania zapadło nie tylko w pamięć, ale i w serce — pierwsze zetknięcie się ze sprawą, którą stała się sprawą całego życia.

Spotykał się ze Stalinem także i podczas wojny domowej. To właśnie wtedy Stalin zaczął odgrywać znaczącą rolę. Jego wola, energia, mogły służyć rewolucji: nielojalność, prostactwo, dążenie do władzy absolutnej nie były zoyt istotne, rewolucja wymaga skrajności. Jednak w epoce tworzenia wady te stawały się niebezpieczne. Stalin zaczynał dysponować władzą absolutną i przez nikogo nie kontrolowaną. Właśnie na tym polegał ostrzegawczy sens listu Lenina. Dla Stalina miernikiem oddania idei było oddanie jego osobie. Tam gdzie Riazanow dostrzegał koniec, Iwan Grigorijewicz widział dopiero początek. Przypuszczał, że zmiany dokonają *się na Zjeździe. Zmiany nie nastąpiły.* Potwierdziwszy na Zjeździe swoją wyjątkowość, Stalin zacznie teraz umacniać swoją wyłączność.

Budiagin brał na siebie wszystko: każde działanie rewolucji uważał za swoje działanie, każdy błąd traktował jako swój błąd, każdą niesprawiedliwość — jako swoją niesprawiedliwość. Było w nim męstwo prawdziwego rewolucjonisty: czuł się odpowiedzialny za losy ludzi, wciągniętych w wir społecznej zawieruchy. Padali wokół niego — winni, niewinni — lecz on wierzył, że wytycza drogę nowemu pokoleniu, że wielkość prawdziwej rewolucji zawiera się nie w tym **CO** ona burzy, a w tym **KOGO** tworzy.

Stalin wyróżnił Riazanowa. Iwan Grigorijewicz nie miał jednak złudzeń. Gdy kogoś powołują w skład KC, nie mogą nie wiedzieć, że jego krewny przebywa w więzieniu. Aresztowany krewniak będzie piętą achillesową Riazanowa, zmusi go do wierności człowiekowi, tolerującemu taką okoliczność. Skoro tak, to interwencja Budiagina w sprawie Saszy może tylko jeszcze bardziej skomplikować jego stosunki ze Stalinem.

A jednak nie mógł nie interweniować. Ci młodzi w pokoju Leny, zastanawiający się jak pomóc Saszy — to widok, zmuszający go do działania. W nich, młodych, tak czystych i szlachetnych, widział kontynuatorów sprawy rewolucji. I oto on, stary bolszewik, który przygotowywał i tworzył tę rewolucję, nie może udzielić im odpowiedzi, nie może przyznać, że Saszę aresztowano słusznie: wie, że to nieprawda. Nie może też powiedzieć, że aresztowali go bez powodu, bo wtedy musiałby im wytłumaczyć, dlaczego coś takiego mogło się stać.

I choć Budiagin rozumiał, że interwencja nie przyniesie żadnego skutku, zadzwonił do Bieriezina. Znał go jako uczciwego, odważnego czekistę. Powiedział Bieriezinowi, że ręczy za Saszę Pankratowa i prosi o wyjaśnienie jego sprawy.

Bieriezin lepiej od Budiagina i lepiej od Riazanowa wiedział, że Pankratow jest absolutnie niewinny — Bieriezin znał jego sprawę. Był na przesłuchaniu Saszy i wyczuł w nim porządnego chłopaka. Pod gęstą czarną brodą dostrzegł młodą, szczerą, mężną i uczciwą twarz. I to krótkie, pełne godności „...nie wiadomo za co i po co!", ten uśmiech młodości, która niczego się nie boi, która wszystko ma jeszcze przed sobą... Bieriezin wiedział jednak o wielu rzeczach, o których nie wiedział ani Budiagin, ani Riazanow, domyślał się też tego, czego oni nie mogli się domyślać.

C.D.N.

Tłum.: MICHAŁ B. JAGIEŁŁO

Polemiki • Listy • Opinie

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie" publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

DO ŚPIEWNIKA ŁÓDZKIEGO...

W sierpniu byłem na łódzkiej wycieczce „na grzyby"!
— Nie, nie była to typowa „zakrapiana pod grzybki" wycieczka 30—40-latków, lecz „starszaków" — 50—60-letniej rozśpiewanej wiary... A więc tych, którzy życiem zahaczyli o czasy przedwojenne, przeszli gehennę hitlerowską, a później jeszcze mieli zapał i gorący entuzjazm do szkoły, do pracy zawodowej i społecznej.

— Grzyby? Owszem, tropiono zwinnie mimo lat, zbierano i przyprawiano zaraz na sto sposobów. Znaleziska grzybowe wieziono do Łodzi w słoikach, wiadrach, w workach. Po 4 dniach pobytu w leśnych Borkach nad dolną Wartą — w drodze powrotnej już w autokarze, kiedy tęsknota za miastem, za bliskimi dała się odczuć — zaczęły się ogólne śpiewy (ale też nietypowe!).

O dziwo, nikt nie śpiewał o głębokiej studni, o dzieweczce z laseczka... ani słychu o chlebie, o góralu, któremu było żal! Śpiewaliśmy pieśni i piosenki przedwojenne, wojenne i powojenne, nie było rykowiska ni jazgotomanii. Podkreślam, śpiewano po kilka zwrotek każdej z nich — co mnie przyjemnie ucieszyło, bo zwykle takie śpiewy autokarowe kończą się pierwszą zwrotką...

Były piosenki o morzu, Wiśle, o Tatrach, była piosenka o toruniance co wiła wianki, a nawet 9 zwrotkowa... o konstantynowskim klubie sportowym.

Szczególnie zadziwiła mnie znajomość i pamięć u emerytów i podemerytów pełnej treści, podstawowej według mnie, łódzkiej pieśni! Pieśni tej niestety nie zna T. Szewera (patrz III-tomowy „Śpiewnik Łódzki" wyd. 1985 r.), a J. Wilmański zasłyszał ją w antykwariacie przy Piotrkowskiej... cóż, zapamiętał z niej zaledwie kilka słów. Prosta w słowach, nieszablonowa, nierówna w wierszu, lecz umiłowana łódzka piosenka o tęsknej melodii. Ile wywołała w nas wspomnień i wzruszeń, nie wstydzę się przyznać — ckliwości do rodzinnego Kominogrodu! Ciekawe, że jest to jedyna piosenka czy raczej „Pieśń Łodzian" z lat 1942—44 — śpiewana zawsze poza Łodzią, a zaczęła ją młodzież polska wywożona masowo na przymusowe roboty do Reichu! Śpiewałem ją i ja w lagrze berlińskim... Nigdy nie śpiewano jej w Łodzi. Czasami w zetknięciu z niełodzianami, dla podkreślenia robotniczej dumy łódzkiej, śpiewa się ją i dziś, choć szkoda, że coraz rzadziej!

Śpiewana była przez wojenną młodzież łódzką, także przez młodzież fabrycznych Pabianic, Zgierza, Ozorkowa, Konstantynowa, która zapytana daleko od swych miast, — skąd pochodzi? — podaje, że z... Łodzi! Czemu ja się nie dziwię, gdyż mieszkańcy Popowa, Kamieńczyka, Wołomina... też uważają się za... warszawiaków. Pieśń ta żyła i trwała, nadal po 1945 r.! Śpiewano ją w czasie odbywania służby wojskowej, przy ogniskach na obozach harcerskich i popisach na koloniach letnich. Śpiewana głównie przez liczną wtedy młodzież włókniarską i szkolną zrzeszoną w ówczesnych organizacjach i związkach młodzieżowych. Jej uniwersalność polegała na tym, że w miejsce słów: „o wojnie zapomnimy", o „bauerze zapomnimy" — wstawiono inne, nowe słowa — o koloniach, o wojsku zapomnimy. Autorzy tekstu i melodii są nieznani! Ponieważ żyje ona nadal w pamięci i w pieśni łódzkiej ponad 45 lat, a nigdzie dotąd nie była publikowana, przytoczę ją tu dla utrwalenia i dalszego z nią kontaktu!

Smutno mi było, gdym odjeżdżał w świat...
Miasto moje ukochane od dziecinnych lat —
Tak chciałbym ujrzeć ten Dworzec Kaliski
Taki sercu memu bliski
A dziś tak daleko jest...
Ref. — Maszyny drżące, syreny wyjące
I kominów tych tysiące —
To jest moje miasto Łódź!
Wojna się skończy, do domu wrócimy
I o Halle zapomnimy,
Gdy ujrzymy naszą Łódź...
Ref. — Maszyny drżące, syreny wyjące...*

ZDZISŁAW KONICKI

* Pełny tekst podała mi włókniarka łódzka H. Gołębczykowa, wywieziona na przymusowe roboty do — Halle an der Salle...

SKLEP SPOŻYWCZY CZY APTEKA...?

Mieszkańcy centrum nowego osiedla „40-lecia PRL" przez dłuższy okres czasu męczyli się z dokonywaniem zakupów artykułów spożywczych, wystawając całymi godzinami w tasiemcowych kolejkach do sklepu PSS „Społem" Oddział Łódź-Górna przy ul. Skupionej 1 bl. 247

Aż pięć lat cierpliwie czekali na rozładowanie kolejek poprzez uruchomienie pawilonu handlowego po drugiej stronie ul. Rzgowskiej. Pawilon jest już na ukończeniu, lecz nadzieje mieszkańców tej części osiedla na dokonywanie zakupów bez kolejek rozwiały się znów bezterminowo, bowiem w październiku sklep będzie remontowany i modernizowany z przeznaczeniem na aptekę... Nowa apteka znajduje się w tej samej odległości przy ul. Strażackiej 9, co wspomniany pawilon handlowy i będzie to z kolei czwarta placówka tego typu na osiedlu: dwie przy ul. Rzgowskiej, jedna przy ul. Strażackiej i planowana... przy ul. Skupionej 1. I znów ktoś chce przedobrzyć, uszczęśliwić na siłę mieszkańców osiedla, nie pytając o ich zdanie.

Na zebraniu Komitetu Domowego Mieszkańców bl. 249, mieszkańcy jak jeden mąż sprzeciwili się tej, ich zdaniem, pochopnej decyzji władz administracyjnych i spółdzielczych osiedla, dzielnicy Łódź-Górna. Motywy aż nazbyt wyraźne i przekonywające właśnie za utrzymaniem sklepu branży spożywczo-garmażeryjno-rybnej. Po zakupy do sklepu chodzi się codziennie, natomiast do apteki raz na jakiś czas. Ponadto do apteki rodzice nie posyłają dzieci po zakupy, a do sklepu spożywczego często chodzą dzieci, co stwarza poważne zagrożenie przejścia na drugą stronę ulicy do pawilonu handlowego, mając na uwadze panujący ruch kołowy na ul. Rzgowskiej. W tej sytuacji o wypadek nie trudno. Istnieje poważna obawa narażenia życia nie tylko dzieci, lecz ludzi starszych i kalekich zamieszkujących w okolicznych blokach ulic: Kurczaki, Gospodarczej, Mieszczańskiej, Błękitnej, Skupionej oraz wielu, wielu innych bloków mieszkalnych tej części osiedla. Ludzie powracający z pracy do domów, wysiadając z tramwaju pierwsze kroki kierują w stronę sklepu, celem dokonania niezbędnych zakupów po drodze, chociażby nabiału i pieczywa.

Argumentacja ze strony administracji osiedla, władz handlowych dzielnicy, jakoby usytuowane sklepy spożywcze w blokach mieszkalnych były siedliskiem zarobaczenia nie jest żadnym wytłumaczeniem, bowiem w tej sytuacji należałoby zlikwidować wszystkie sklepy w blokach mieszkalnych, których jest większość.

Mieszkańcy osiedla dali temu wyraz w skierowanej, zbiorowej petycji do władz dzielnicy i redakcji tyg. „Odgłosy". Ich argumentacja bardziej trafia do przekonania i sądzę, że zostanie wzięta pod uwagę przed rozpoczęciem remontu i modernizacji sklepu.

A swoją drogą, mieszkańcy tej części osiedla jakoś nie mają szczęścia do handlu i usług. Swego czasu był sklep „AGD", który w wyniku interwencji, został przebranżowiony na sklep garmażeryjno-spożywczy i obecnie na... aptekę. Cztery apteki na niewielkiej przestrzeni. Gdzie sens i logika! Nie pierwsza i nie ostatnia chybiona decyzja. Tak jest z pawilonem handlowym, wybudowanym na końcu osiedla przy cmentarzu, skąd personel ucieka z powodu niskich zarobków, spowodowanych głównie brakiem odpowiednich obrotów gotówki. To samo dotyczy targowiska, które świeci pustkami. Plany zostały zrealizowane ale jaką korzyść mają z tego sami mieszkańcy? Żadną.

Nie jestem przeciwny powstawaniu placówek handlowych i usługowych na każdym nowym osiedlu, lecz sprzeciwiam się planowaniu wziętym z sufitu... bezmyślnej organizacji handlu i usług. Wszyskie obiekty użyteczności publicznej winny być wykorzystane do maximum, zgodnie z zapotrzebowaniem mieszkańców, bowiem im przede wszystkim winny służyć powyższe obiekty, nie administracji, która na siłę chce „uszczęśliwiać" mieszkańców osiedli. Niestety, jakże często bywa inaczej, jak w tym przypadku.

WŁADYSŁAW BISZEWSKI

OD REDAKCJI:

W sprawie opisanej wyżej odwiedziła nas radna Dzielnicowej Rady Narodowej Łódź-Górna, pani Eleonora Kaczmarek, i przekazała list mieszkańców części osiedla 40-lecia PRL. Podpisało go ponad 350 osób.

Mamy nadzieję, że naczelnik dzielnicy Łódź-Górna, któremu przekazano petycję, podejmie decyzję satysfakcjonującą obywateli. Oczekujemy odpowiedzi.

JESZCZE W SPRAWIE MISS POLONII '87

Głośno było na przełomie lipca i sierpnia o mniej lub bardziej prawdopodobnym skandalu związanym z wyborem Miss Polonii'87 i sprawa chyba jeszcze dotąd nie całkiem przyschła. Pojawiły się przecież na ten temat liczne artykuły w prasie, wypowiadano różne opinie w radiu i telewizji.

Ja, choć chciałem, nie zabrałem dotąd głosu w tej sprawie. Po prostu bezpośrednio po finałowej imprezie (na której zresztą osobiście nie byłem) wyjechałem za granicę, a następnie na XXIV Międzynarodowy Festiwal Piosenki w Sopocie. Tak więc teraz w zwięzłych słowach będę tamto milczenie nadrabiał, tym bardziej, że parę dni spędziłem ostatnio u źródła czyli w Operze Leśnej. Nie było tam wprawdzie ścian, co mają uszy, ale właśnie podczas festiwalu a — także wcześniej gdzie indziej — udało mi się zebrać informacje na temat finałowego przeglądu najpiękniejszych. Rozmawiałem z jurorami, uczestniczkami imprezy, akredytowanymi dziennikarzami i innymi poufnymi informatorami. Uzyskałem obraz przedsięwzięcia ociekającego szmalem i nie tylko, w którym sama zabawa schodzi na plan tak daleki, że w ogóle jej nie ma. W rezultacie oglądamy przemarsze wytrenowanych klaczy niewiele mające wspólnego z pokazami urody i wdzięku. Cień „Toyoty" i innych nagród idących w ciężkie miliony zawisł nad konkursem czyniąc z niego targowisko szpanu i próżności. Może już teraz czas powrócić do formuły, w której główną nagrodą był swojski „maluch"?

W ubiegłym roku mylny był wydruk komputera i należało przeprowadzić korektę ogłoszonego werdyktu. W roku bieżącym rozdmuchana została cała afera o to, że werdykt podpisany został tylko przez przewodniczącego komisji z pominięciem innych jurorów, a wyniki ustalił — żując gumę — szef biura Miss Polonia i sekretarz jury w jednej osobie. Ponieważ był on także autorem scenariusza pozostaje sprawdzić, czy rzeczywiście to wszystko nie zostało tam wpisane jako działanie zamierzone.

Od siebie pragnę dodać jedno spostrzeżenie. Dotyczy ono szeroko dyskutowanej urody panny Moniki Nowosadko z Kołobrzegu, bo cały ten zgiełk sprawił, że ta uroda jest dość często krytykowana. Może ja się na tym nie znam i nie mam za grosz w tej kwestii gustu, ale... Gdy w niedzielę, 15 marca br., pojechałem do Warszawy na ogólnopolskie eliminacje Miss Polonia'87, natomiast po wejściu na salę zwróciłem uwagę na dwie — oprócz Miss Ziemi Łódzkiej Joanny Siedzickiej, która zresztą była wówczas w drodze do stolicy moją pasażerką — dziewczyny. Pierwsza to Bogna Sworowska, bo o niej już wcześniej dano mi cynk z Warszawy, że to poważna kandydatka do tytułu. Drugą zaś okazała się nikomu bliżej nie znana... Monika. Dopiero znajomy fotoreporter — Jurek Patan z Koszalina, który już wcześniej obfotografował ją był podczas regionalnych wyborów — wyjaśnił mi, kto to jest i przedstawił nas sobie wzajem. To prawda, że w czasie transmisji telewizyjnej z sopockiego finału wydawało mi się, że Monika wygląda jakby nieco mniej korzystnie, lecz moim zdaniem i łodzianków, których wcześniejszy wygląd był mi doskonale znany, odebrano nieco piękna zamiast makijażem, fryzurą, ruchem scenicznym, ubiorem dodać.

Na festiwalu „Sopot'87" spotkałem redaktora Janusza Atlasa, komentatora „Interpressu", który też wcześniej pisał o owym skandalu w Operze Leśnej. A teraz przypomniał mi, jak to w prywatnej pogaduszce w Opolu (festiwal był tam w czerwcu) powiedziałem mu, że obok Bogny i Joasi typuję do korony Monikę Nowosadko z Kołobrzegu. „Ty jesteś nowy Klimuszko" — powiedział Janusz, a kto nie wierzy, niech go o to sam zapyta. A wiadomo, że w zmowie z Jerzym Chmielewskim być nie mogłem, bo nawet nie zaprosił mnie do składu jury.

Jestem zdania, że drobiazgowa wiwisekcja niedopatrzeń w obradach jury i długie wałkowanie tej sprawy odbija się przede wszystkim na kondycji psychicznej zdobywczyni „Toyoty", która jest w tym wszystkim Bogu ducha winna. Cieszmy się więc z naszej I Wicemiss Polonia'87, bo mamy ten tytuł w Łodzi chyba po raz pierwszy. Ponadto — co słusznie odnotowały „Odgłosy" piórem swego specjalnego wysłannika na finał — Łódź bezprecedensowo wygrała go w klasyfikacji drużynowej mając w Sopocie aż trzy reprezentantki.

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

OD REDAKCJI: Wyczerpujących informacji i chyba ostatecznie wyjaśniających wszystkie sporne kwestie wynikłe w czasie wyborów Miss Polonia dostarczy wywiad z panem Jerzym Chmielewskim zamieszczony w tym samym numerze „Odgłosów" na stronie 12.

POLSKIE TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ SERCA I ŻYCIA

Zawał serca atakuje ludzi coraz młodszych, średnia wieku zawałowców systematycznie się obniża. Rocznie w Polsce notuje się ponad 80 tys. zawałów. Gdyby udało się przynajmniej o połowę zlikwidować tak zwane „czynniki ryzyka" wówczas ilość powalonych chorobą na pewno poważnie zmalałaby.

Akcję uświadamiającą podjęła Światowa Organizacja Zdrowia, propagując zasady higieny fizycznej i psychicznej oraz diety w profilaktyce chorób serca. O skuteczności tych poczynań decyduje jednak szeroka ich społeczna akceptacja.

Któż lepiej może sobie zdawać sprawę z tego niż człowiek, który ma już za sobą podróż „erką" i pobyt w szpitalach (ja tam byłem ponad 200 dni), który przeżył zawał własnego serca, przeżył operację na otwartym sercu — 4 bypassy: wymiana sortalno-wieńcowa? Grupa właśnie takich „sercowców", świadoma problemów związanych z narastającą epidemią chorób serca, podjęła akcję zrzeszania się, by rozwijać ruch samoobrony przed chorobą i upowszechniać wiedzę o tym, jak żyć zdrowo we współczesnych warunkach cywilizacyjnych.

W Opolu „grupa inicjatywna" skupiła się wokół niżej podpisanego. Należą do niej zarówno pacjenci (byli), ludzie po zawałach i operacjach serca, jak i lekarze z Opola Kędzierzyna-Koźla, Strzelec Opolskich, dyrektorzy opolskich firm, działacze sportu.

Opolska grupa nawiązała ścisłą współpracę z warszawską grupą byłych pacjentów, którą zainicjował prof. Janusz KUCZYŃSKI. Podobna grupa — wcześniej już rozpoczęła też działalność w Krakowie. W czerwcu br. doszło do oficjalnego utworzenia w stolicy „POLSKIEGO TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ SERCA I ŻYCIA", które zamierza wspierać wysiłki służby zdrowia na polu profilaktyki i lecznictwa kardiologicznego. Byłem zaproszony na I Walny Zjazd Zarządu Towarzystwa jako reprezentant Opolszczyzny i regionu Polski południowej. Prezesem zarządu krajowego PTPSiZ został Jerzy WYSOKIŃSKI, a przewodniczącym rady programowej wybrano prof. Janusza KUCZYŃSKIEGO z Zakładu Historii Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego. Towarzystwo jest przykładem społecznej (oddolnej) inicjatywy ludzi dobrej woli, którzy sami dotknięci zostali chorobą serca albo pragną się nauczyć, jak jej uniknąć, a także — jak nieść pomoc innym.

Szacuje się, że obecnie na choroby układu krążenia cierpi ok. 5 mln osób, w tym 3,5 mln ma nadciśnienie tętnicze. Około połowa zgonów spowodowana jest chrobami krążeniowymi i co druga renta inwalidzka ma tę samą przyczynę (niżej podpisany jest na rencie inw. II grupy). Jednak lekarze twierdzą, że co piąty kończy się tragicznie. Zawał byłby do przeżycia, gdyby chory otrzymał właściwą pomoc przedlekarską, której na ogół nie potrafimy udzielić.

Kardiologia tymczasem ma ograniczone możliwości. Mimo intensywnego rozwoju, w ostatnich latach, ciągle zbyt mało jest wyspecjalizowanych placówek, które zapewniłyby pomoc wszystkim potrzebującym. Brakuje jeszcze wielu specjalistów, nie ominęły kardiologii kłopoty z brakiem leków — nawet tych pooperacyjnych i ratujących życie (wiele miesięcy po operacji w Zabrzu szukałem syncumaru, który był niezbędny w mojej sytuacji).

Przyjaciele Serca i Życia mają dla swoich działań pełne poparcie i pomoc władz partyjnych i administracyjnych, specjalistów kardiologów. Opolskie Towarzystwo będzie działać pod patronatem Wyższej Szkoły Pedagogicznej im. Powstańców Śląskich i Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego.

W swoim programie stawiamy przede wszystkim na samopomoc (bank leków, poradnictwo prawne, informacje o leczeniu, o rehabilitacji i wypoczynku oraz rekreacji sportowej, pomoc w uzyskaniu odpowiedniej pracy itp.) i na samokształcenie polegające na przekazywaniu wiedzy z zakresu dietetyki, odpoczynku, ale także filozofii życia, czy stosunków międzyludzkich. Pragniemy też współdziałać w przyuczaniu jak najszerszych rzesz obywateli do udzielania pomocy w nagłych wypadkach.

ZBIGNIEW RUBISZ

SZANOWNA REDAKCJO!

Wątpię aby redakcja odważyła się zamieścić list o tak niepopularnej treści, ale do kogoś w tej sprawie musiałem się zwrócić, a przecież do zadań prasy należy przekazywanie władzom problemów społecznych.

Chciałbym zwrócić uwagę na modę jaka opanowała mieszkańców naszego miasta. Punktem honoru i statusu społecznego jest posiadanie psa, to już nie rencistki i emeryci koją swoją samotność czworonożnym przyjacielem, lecz nawet wielodzietne rodziny za najważniejszą osobę w swym składzie uważają psa. Może jest to poszukiwanie prawdziwego przyjaciela, a może tylko chęć posiadania wreszcie kogoś na kim można bezpiecznie odegrać się za wszystkie życiowe niepowodzenia.
Większość mieszkańców naszego miasta nie ma ku temu odpowiednich warunków, duże psy zamknięte w ciasnych mieszkaniach są po prostu męczone, wiele z nich choruje (wirusowe zapalenie jelit jest powszechne) i trudno się dziwić że wyprowadzane a raczej wypuszczane bez opieki (i oczywiście bez kagańca) przed blok ujadają wściekle i często bez powodu atakują ludzi. Może działacze Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami zastanowiliby się nad tym problemem, zamiast organizować psie giełdy, na których prawie darmo wciska się psy ludziom nie przygotowanym do tego i nie mającym żadnych warunków zapewniających względną egzystencję.

Coraz większa liczba dzieci pogryzionych przez psy to fakt którego nie można ukryć i wobec którego nie powinniśmy być obojętni, każdy taki wypadek wywołuje u dziecka szok i często trwałe uszkodzenie ciała. Okazuje się, że nie ma w mieście instytucji, którą by ta sytuacja cokolwiek obchodziła; gdy zostanie skrzywdzony pies — natychmiast w obronie występuje Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami, Związek Kynologiczny, organizacje społeczne, a kolegium wymierza sprawcy surową karę; gdy zostanie pogryzione dziecko — obchodzi to tylko jego rodziców, Towarzystwa Opieki nad Dziećmi niestety nie ma. Nigdy nie słyszałem żeby właściciel psa który pogryzł dziecko ponosił jakieś konsekwencje, być może bardziej cenimy psy jak dzieci. Wątpię by ktokolwiek łącznie z właścicielami psów uznał taką sytuację za normalną i sprawiedliwą. Jest wiele znanych od lat sposobów, by uporać się z takim problemem, o ile się chce, chyba że władzom miasta nie zależy na czystości ulic i domów, spokoju przechodniów i bezpieczeństwa dzieci, być może boją się szumu jaki podnieśliby właściciele psów. W takim razie trudno, trzeba się z tym pogodzić, kupić psa, zrzucić go ze schodów i niech idzie na ulicę, może uda mu się pogryźć tego od kogo coś w naszym mieście zależy.

J.G.

(Nazwisko i adres wyłącznie do wiadomości redakcji).

Jerzy Chmielewski o wyborach „Miss Polonia"

To nie była guma do żucia...

Lekkość, wdzięk i bezpretensjonalność dominują w każdym jego kroku na scenie. Ujmujące zachowanie wywołuje fale kontrowersyjnych opinii... Zwalista sylwetka i obojętne oblicze przyciągają niczym magnes stęsknione spojrzenia pań i zazdrosnych panów... To on: ojciec chrzestny wyborów najpiękniejszej Polki! Mister elegantiarum scen sopockich i nie tylko!... Człowiek sezonu, najsłynniejsza postać tegorocznego lata: JERZY CHMIELEWSKI!!! I tylko dla Czytelników „ODGŁOSÓW" — szczera wymiana poglądów z szefem Biura Miss Polonia...

„Odgłosy": — Ciężko pana dopaść, znów przez parę dni szalał pan po świecie...

Jerzy Ch.: — No cóż, wyjazd do Włoch na międzynarodowy konkurs modelek to niezupełnie wakacje, właśnie wróciliśmy, z ogromnymi samolotowymi perypetiami...

— Przybliżmy nieco czytelnikom tę imprezę: kto ją organizował i po co? Kto, oprócz pana, w niej wystąpił? Jak wypadły nasze reprezentantki?

— Organizatorem wspaniałej, międzynarodowej imprezy była włoska odpowiedniczka naszej Estrady — „Promocione Europa" na zlecenie największej w Italii agencji zatrudniającej modelki o sympatycznej nazwie „Why not?", której właścicielem jest Wittorio Zeviani. Jest on oczarowany urodą Polek...

— W czym się to mniej więcej przejawia?

— Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, jeszcze przed naszymi wyborami w Sopocie, do Włoch miały pojechać trzy dziewczyny. Jury wybrało Sworowską, Słowek i Kołodziejczyk. Sworowska w końcu nie pojechała...

— Dlaczego?

— Ona już jest w Italii, w ramach prywatnego kontraktu. Zamiast niej pojechała więc Śledzicka. Ale szef — Zeviani, dodatkowo zaprosił jeszcze dwie nasze panny: Nowosadko i Gajlewicz. Później okazało się, że oprócz naszej piątki występowało jeszcze 60 modelek z 15 krajów, ale każdy reprezentowała oficjalnie tylko jedna dziewczyna...

— Byliśmy więc „w przewadze". I jakież odnieśliśmy sukcesy?

— Spore. Kołodziejczyk i Gajlewicz wywalczyły kontrakty warte po 32 tysiące dolarów każdy...

— Ładny wynik! A do czego taki kontrakt je zobowiązuje?

— W ciągu dwóch lat od podpisania kontraktu przez 400 dni musi być do dyspozycji agencji i brać udział w wyznaczonych sesjach fotograficznych i pokazach mody. Zeviani na identycznych warunkach zaprosił jeszcze osobno do współpracy naszą miss — Monikę a w przypadku panny Słowek klarują się pewne propozycje dotyczące filmów reklamowych. Ale to jeszcze zobaczymy...

— Zaraz, zaraz, ale dziewczyn pojechało pięć?

— No cóż, łodzianka może frapować uroda, ale to był konkurs modelek. Co innego mieć ładną buzię, co innego umieć nosić ciuchy... Wittorio powiedział mi, że niestety, ale te ramiona i uda pływaczki... Tu obowiązują dwa żelazne wymiary: 175 centymetrów wzrostu i 92 w biodrach. Aha, jest i trzeci wymóg który na dzień dzisiejszy stawia pod znakiem zapytania występy naszych dziewczyn...

— ???

— Znajomość, choć przeciętna, języka obcego. Jeśli do jesieni, każda z nich, tych wybranych opanuje umiejętność porozumiewania się powiedzmy po angielsku — to kontrakt zostanie podpisany. Na razie sprawa jest w zawieszeniu.

— Dwa słowa wrażeń pozakonkursowych...

— Doskonałe, niezwykle serdeczne przyjęcie i kapitalna bardzo dyskretna ochrona...

— Nieźle, dziewczyn musiała pilnować policja...

— Prywatna, ale musiała. Konkurs odbywał się pod Salerno i pewne, raczej niemiłe wrażenie pozostawiała na wszystkich świadomość, iż tydzień wcześniej postrzelało się tam dokładnie 105 miejscowych mafioso. Ale goszczeni byliśmy niezwykle miło, mieliśmy wszystko do dyspozycji bez wydawania choćby centa. Co więcej — Włosi zaproponowali nam zorganizowanie podobnej imprezy w Polsce w przyszłym roku!

— Brawo! Już widzę tych chętnych oferujących kontrakty a 32 tysiące dolarów sztuka...

— No, nie. Pulę nagród gwarantuje firma „Why not?", ale zorganizowanie takiej „zabawy" na europejskim poziomie to jest rzeczywiście sporo zachodu, więc na dzień dzisiejszy nie chcę nic więcej mówić na ten temat.

— Gdzie pan znów wysłał pannę Monikę?

— Wczoraj, po południu Miss Polonia odleciała via Paryż do Tokio, na doroczne wybory Miss International, których finał zapowiedziany jest na 14 września.

— Szanse panny Nowosadko? Pański prywatny osąd...

— No cóż ta impreza dopiero nabiera charakteru, organizowana jest raptem od 15 lat, ale w tym roku może w Tokio wystąpić do 60 kandydatek. Szanse Moniki? Moim zdaniem — spore, jest typem dziewczyny, która ma jedną kapitalną cechę — umie się ładnie pokazać. I naprawdę nie musimy się jej wstydzić, gdy się jeszcze nieco „otrzaska" w wielkim świecie...

— Po powrocie nasza Miss też zdaje się długo miejsca w domu nie zagrzeje?

— W rzeczy samej. 4 listopada odbywają się, jak wiadomo, wybory Miss World, a prosto z Londynu Monika wyjedzie do USA, na wycieczkę, którą przecież wygrała. Będzie w Stanach, to tak na marginesie, występować między innymi w programach polonijnej stacji telewizyjnej.

— A pan, panie Jerzy, nadal będzie jeździł Moniki „Toyotą"?

— Strzelasz pan raczej, przyznam, niespodziewanie... Co znaczy „nadal"? Jechałem tym wozem raptem parę razy, między innymi na trasie do Kołobrzegu. Wczoraj tata Nowosadko dał mi poprowadzić „Toyotę" w Warszawie, mogę nawet podać trasę: z Al. Jerozolimskich do Lindleya i Filtrową — znów do redakcji „Expressu".

— A pański...

— Wejdę niegrzecznie w słowo: osobiście mam dziesięcioletniego „malucha" i właśnie dziś urwał mi się po raz drugi z rzędu pedał gazu...

— To przeskoczmy jeszcze w inny temat, nieco już historyczny. Znany był pan kiedyś jako organizator dużych imprez w Sali Kongresowej.

— Aaaa, stare dzieje. Te imprezy umarły śmiercią naturalną, ludzie zaczęli liczyć się po prostu z każdym groszem.

— Na zajęcia plenerowe, próby, eliminacje do wyborów najpiękniejszej Polki wali każdy, nie licząc się z kosztami...

— Piękno kobiecego ciała, odrobina seksu działa na każdego...

— Słynny był też w swoim czasie pański — delikatnie mówiąc — zatarg ze Stanisławem Cejrowskim, szefem „Estrady"...

— Bo ja w pierwszej wersji wymyśliłem wybory Miss Warszawy, a on się upierał od razu na Miss Polonię. Bez żadnych doświadczeń, znajomości realiów. Potem mieliśmy niewypały. Konsternacje gości zagranicznych budziły występy naszych dziewczyn w kostiumach dwuczęściowych i ich „wycieczki" między rzędami. Wywołało to masę nieporozumień.

— Ale wyszedł pan z tych potyczek zwycięsko, nauki nie poszły w las; a propos — czego pan się przede wszystkim nauczył?

— Że nie może mieć miejsca niekontrolowana improwizacja. Cała zabawa musi być lekka i przyjemna, ale precyzyjnie i sztywno przygotowana w najdrobniejszych szczegółach. I wielu pewnie się zdziwi, gdy powiem, że przy organizacji tegorocznych finałów zatrudnionych było około 300 osób, przy czym ten, nazwijmy „średni nadzór techniczny" jest najważniejszy i musi być wobec mnie lojalny.

— Te szczegóły nie zawsze da się przewidzieć; w zeszłym roku konferansjer pomylił wyniki, w tym roku udział w dodatkowych emocjach miał też pan osobiście... Wielu obserwatorów odniosło wrażenie, że walka w tym roku była wyjątkowo zażarta, w czym nie tylko urody dziewcząt zasługa...

— A cóż w tym dziwnego? Jeśli do wygrania jest, przypomnijmy: autko za 7,5 tysiąca dolarów, kamera za półtora tysiąca, jeszcze tysiące w ciuchach, dwa tygodnie w USA, a ta eskapada warta jest około 5 tysięcy zielonych papierków, no i jeszcze wizja występów w firmie włoskiej... Sporo tego, to i walka jest ostra...

— Ale czy zawsze prowadzona fair? Autorzy wielu enuncjacji w tak zwanych środkach masowego przekazu równie masowo byli zdania, że wiarygodność ostatecznych wyników może stać pod znakiem zapytania. Te chowania jurorów pod sceną, oni obradują, dyskutują, wy — ogłaszacie werdykt. Wiele ważnych szczegółów technicznych było wyraźnie niedopracowanych.

— Ależ skąd! Regulamin pracy jurorów, który wszyscy znali, przewidywał takie właśnie rozwiązanie, wszyscy wiedzieli, że tak się to odbędzie i nikt początkowo nie miał żadnych pretensji. *Rzeczywiście obradowali* w pomieszczeniu pod sceną, ale to nie ja projektowałem amfiteatr sopocki, wybrano najpierw „dziesiątkę", potem — „piątkę" najlepszych dziewczyn. A regulamin, przy wyborach już pięciu panien nie zakładał żadnych dyskusji, tylko matematyczne podsumowanie punktów. W ubiegłym roku było podobnie, też wyniki były ogłaszane bez dyskusji na scenie i nie było problemów. Ale do wygrania była praktycznie tylko mała „Charade".

— Jednak musi pan przyznać, że to wynoszenie wyników w garści, bez wspólnego z jurorami podsumowania, musi budzić sporo kontrowersji. Mówiąc wprost: jest możliwość sfałszowania rezultatów?

— Oczywiście, teoretycznie taka możliwość istnieje, nawet przy zastosowaniu komputera, wystarczy mu tylko wrzucić do pamięci „nasz" program... Ale przecież cała zabawa opiera się na wzajemnym zaufaniu, przecież jury i ja musimy mieć do siebie właśnie wzajemne, pełne zaufanie...

— To bardzo cenna cecha, zwłaszcza gdy w grę wchodzą te wymienione już dziś kwoty. Tłumaczył się pan publicznie, że ma w sejfie jakieś dokumenty...

— Przyparty do muru — musiałem i to wyjaśnić. Bo mam i osobiste notatki z wynikami protokolanta, pracownika biura — Leszka Nogala, a także oficjalny protokół wyników końcowych, podpisany przez wiceprezydenta Janusza Wandycza, Nogala i mnie.

— A dlaczego zabrakło tam podpisów jurorów i jurorek?

— Regulamin pracy jury nie przewidywał zbierania autografów...

— Odnoszę wrażenie że pewne awersje do niektórych jurorów, jakby z wzajemnością, spowodują zmiany w systemie sędziowania...

— Być może. Ale dziś nie bawmy się w magiel...

— Wszelkie rekordy popularności pobił pan osobiście reklamując wyroby producentów gumy do żucia tak skutecznie, iż natychmiast znalazł się pan na ustach wszystkich... Można rzec — „król reklamy"...

— To przede wszystkim nie była guma...

— Pewnie nitka od guzika przy koszuli...

— Też nie; kawałek kartki z osobistego notatnika, którą zresztą mam schowaną na pamiątkę. No więc, urwałem jej kawałek i wsadziłem do ust. Denerwowałem się, bo wszystko szło w miarę sprawnie, a wówczas — wiadomo — zaraz coś „pęknie". W zeszłym roku też tak dobrze szło, a potem Świerczyński pomylił wyniki...

— Nerwy nerwami, ale pracował pan nad rozmiękczeniem tej kartki bardzo energicznie...

— Złośliwi kamerzyści! Teraz mam wrażenie że świadomie i z premedytacją właśnie moją twarz pokazywali...

— Jak to w reklamówkach... Za chwilę będzie mnie pan przekonywał, że to taka maniera na światowych estradach?

— O rany, przecież to w sumie szczegół, a wszyscy się o to czepiają! Mam lepszy patent na przyszły rok; reklamę „Totolotka"...

— Poda pan wcześniej prawdziwe wyniki?

— Nie. Wyjdę w slipach, wszyscy krzykną: — A co to? A ja: — A to-to...

— Takie sobie, nawet jako żart. Niech się pan przyzna: były po tegorocznych „zawodach" próby utrącenia szefa biura Miss Polonia?

— To normalne. Żyjemy w kraju, *w którym każdy chętnie* dziewczyny obejrzy, po czym połowa obładaczy twierdzi że to „szajs", a druga, że ma o wiele lepsze pomysły...

— Ale rozgłos, w każdym tego słowa znaczeniu, ani panu, ani imprezie nie zaszkodził...

— Nie. I powiem więcej: już się zgłaszają potężne firmy, które pragnęłyby w przyszłorocznej edycji wystąpić w roli sponsorów. Między innymi cztery przedstawicielstwa firm samochodowych.

— A jakie to firmy?

— Stanowczo za wcześnie o tym mówić.

— Stąd wniosek, że pula nagród nie ulegnie obniżeniu?

— Raczej wprost przeciwnie...

— Może samolot?

— Pozostawię to bez komentarza. Ale co by nie powiedzieć o imprezie, jestem przekonany, że skończy się ona, czyli upadnie, tylko w dwóch przypadkach...

— Ciekawe...

— Jeśli będzie miała samych zwolenników, to pierwsze niebezpieczeństwo.

— A drugi przypadek?

— Kiedy nikt nic kontrowersyjnego na temat wyborów nie powie i nie napisze. Wtedy i ja będę musiał poprosić o zwolnienie mnie z pełnionej funkcji...

Rozmawiał:
DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Foto: Grzegorz Galasiński

Komu śmierdzą szwedzkie dolary?

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

Zespół „Style"

Ubiegłoroczny festiwal sopocki po raz pierwszy po długiej przerwie oceniono dość wysoko i to pod każdym względem. Myślę, że to właśnie sprawiło trochę zamieszania przy obsadzaniu stanowisk kierowniczych „Sopotu '87"; w nadziei „a może znów się uda" — każdy chciał być ojcem sukcesu. W łonie Komitetu Organizacyjnego ścierały się różne tendencje i do końca nie było pewności, która przeważy. Nominację na dyrektora imprezy otrzymał, podobnie jak przed rokiem, Andrzej Kowalik, ale już z szefem artystycznym były kłopoty. Miał nim zostać ponoć dyrektor Teatru Muzycznego w Gdyni i reżyser festiwalowych koncertów — Jerzy Gruza. Istniał nawet projekt, aby Bałtycka Agencja Artystyczna wydzierżawiła Operę Leśną Teatrowi Muzycznemu, a ten byłby głównym realizatorem XXIV Międzynarodowego Festiwalu Piosenki. Wczesną wiosną okazało się, że teoretyzowanie do niczego nie doprowadziło: czas mijał, wykonawców nie zaproszono, brakowało koncepcji, Opera Leśna — i tak wymagająca solidnego remontu — czekała na kilka niezbędnych napraw, a ostatnia deska ratunku w osobie Wojciecha Trzcińskiego była dla organizatorów nieosiągalna. W końcu Wojtek dał się jednak namówić i 4 kwietnia br. przyjął nominację na dyrektora artystycznego festiwalu. Od tego momentu rozpoczęto wszystkie działania mające na celu doprowadzenie do imprezy, jaka miała się odbyć w Operze Leśnej w dniach 19—22 sierpnia, a którą już — w pewnej fazie — zamierzano odwołać. Stąd też tyle się podczas festiwalu mówiło o tym, iż „Sopot '87" został zorganizowany w cztery miesiące.

W marcu bieżącego roku w rozmaitych publikatorach pojawiły się wieści na temat nieudanego mariażu finansowego z koncernem Pepsi Coli, który — jak wynikało z wcześniejszych informacji — miał przekazać, w zamian za reklamę, spore środki dewizowe Komitetowi Organizacyjnemu festiwalu w Sopocie. Podobno zawiniła tu, pośrednicząca w całym przedsięwzięciu, szwedzka firma STM Parawan, która okazała się szajką hochsztaplerów i bankrutem finansowym. Festiwalowi zagrażało wręcz widmo odwołania, gdyby nie pomoc rodzimych sponsorów. Słyszałem nawet głosy, że może dobrze się stało z tym Parawanem, bo nagrody w dolarach, jakie były proponowane laureatom, wprowadziłyby tylko niezdrową atmosferę, a tak — niech będzie jak dotąd: kilkaset tysięcy złotych bez prawa transferu czyli możliwości wywiezienia ich z kraju. Aliści im bliżej terminu rozpoczęcia festiwalu, tym częściej pojawiała się na łamach nazwa skompromitowanej firmy STM ze Szwecji, bowiem niewypłacalna — jak twierdzono wcześniej — firma przeznaczyła na nagrody dla laureatów XXIV Międzynarodowego Festiwalu Piosenki... trzydzieści jeden tysięcy dolarów. Stała się więc najbardziej hojnym sponsorem imprezy.

W materiałach informacyjnych, które otrzymali akredytowani przy festiwalu sopockim dziennikarze po przyjeździe do Trójmiasta, znajdował się szczegółowy plan konferencji prasowych podczas trwania MFP. Tam też napisano, że 22 sierpnia, w sobotę, o godzinie 15,00 w cocktail barze hotelu „Marina" odbędzie się konferencja prasowa szwedzkiej firmy STM. Oto jest już ta pora. W recepcyjnym hallu stoją grupki dziennikarzy. Są trochę zdezorientowani i jakby ich mało w porównaniu z listą w Biurze Prasowym. Kilku kręci się przy zamkniętym wejściu do kawiarnianej sali, gdzie niby za chwilę powinno się zacząć spotkanie. Nagle w hallu pojawia się stosunkowo młody człowiek, którego paru dziennikarzy mówiąc mu per Staszek zasypuje pytaniami.

Stanisław Dudzik przyjeżdża na sopocki festiwal od ładnych paru lat. Jest Polakiem z pochodzenia, ale na stałe mieszka w Szwecji. Osiedliwszy się tam zajął się pracą impresaryjną i właśnie na kolejne „Sopoty" przywozi swoich podopiecznych. Bodaj pierwszym z nich była grupa „Baden-Baden", a w tym roku Dudzik zaproponował do konkursu zespół „Style". Ale od pewnego czasu działalność impresaryjna Stanisława Dudzika schodzi nieco na plan dalszy, bowiem został on jednym z dyrektorów (i — jak należy się domyślać — udziałowców) firmy STM i dlatego od niego dziennikarze chcą zasięgnąć informacji.

Okazuje się, że organizatorzy festiwalu — mimo przewidzianej wcześniej konferencji prasowej ze Szwedami — przygotowali na tę samą godzinę... wycieczkę wodolotem. Program, skądinąd bardzo potrzebnego akcentu podczas międzynarodowej imprezy, przewidywał wyjazd do Gdańska, podróż na Westerplatte i złożenie kwiatów pod pomnikiem bohaterów września 1939, przelot do Gdyni, gdzie w porcie na Oksywiu dziennikarze i obserwatorzy mieli być gośćmi Marynarki Wojennej, a następnie — po posiłku — powrót do Sopotu. Jak się potem dowiedziałem wyprawa wodolotem obliczona była na sto sześćdziesiąt osób, a uczestniczyło w niej... sześćdziesiąt. Prawie wszyscy pozostali przybyli na konferencję w „Marinie", bo ich nie poinformowano o zmianie programu. Ponadto nikt formalnie nie odwoływał spotkania ze szwedzkim sponsorem, choć Szwedom powiedziano, że konferencja prasowa została przesunięta na godzinę 17,00 i wtedy też dokona się wręczenia laureatom dolarowych nagród. To już nie kamyczek do ogródka organizatorów — to głaz. A przypomnę, że dotyczy to nie tylko gości z zagranicy, ale także firmy, która przekazała Komitetowi Organizacyjnemu znaczną sumę w dolarach i choćby za to należało ją hołubić.

Nic dziwnego, że pierwsze pytanie podczas konferencji brzmiało: czy po tym wszystkim, czego Szwedzi doświadczyli podczas festiwalu, firma STM będzie nadal zainteresowana współpracą w latach następnych? Do konferencji, dzięki uprzejmości Szwedów i uporowi dziennikarzy, jednak doszło; rozpoczęła się ona kilkanaście minut po piętnastej i trwała ponad półtorej godziny, a o siedemnastej na naszych oczach wręczono laureatom ogromne koperty zawierające czeki. Stanisław Dudzik, który pełnił równocześnie rolę tłumacza, przedstawił zebranym dwóch również stosunkowo młodych ludzi: pierwszy z nich to dyrektor naczelny firmy STM, a drugi — dyrektor działu marketingu. (O dobrym wychowaniu niech świadczy fakt, że dyrektor naczelny, który oficjalnie wiedział, iż konferencja została przesunięta o dwie godziny, natychmiast był do dyspozycji dziennikarzy, ba — nawet pobiegł się przebrać w garnitur). Firma STM — jak wyjaśnili jej szefowie — działa wielotorowo: zajmuje się marketingiem, sponsorowaniem, ale też prowadzi normalną działalność handlową. Jej zainteresowanie festiwalem sopockim, jak można się domyślać, związane było z osobą Stanisława Dudzika. Po rozpatrzeniu wszystkich „za i przeciw" STM postanowił, że gra warta jest świeczki i z odpowiednim wyprzedzeniem, po zakończeniu ubiegłorocznego festiwalu, zwrócił się do Komitetu Organizacyjnego XXIV Międzynarodowego Festiwalu Piosenki z propozycją współpracy przy organizacji imprezy. Firma proponowała, że postara się znaleźć w świecie sponsora, który wyasygnowałby na festiwal sumę stu kilkudziesięciu tysięcy dolarów, a więc sponsora bogatego. Komitet Organizacyjny MFP na to przystał przez co uczynił STM swoim pośrednikiem w kontaktach z poszukiwanym potencjalnym sponsorem. Wkrótce Szwedzi poinformowali, że finansowy gigant — koncern Pepsi Cola jest zainteresowany sponsorowaniem sopockiej imprezy, ale organizatorzy z Warszawy i Trójmiasta nabrali wody w usta. Z innych źródeł wiem, że zaczęły się u nas dociekania, co zachodnie firmy mogą mieć za interes w finansowaniu naszego „Sopotu".

Co tymczasem robią Szwedzi? Sądząc, że „festiwalowe władze" są poważnym partnerem, a zatem umowa z nimi jest wiążąca, firma przystępuje do rutynowych działań. Przygotowana zostaje reklama „Sopotu '87": barwny folder informacyjny zaprojektowany na tyle użytkowo, że jedna oddzierana jego część jest automatycznie kartą zgłoszeniową. W szczegółowych rubrykach, przejrzyście i funkcjonalnie, umieszczono wszystkie pozycje niezbędne dla zorientowania organizatorów, kto zacz. („Przecież tyle razy przyjeżdżałem tu jako menażer — mówi Stanisław Dudzik — to wiem, o co mnie pytano"). Całość jest oczywiście w języku angielskim, a polski akcent to adres biura festiwalu: Teatr Muzyczny w Gdyni, Plac Grunwaldzki 1. Ponadto wyprodukowane zostają inne druki z tym samym barwnym znakiem graficznym („nad festiwalem kolorowa tęcza") oraz papeteria.

Później wydarzenia następują szybko po sobie: strona polska milczy na temat dalszej współpracy, reklama przygotowana przez STM jedzie na Targi Płytowe MIDEM w Cannes, gdzie reprezentuje przyszły festiwal na polskim stoisku (Szwedzi przy biernej postawie organizatorów dotrzymali umowy), koncern Pepsi Coli nie doczekawszy się w przewidzianym terminie potwierdzenia z Sopotu via Szwecja wycofuje się ze wstępnych deklaracji finansowych. Ale najciekawsze ma dopiero nastąpić. Oto bowiem Komitet Organizacyjny informuje firmę STM po drugiej stronie Bałtyku, iż przygotowana barwna na dobrym papierze reklama jest bezużyteczna, gdyż... adres biura festiwalu jest nieaktualny, a ciężar bezpośredniej realizacji bierze na siebie — jak w latach poprzednich BART w Sopocie. Szwedzi — jak twierdzą — tracą w tym momencie około piętnastu tysięcy dolarów wydanych na tę nieszczęsną reklamę, a niemal cały nakład zostaje zatopiony gdzieś u ujścia Wisły (nieliczne egzemplarze prezentowano podczas konferencji).

Do poprzedniej podejrzliwości strony polskiej, co do prawdziwych powodów zainteresowania Szwedów sopocką imprezą, dochodzi teraz puszczona nie wiadomo przez kogo plotka o niewypłacalności firmy STM, którą chętnie podchwytuje prasa. Być może kryją się za tym jakieś personalne rozgrywki w gronie organizatorów. Tymczasem STM zawiedziony nieco „antywspółdziałaniem" Polaków, zdając sobie sprawę, że w tym roku trudno byłoby rozpoczynać na nowo rozmowy z Pepsi Colą czy innym potężnym sponsorem, postanawia ufundować choćby dolarowe nagrody z własnej firmowej kiesy, nagrody — jak mówią sami Szwedzi — niezbyt wysokie. Taką też propozycję składają Komitetowi Organizacyjnemu. Po naszej stronie jest to pełnym zaskoczeniem: jak to — bankrut daje trzydzieści tysięcy dolarów? Znów odzywają się głosy, by pozostać przy złotówkach. Przeprowadzony wywiad bankowy — jak informuje dyrektor naczelny Zjednoczonych Przedsiębiorstw Rozrywkowych Stanisław Nowotny — daje wynik pozytywny: konto firmy nie jest bynajmniej zerowe, obroty spore, zyski także. My, od czasu potopu szwedzkiego, nie ufamy Szwedom i już. Strona polska żąda więc, by — celem zabezpieczenia finansowego podanych do wiadomości nagród dewizowych — firma STM dokonała przelewu trzydziestu jeden tysięcy dolarów na konto ZPR-ów. Jest to niby gwarancja dla Polaków, ale równocześnie od tego trzymanego przez kilka miesięcy kapitału będą przecież spore odsetki, które należą się Szwedom. W końcu, po uzyskaniu zgody paru ministerstw, w maju udaje się tę sprawę pomyślnie załatwić. Mamy dolary od STM.

Siedzi przed nami trzech dyrektorów szwedzkiej firmy STM, która dodatkowo zafundowała dziennikarzom kawę, herbatę, napoje... W dyskusji podnosi się nieelegancki stosunek Komitetu Organizacyjnego do sponsora, bo ten wywalił na festiwal około pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Dolary te komuś śmierdzą. W zamian za dewizy organizatorzy ustawili na koronie widowni w Operze Leśnej dwie duże plansze reklamowe firmy, które czasami w kamerowej kontrze mogły być widoczne dla telewidzów. Dlaczego nie było śladu STM w scenografii na estradzie? Jeden z dyrektorów, którego dziadek był Polakiem, rozbrajająco spokojnie wyjaśnia, że jeden z punktów regulaminu dopuszcza tam wyłącznie eksponowanie rodzimych państwowych sponsorów. Szwedom jest natomiast przykro, gdy w równej co oni mierze na terenie Opery Leśnej reklamowane są inne za granicą zupełnie nie liczące się firmy, bo zaoferowały nieodpłatnie np. mikrofon czy inny drobiazg.

Powraca pytanie, czy w przyszłości STM nadal będzie zainteresowany współpracą po tylu afrontach? Dyrektor naczelny odpowiada, że dopiero po powrocie zanalizują sytuację, choć nie ukrywa, iż pod kątem przyszłego roku złożono propozycję Komitetowi Organizacyjnemu jeszcze przed rozpoczęciem tegorocznego festiwalu. Niestety, strona polska nie ma możliwości podjęcia w tej kwestii jakiejkolwiek decyzji przed 15 września br. STM z dolarami ma „zgłosić się" po tym terminie.

Szwedzi w Sopocie? Kierownictwo STM ma wizję wielkiej i liczącej się w świecie imprezy piosenkarskiej w Operze Leśnej. Zastanawiali się nad tym długo i uważają, że Sopot jest tym miejscem, gdzie mógłby szybko wyrosnąć konkurent Tokio czy Eurowizji, ale działania rozpocząć należy w różnych kierunkach. To, co mówią, brzmi logicznie. Nawet to, że remont Opery Leśnej należałoby rozpocząć nie od przeciekającego dachu, a od toalety pod sceną, która jest od lat cuchnącym kiblem. Jednak na razie o porozumienie z organizatorami trudno. Mówi Stanisław Dudzik: „Ktoś z moich znajomych powiedział, że wprawdzie STM ufundował nagrody w dolarach, ale na pewno zdobędzie je Style, grupa, którą przywiozłem na festiwal i w ten sposób dolary wrócą do mnie. Czy w tej atmosferze można rozmawiać poważnie o przyszłości festiwalu?".

Pada pytanie, jakie warunki stawia STM organizatorom, czy chce mieć wpływ na werdykt. Szwedzi śmieją się — nie, chcieliby tylko przy okazji móc przyznawać corocznie specjalną własną nagrodę. Jaką? Miniaturową wersję „Porsche" Carrera 911 junior — czerwony samochodzik dla dzieci, który pokazano na ekranach telewizorów podczas koncertu laureatów. Nie wolno poruszać się nim na drogach publicznych, ale można jeździć po polach golfowych. Na Zachodzie są też specjalnie wydzielone miejsca, gdzie dzieci bogatych rodziców (w Szwecji takie cacko kosztuje około 5,5 tysiąca dolarów) mogą się najeździć do woli. Właściciel firmy produkującej te samochody-zabawki proponował również otwarcie podobnych torów w Polsce, jednak nikt nie wyraził zainteresowania, mimo, że gdyby istniały takie „stajnie" małych „porszaków" rodzice z pewnością nie pożałowaliby kilkuset złotych na wynajęcie automobilu dla swych pociech, bo to duża atrakcja. Auta te produkuje firma „Alpha", której właścicielem jest — tak, tak, ten sam — Sobiesław Zasada.

Konferencja prasowa szwedzkiej firmy STM dobiegła końca. Nagrody wręczono. Zakończył się też festiwal, a wkrótce zaczną się prace przygotowawcze przed następnym, jubileuszowym „Sopotem". Może w międzyczasie uda się ustalić komu i dlaczego śmierdzą szwedzkie dolary? Może warto z nich skorzystać? Na razie pertraktacje — jak to się zwykło mawiać — są w toku.

■

Miss Lata Łódź '87

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI

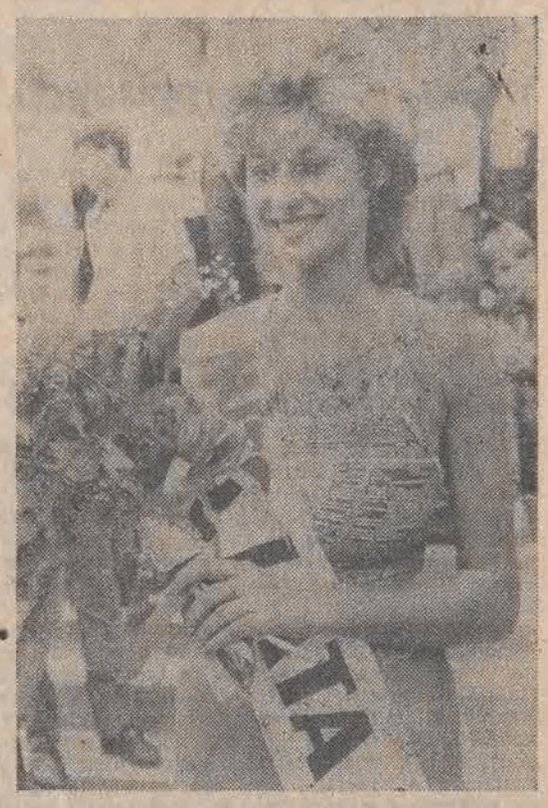

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia – podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

10 września — ANDRZEJ KAROLCZAK — godz. 10—16

17 września — TERESA JERZYKOWSKA — godz. 10—16

Niektóre tematy powtarzają się uparcie w rozmowach telefonicznych pomiędzy czytelnikami i redaktorami „Odgłosów". Pani E. CH. jest pod wrażeniem brutalności i chamstwa, z jakim spotkała się na przejściu granicznym w Jugosławii. Reporter wierzy pani **E. CH.**, bowiem sam doświadczył przed dwoma laty podobnych przygód w tym pięknym skądinąd kraju. Jak tak dalej pójdzie, zaczniemy domagać się od naszych celników chwytów odwetowych w stosunku do Jugosłowian, Węgrów, Bułgarów, Czechów, a także Szwedów i Duńczyków, którzy z pozoru tylko nie mają nic do oclenia i bardzo dobrze wiedzą, na czym polega biznes.

Powraca temat rakotwórczych **płyt azbestowych** i toksycznej papy budowlanej. Powraca temat instytucji charytatywnych i Polskiego Komitetu Opieki Społecznej. Zadzwonił w tej sprawie do reportera jeden ze znanych aktywistów, człowiek chory i bezradny, skazany od kilku lat na łaskę działaczy PKPS. Prosi, aby nie ujawniać jego nazwiska, potwierdza jednak, iż jest prawdą, że ludzie ci dopuszczają się na swoich podopiecznych haniebnych zaniedbań i nadużyć.

Powraca temat ochrony środowiska naturalnego. Jani **F. SZ.** donosi, że lutomierski Ner został kompletnie zatruty brudami z miejskich kloak. Samochody z tym paskudztwem podjeżdżają śmiało do brzegu i pozbywają się swoich cuchnących ładunków. Naczelnik gminy nie protestuje, ba, aby samochodom było wygodniej, rozporządził skonstruować dla nich nad rzeką specjalny podjazd, z którego paskudzi się przyjemnie i sprawnie. Ta sama czytelniczka zapytała, czy reporter będzie miał odwagę napisać, że powinno się zweryfikować (atestacja) urzędników w pewnych resortach. Owszem, reporter ma odwagę napisać, to znaczy: przytoczyć jej uskrzydloną i śmiałą myśl. Nasza czytelniczka jest doprawdy szalenie odważna, nie zgodziła się jednak, aby podać w gazecie jej pełne nazwisko.

W ogóle czytelnicy są ostrożni. Anonim spiorunował śródmiejski ROM przy ulicy Sienkiewicza. Inny autor twierdzi, że życie przy ulicy Podhalańskiej stało się nieznośne, a to z powodu ogródków działkowych. Już nie chodzi o wesela, o ogromną muzykę i pijackie wrzaski, lecz o kury, które mnożą się w zastraszającym tempie i gdaczą od samego rana nie pozwalając mieszkańcom bloków wyspać się i odpocząć przez okrągłych siedem dni w tygodniu. Cóż to jest, do ciężkiej cholery?! Ogród zoologiczny, Państwowe Gospodarstwo Rolne czy śródmiejska strefa mieszkaniowa? Administracja nie reaguje na skargi stałych mieszkańców, choć za przywilej rezydowania w tej centralnej łódzkiej dzielnicy każe sobie słono płacić.

Tylko jeden człowiek przedstawił się reporterowi głośno i wyraźnie. Był to pan **ANDRZEJ BARAŃSKI.** Opowiedział wstrząsającą historię młodego, uczciwego, cieszącego się nienaganną opinią mężczyzny, który, ku zaskoczeniu kolegów, ukradł kilka „przedmiotów kulturalnych" w zakładzie, po czym straciwszy pracę, popełnił samobójstwo osierocając żonę i dwoje dzieci. Reporter wyznaje, iż nie podejmie i nie rozwinie tego tematu z przyczyn osobistych.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Konkurs lipcowy rozstrzygnięty!

Rozstrzygnięty został lipcowy konkurs fotograficzny. Zestawów zdjęć dostaliśmy dużo. I nagrodę otrzymał pan Mieczysław Potocki. Wyróżnienie — pani Ewa Gładys. Poniżej drukujemy jedno ze zdjęć zwycięzcy. Wszystkim, którzy nadesłali prace na konkurs serdecznie dziękujemy. Wyróżnionym gratulujemy. Nagrody prześlemy pocztą.

Uwaga Czytelnicy!

Wiele osób zwraca się do nas z prośbą o przysłanie kompletu kilku ostatnich numerów „Odgłosów". Niektórzy gotowi są nawet zapłacić wyższą cenę. W redakcji nie mamy jednak, niestety, wolnych egzemplarzy.

Wszystkich zainteresowanych informujemy, że na ulicy Piotrkowskiej (nr 175A — 177) w Łodzi znajduje się kiosk prowadzący sprzedaż prasy archiwalnej. Być może tam uda się zdobyć brakujące numery.

Jednocześnie zachęcamy do prenumeraty „Odgłosów" (termin upływa 10 listopada) bądź założenia specjalnej teczki w kiosku „Ruchu". Tylko w ten sposób można zagwarantować sobie regularne otrzymywanie naszego tygodnika.

W nadchodzących miesiącach i przyszłym roku będziemy publikować — oprócz ciekawych artykułów oraz reportaży z kraju i zagranicy — nową powieść Leonarda pt. „Matnia". A następnie zamierzamy drukować książkę Zbigniewa Nienackiego „Dagome iudex".

Mamy więc nadzieję, że warto zbierać wszystkie numery „Odgłosów". Życzymy przyjemnej lektury i prosimy o nadsyłanie wszelkich uwag i propozycji.

Przypominamy!

Konkurs na całe lato trwa do 30 września 1987 roku

NA KONKURS NA CAŁE LATO można przysłać **nie więcej niż** 10 zdjęć. Powinny być zrobione na wakacjach poza Łodzią. Powinny to być zdjęcia czarno-białe w formacie nie mniejszym niż 13 na 18 cm. Zdjęcia wraz z kuponem z „Odgłosów" przysyłamy do 30 września 1987 roku pod adresem:

„ODGŁOSY"
ul. Henryka Sienkiewicza 3/5, XIII piętro,
90-113 ŁÓDŹ
A oto kupon:

KUPON KONKURSU NA CAŁE LATO

Imię i nazwisko . . . . . .

Dokładny adres . . . . . .

Zgłaszam na KONKURS NA CAŁE LATO zestaw . . zdjęć.

TO NAM SIĘ NIE PODOBA!

Pracownikom „Społem" polecamy niedrogie (280 zł sztuka) „Zasady pisowni polskiej i interpunkcji ze słownikiem ortograficznym". Mogą się jeszcze przydać...

Foto: Witold Werner

Z rynku

OSZUKUJĄ NAS! Od dawna, konsekwentnie, a my spokojnie, wbrew zdrowemu rozsądkowi oszukiwać się dajemy, co powoduje niekiedy znaczne perturbacje w życiu rodzinnym i społecznym. Kto nas oszukuje? Astronomowie. Oni to bowiem uznali, że jesień zaczyna się 23 września, zima 21 grudnia itd. Tymczasem każdy rozsądnie myślący człowiek, jeśli tylko na chwilę uda mu się zapomnieć o kłamliwej wiedzy, po prostu widzi, że jesień zaczyna się dokładnie 1 września, tj. wtedy, gdy dzieci rozpoczynają naukę w szkołach, pierwszy dzień lata — to jednocześnie pierwszy dzień wakacji, a z początkiem zimy bywa różnie — niekiedy śnieg i mróz — a przecież bez tych atrybutów zimy nie ma — są już pierwszego listopada, a w inne lata od 1 września aż do następnego lata trwa jesień. I do takiego właśnie rytmu — a nie, jak dotąd — do sztucznego, wynikającego z układu gwiazd, powinna być dostosowana praca wielu instytucji zajmujących się np. organizacją wypoczynku, funkcjonowaniem kolei i handlu.

TYMCZASEM W SKLEPACH LATO. Przez cały sezon, od czerwca, poprzez dość upalny lipiec i zimny sierpień nie było w sklepach odzieżowych i obuwniczych tak dużego jak obecnie wyboru letnich sukienek, kostiumów kąpielowych, wdzianek, męskich spodni z cienkich, przewiewnych materiałów i letniego obuwia. Kto ma ochotę — może bez trudu wybrać atrakcyjne towary na rok przyszły — oczywiście przy założeniu, że moda nie zmieni się. Nadto przezorni mogą bowiem głupio wpaść — nie dosyć, że narobią sobie kłopotu z przechowywaniem, w za ciasnych mieszkaniach rzeczy, w które nie można się ubrać od razu, nie dość, że będą musieli przesypywać je naftaliną a za parę miesięcy przed włożeniem prać i prasować, to może się jeszcze okazać, że to, co obecnie wydaje się atrakcyjne, w przyszłym sezonie może nadawać się już wyłącznie do robót działkowych.

WSZYSTKO, CO WISI na wieszakach i leży na półkach sklepowych, a przeznaczone jest na sezon wiosenno-letni już od 1 września powinno być sprzedawane po znacznie obniżonych cenach — najlepiej w specjalnie wydzielonych stoiskach, tak, jak dzieje się to — z pożytkiem dla klientów, ale i dla handlu, który tym sposobem unika przechowywania towarów przez kilka miesięcy w magazynach — w wielu innych krajach, nie tylko zachodnich.

Przecena, czy też wyprzedaż posezonowa nie jest bynajmniej hańbą dla handlu. Najlepszy nawet zaopatrzeniowiec jeśli czyni zakupy w dobrze pracujących i szybko realizujących zamówienia zakładach, nie jest w stanie dokładnie utrafić w ilościowe i asortymentowe zapotrzebowanie. Albo — co gorzej — kupi za mało, albo też za dużo i wtedy jakaś część towaru pozostanie i ta właśnie część powinna być jak najszybciej sprzedana po niższej cenie.

PRZECENY SĄ I U NAS — w Centralu, Uniwersalu, sklepach Otexu, ale stoiska z towarami po obniżonych cenach sprawiają raczej smutne wrażenie. A to paskudna kurteczka, której cenę obniżono z 3 tys. na 2700 zł, a to spódniczka, która już nie pierwszy i nie drugi sezon tkwi na wieszaku, a to inne, mało atrakcyjne towary. Mimo to zainteresowanie klientów jest — zwłaszcza początkowo — duże. W dniu ogłoszenia przeceny formują się spore kolejki i możliwsze towary szybko znikają z półek. Działa tu trochę instynkt stadny — jeśli cztery panie kupią przeceniona sukienkę — to trzy następne, tłocząc się i popychając, w obawie aby nie zabrakło, kupią także, choć akurat taki fason wcale nie jest im potrzebny. Jednak już po paru godzinach kolejki znikają i przecenione towary, coraz bardziej wygniecione, czekają na kolejną przecenę, w następnym roku.

Tymczasem — co warto podkreślić po raz drugi — posezonowe przeceny powinny dotyczyć wszystkich towarów, które nie zostały sprzedane w czasie, na który były przeznaczone.

JESIENNE AKCENTY w sklepach znaleźć można także — choć na razie w nielicznych placówkach. Wzdłuż całej ul. Piotrkowskiej znalazłam jedną wystawę udekorowaną jesiennymi liśćmi, oraz kilka sklepów, gdzie, obok letnich kreacji można już kupić odzież jesienną. Po przerwie znowu pojawiły się ładne i dobre — —choć niestety drogie, od 16 do 22 tys. zł — kurtki damskie i męskie ocieplane włókniną lub puchem produkcji jugosłowiańskiej i chińskiej, a także tańsze, pokryte stylonem ocieplane kurteczki polskie. W kilku sklepach kupić można, na razie bez kolejki — rzecz niezwykle rzadko widywana w naszych sklepach: elanobawełniane, ocieplane podpinką ze sztucznego futerka kurtki męskie.

Warto także zainteresować się zimowymi botkami — co prawda pochodzą jeszcze z ubiegłorocznych zapasów, ale moda w tej dziedzinie zmieniała się niewiele i lepiej kupić je teraz, niż za dwa miesiące w okropnym tłoku.

AGATA

Leyla
PRZEDSIĘBIORSTWO ZAGRANICZNE.
90—143 ŁÓDŹ
UL. KOPCIŃSKIEGO 37

PPZ. „Leyla"

zatrudni

○ **SZWACZKI** ○

tel. 78-30-13, 78-30-91

5243-k

WOJEWÓDZKI UNIWERSYTET ROBOTNICZY ZSMP

w Łodzi

ORGANIZUJE

KURSY JĘZYKÓW OBCYCH:

- angielskiego
- niemieckiego
- francuskiego

metodą audiowizualną (nowoczesne laboratoria językowe).
Angielski, niemiecki — grupy dla młodzieży.
Angielski — konwersacje.

Przyjmujemy również zapisy — warunkowo — na język

- włoski
- węgierski

Informacje i zapisy w sekretariacie WUR ZSMP w Łodzi, przy ul. Piotrkowskiej 232, I piętro, w godz. 9.00—15.00 (informacja do 18.00) codziennie — oprócz sobót — telefon: 36-14-54.

2113-k

W sklepie stała kolejka. Znaleźć taki sklep, w którym nie będzie kolejki, to wygrać los na loterii. W kolejce stał starszy pan w okularach, a przy nodze, grzecznie i spokojnie mały czarny jamnik nierasowy. Kolejka posuwała się do przodu — jak to kolejka. Jedni robili zakupy i wychodzili ze sklepu, inni wchodzili i ustawiali się w kolejce. Wszedł też Gruby Gbur. Rozejrzał się i zajął swoje miejsce. Nagle wrzasnął:

— *Dlaczego pani pozwala, aby po sklepie psy się wałęsały. Łazi taki i wszędzie podszczywa, a potem chleb jemy z tego!!!*

Nie było w tym ani sensu, ani logiki. Chleb piecze się raczej z mąki a nie ze sklepowego kurzu. Jak czysto bywa w piekarniach, tego nie wiem, bom dawno tam nie był. I wolę nie wiedzieć. Niech się tym lepiej zajmuje Sanepid.

Ekspedientka odburknęła, że ma ważniejsze sprawy niż patrzeć, czy psy się po sklepie wałęsają, a właściciel psa wziął go za grzbiet i spokojnie wyniósł poza sklep. Gruby Gbur sapał nienawistnie.

Ile ludzkiej emocji może wywołać biedne zwierzę można przekonać się przeczytawszy wstrząsającą relację Hanny Barskiej w „Przekroju". Chodzi oczywiście o koty, które rozmnażają się „nielegalnie" w piwnicach i o ludzi, którzy chcą się tymi kotami zaopiekować, jednocześnie kontrolując ich rozwój ilościowy. Natychmiast znajdują się przeciwnicy.

„...*na moim parterowym balkonie* — pisze Hanna Barska — *porzucono kociaka z krwawiącymi ranami zamiast oczu*".

Albo w innym miejscu.

„*Ktoś oblał kota wrzątkiem*".

Powszechny jest niemal zwyczaj wywożenia kota gdzieś w nieznane i zostawianie na pastwę losu. A skąd się biorą psy bezdomne, nocujące pod balkonami, pod klatkami schodowymi? Z bezgraniczną nadzieją patrzą na człowieka, że je zawoła, że zaproponuje im, aby zajęły wolne miejsce przyjaciela.

Mówi się o tym, że pies jest najwierniejszym przyjacielem człowieka. Ale o człowieku nie można tego powiedzieć. Człowiek wspiął się na szczyt piramidy stworzeń żyjących na planecie Ziemia i udaje króla, pana życia i śmierci innych. A sam jest tylko i wyłącznie częścią tej samej przyrody, jaka na tej ziemi panuje. A w tej przyrodzie musi panować równowaga. Człowiek mozolnie pracuje nad tym, aby tę równowagę stale i trwale zakłócić. Być może kiedyś, gdy już uwieńczy swoje dzieło całkowitego zniszczenia przyrody, jakiś ludzki egzemplarz, który przetrwał klęskę, spotka psa, który też miał to szczęście i wtedy pies weźmie odwet na swoim panu, pożre go dokonując całkowitego zniszczenia rozumnego życia na planecie Ziemia.

Czasem trudno człowiekowi być człowiekiem

Mamy wszakże szansę ocalenia *siebie*, a to znaczy przyrody, trzeba tylko pamiętać, że w przyrodzie musi być równowaga. Przywiezione i nie trzebione w Australii króliki zagroziły tamtejszej gospodarce. Przyroda skonstruowała mechanizmy regulujące. Człowiek powinien je poznawać i uczyć się je szanować, a w szczególnych wypadkach posługiwać się nimi dla... dobra przyrody jako *całości*. *A człowiek jest urodzonym egoistą i myśli tylko o sobie. W każdej chwili i w każdym miejscu.*

Są przecież ludzie, którzy rozumieją, że ich stosunek do zwierząt jest miarą ich człowieczeństwa. Są ludzie, którzy rozumieją, że ich stosunek do przyrody jest taką samą miarą, bo jest to miara ich stosunku do samych siebie. Ale większość tego nie rozumie. Niektórzy wręcz nienawidzą zwierząt, gdyż te im przeszkadzają czuć się panami wszechświata, zagrażają ich egoizmowi. Są i tacy, którzy zwierzęta traktują jak żywe zabawki, które po zaspokojeniu rozrywkowych potrzeb wyrzuca się na śmietnik. Stąd i bezdomne psy i koty. Są wreszcie i tacy ludzie, którym psy i koty potrzebne są dla zagłuszenia ciszy własnej samotności. Znane są przypadki, że więźniowie zaprzyjaźniają się z myszami lub szczurami. Żeby mieć do kogo gębę otworzyć.

Tam jednak, gdzie z domu wypędzono koty zalęgły się na ich miejsce szczury i myszy. Przyznam bez bicia, że wolę już towarzystwo kotów niż szczurów. Dowiedziałem się niedawno, że w łódzkiej Składnicy Księgarskiej jest bodajże 36 kotów, które strzegą magazynów, no i dzięki temu kupujemy w księgarniach całe książki a nie pogryzione przez myszy. Jeśli te książki mają jakieś inne wady, na przykład puste kartki, to są one zawinione przez zupełnie kogoś innego. Zresztą nie tylko Składnica Księgarska w Łodzi ma kłopoty. Trzyma je wiele różnych przedsiębiorstw z dużym pożytkiem. Wydatek na koty mały, a korzyść znaczna.

Można jednak trzymać kota w przedsiębiorstwie, aby łowił myszy i przez to był pożyteczny, można trzymać psa, aby razem ze stróżem nocnym strzegł całości majątku, a mimo to nie lubić zwierząt. Co innego jest bowiem uznawać ich przydatność, a co innego traktować je jak partnerów. Nie pomyliłem się — partnerów w dziejach przyrody, której każde z nas jest tylko częścią i niczym więcej. Jesteśmy sobie wzajemnie potrzebni. Biedne świnki choćby tylko po to, aby na święta była smaczna szynka.

Hanna Barska w swoim artykule w „Przekroju" ma niewątpliwie rację, gdy pisze, że zwierzęta rzeźne teraz się produkuje a nie hoduje. Zresztą nie tylko nomenklatura związana z hodowlą jest odstraszająca, ale i praktyka. Ileż to razy czytaliśmy o krowach lub koniach trzymanych bez wody i jedzenia, nierzadko na mrozie. Bo szły na ubój. Czy tej niezbędnej czynności nie można tak wykonywać, aby ona o nas źle nie świadczyła?

Są jednak ludzie, którzy kochają zwierzęta i dobrze to o nich świadczy. Winston Churchill — był nieprzeciętnym człowiekiem — miał dwa koty i rozmawiał z nimi. Pewnie radził się ich w ważnych sprawach państwowych, gdy był w czasach drugiej wojny światowej premierem Wielkiej Brytanii. Koty i psy mieli wybitni ludzie różnych epok. Adolf Hitler także i jak głosi legenda, najpierw otruł psa nim zadał śmierć sobie. Ale hitlerowcy tresowali psy przeciw ludziom, których chcieli unicestwić. Na arenach Rzymu lwy rozrywały pierwszych chrześcijan. W krajach islamskich do dziś psy są prześladowane, bo niegdyś pies — w którego widać wcielił się Szatan — ugryzł Mahometa. Dlatego powiedzenie komuś: — *Ty psie!* — nie należy tam do łagodnych przekleństw.

A przecież zwierzęta mogą przynosić również radość i naprawdę być przyjaciółmi. W książce Stanisława Głąbińskiego „Psy, ludzie, zwierzęta" jest opowiadanie o Guciu, który podczas wizyty gestapowców spokojnie siedział na kanapie, choć jego pan był schowany za szafą i dopiero — gdy wyszli gestapowcy — dał panu drapaniem łapą znać, że niebezpieczeństwo minęło.

Natomiast w książce Teodora Goździkiewicza „Buraski, czarnuchy..." jest opowieść o kocie, który przybłąkał się do obozu jenieckiego, został przygarnięty i nazwany Jeniec, choć się później okazało, że była to... kotka. I śmiali się jeńcy: — *Proszę posłuchać, jak to pięknie będzie brzmiało: nasza Jeniec zrobiła siusiu!*

Ludzie książki piszą o przyjaźni człowieka ze zwierzętami, bo chcą, aby inni ludzie też byli ludźmi.

WITOLD BOROWY

1 Pod prąd

Marzyciel

Kazinek, siostrzeniec mojej żony — pamiętacie, ten, który w pewnym małym miasteczku, typowej „dziurze zabitej dechami" jest naczelnikiem urzędu pocztowo-telekomunikacyjnego — od dawna już bardzo chce do Łodzi.

— Wujku — mówi, gdy się spotkamy — u was to jest prawdziwe życie: ruch, gwar, dużo sklepów, restauracji, kina, teatry... A u nas co? Dwie ponure knajpy, trzy sklepy i pięć ulic na krzyż. Nawet parku nie ma, żeby kulturalnie z panienką jaką umówić się na randkę. No i gdzie by się człowiek nie ruszył, co by nie zrobił — wszyscy zaraz o tym wiedzą. A wścibscy są tacy, że gotowi nawet zajrzeć człowiekowi pod kołdrę. Ech, nie ma to jak w Łodzi.

— Istotnie — przyznałem — coś w tym jest. — I przez chwilę poczułem brzydko oraz egoistycznie swą wyższość nad biednym (ale nie w finansowym znaczeniu tego słowa) zakompleksionym Kazinkiem. Szybko jednak to poczucie wyższości ustąpiło miejsca refleksji, że wszystko to nie jest wcale tak proste, jak się Kazinkowi wydaje. Bo co z tego na przykład, że w dużym mieście są lokale, przybytki muz, liczne placówki handlowe prywatne i uspołecznione, skoro ja nie byłem w teatrze już od trzech lat, jeśli dobrze pamiętam, w kinie — od najmniej pół roku, a na obiad czy kolację w lepszej restauracji ostatnio mnie po prostu nie stać, gdyż pracuję na państwowej posadzie, na handel do Jugosławii czy Grecji nie jeżdżę, a jeszcze muszę pomagać synowi gdyż jako młody inżynier z perspektywami ledwo wiąże koniec z końcem.

Pomyślałem też, że Kazinek jako naczelnik poczty jest przecież u siebie kimś, zaś w Łodzi, czy Warszawie byłby na tym stanowisku nikim. Wiejskim dziewczynom na wydaniu, które w poszukiwaniu szczęścia i lepszego, łatwiejszego życia decydują się na przeniesienie do dużego miasta, śnią się po nocach Bóg wie jakie luksusy i wielki świat. Uciekając przed dojeniem krów i wiązaniem snopków, trafiają jednak zazwyczaj do jakiejś tkalni lub przędzalni, gdzie w kurzu i duchocie zamiast wiązać snopki wiążą nitki. Mieszkają w hotelach robotniczych, jedzą w tanich barach albo stołówkach, łatwo dają się podrywać, myląc seks z miłością, wychodzą za mąż —nierzadko na siłę, a potem rodzą dzieci, obrywają co wieczór od męża-alkoholika, rozwodzą się i płaczą nad swoim losem. Tak było pięćdziesiąt lat temu, po wojnie, tak jest teraz i będzie dopóty, dopóki ogólny poziom życia w mieście i na wsi nie zbliżą się do siebie.

Na pewno życie wiejskie, czy w małym miasteczku nie jest usłane samymi różami, ale tym bardziej nie jest też — w wielkiej aglomeracji. I tam i tu występują trudności — tyle, że różne. Prowincjonalną młodzież męczy, denerwuje jawność każdego ich kroku, to, że wszyscy wszystkich znają i wszystko lub prawie wszystko o sobie wiedzą. Bo jest to pewien rodzaj społecznej kontroli.

Współczesne społeczności wielkomiejskie coraz bardziej z kolei stają się anonimowe. W wieloklatkowych mrówkowcach ludzie często nie poznają nawet swoich sąsiadów, przez ulice przewala się bezimienny tłum, a w zapchanym kinie, czy gwarnej kawiarni wiele osób czuje się bardziej samotnie niż w lesie lub na pustyni. Szerzy się alkoholizm, narkomania, różne dewiacje psychiczne, a przede wszystkim — obojętność i bezduszność. Bywa iż do tego stopnia, że człowiek zasłabnie na ulicy i umiera, bo choć mijają go setki ludzi, nikogo to nie interesuje, nikt nie poczuwa się do obowiązku udzielenia mu pierwszej pomocy. Dlaczego właśnie ja — myślą — niech zajmą się tym inni. I pędzą dalej, odwracając głowy.

— Przesadza wujek, to są skrajne przypadki — powiedział Kazinek, gdy starałem się mu to wytłumaczyć. — A mnie chodzi o codzienne sprawy, o takie normalne życie.

— Dobrze — odparłem po namyśle. — Pomówmy zatem o „normalnym życiu". Widzisz, ja chciałbym na przykład robić zakupy w małym sklepiku, w którym znałbym ekspedientki i im byłbym dobrze znany. Chciałbym móc zapytać je o zdrowie, samopoczucie, móc powiedzieć, że ładnie dziś wyglądają. Założę się o tabliczkę czekolady, że byłbym wtedy lepiej obsługiwany, a i one nie czułyby się może tak bardzo zmęczone.

— Chciałbym choć raz na miesiąc zamienić z listonoszem parę słów o znaczkach pocztowych, które zbieram, albo o jego córeczce, idącej właśnie do pierwszej klasy. Chciałbym od czasu do czasu wyskoczyć do pobliskiej kawiarni lub piwiarni, gdzie barman przywitałby mnie słowami: „Przykro mi panie Józefie, ale pańskie miejsce pod oknem jest, niestety zajęte. Myślę jednak, że przemęczy się pan jakoś dzisiaj przy drzwiach. Zaraz podam kawę ze śmietanką — taką, jak pan lubi". A ja odpowiedziałbym mu z uśmiechem, że nie ma sprawy, bo właśnie się śpieszę, zaś do kawy poproszę jeszcze ciastko.

— Chciałbym, aby sąsiad-hydraulik przyszedł kiedyś do mnie i poprosił o pomoc w napisaniu podania do bardzo ważnego urzędu i miał dla mnie zawsze trochę czasu, kiedy zacznie mi przeciekać kran. Chciałbym wiedzieć, jak nazywa się mój dzielnicowy, mieć zapisany w notatniku numer telefonu do radnego i żeby jeden i ten sam lekarz leczył od wielu lat całą moją rodzinę. Myślę, że gdyby tylko te marzenia mogły się spełnić, z większym apetytem jadłbym bułkę z pasztetową, spokojniej czekał siódmy rok na asygnatę na samochód, a może nawet — rzadziej kłóciłbym się z żoną.

— To z wujka też marzyciel — zauważył Kazinek.

— A coś ty myślał? — potwierdziłem i dodałem: — Jak widać, marzyciel niepoprawny.

JÓZEF RETMAN

2 Lewym okiem

Dzieci bez łyżew

Trzeba przyznać, że dzieci do lat — powiedzmy — ośmiu czy dziewięciu mają u nas mnóstwo sposobności i możliwości zabawy. Nie tylko w żłobkach i przedszkolach wyposażonych przeważnie w dużą ilość zabawek i wszelkiego uciesznego sprzętu, ale również w każdym niemal parku, na każdym skwerku, na zieleńcach pomiędzy blokami stoją karuzele, huśtawki, zjeżdżalnie — można używać do woli. Co prawda sprzęt ten jest przeważnie w stanie opłakanym, karuzele połamane, zjeżdżalnie nie nadające się do użytku, ale to już osobny temat. Tu chciałbym dzisiaj zwrócić uwagę na fakt, że dzieciak kończy wreszcie tych swoich osiem czy dziesięć lat i to kończy przeważnie niezmiernie szybko. I nagle wszystkie te możliwości, przyjemnego a nawet radosnego spędzenia czasu niezmiernie się kurczą.

Jest harcerstwo, ale ono angażuje młodego obywatela w niektórych tylko dniach i godzinach tygodnia. Do klubów sportowych uczęszczają już tylko bardzo zainteresowani kulturą fizyczną młodzi adepci. Przede wszystkim jednak taki młody czy młodziutki człowiek może liczyć na świetlicę i dom kultury. Bardzo dobrze jeśli taki dom kultury i świetlica są w zasięgu poruszania się takiego młodzika, bardzo dobrze jeśli są prowadzone na odpowiednim poziomie i odpowiednio wyposażone. Jeśli są tam kółka zainteresowań, jakaś szkoła gry na gitarze, jakaś nauka tańca, kółko majsterkowiczów, modelarzy — to bardzo dobrze. Jeszcze lepiej jeżeli przy takim domu kultury jest boisko do siatkówki, dwa czy trzy takie boiska. Chciałbym tu powiedzieć, że siatkówka była jedną z fascynacji moich młodych lat. Latem siatkówka, zimą — łyżwy. Na każdym większym warszawskim podwórku, wszędzie, gdzie pozwalały na to warunki urządzano na zimę ślizgawkę. Jakże tu niewiele potrzeba: prywatny przedsiębiorca usypywał dokoła wyrównanego placu wały ziemne, niewielkie, bo przecież nie potrzeba tutaj metrowych nasypów, polewał ogrodzony w ten sposób plac wodą i w dni mroźne była ślizgawka, grała muzyka z płyt, niewielki baraczek stanowił szatnię i ogrzewalnię jeżeli zmarzły uszy. Kupowało się za kilka złotych tzw. sezonówkę upoważniającą do wstępu w każdy mroźny dzień, a niezależnie od tego oczywiście można było kupić zawsze jednorazowy bilet. Dzieciaki miały używanie.

Łyżwy to był naprawdę masowy sport warszawskich dzieci. W Łodzi nie było tego odkąd pamiętam tzn. od 46 roku i nie ma do dziś. Lodowisko w Hali Sportowej jest przeznaczone wyłącznie dla elitarnej grupy dzieci i młodzieży, wszyscy są tam skazani na godzinowy rozkład zajęć, nie ma mowy o jakiejś zabawie bardziej spontanicznej, ot wtedy, kiedy przyjdzie ochota na pobieganie, pokręcenie się z rówieśnikami.

Siatkówki nie ma wcale, tu potrzeba jeszcze mniej, tutaj potrzebny jest tylko niewielki, wyrównany plac, dwa wbite drągi, no i siatka, siatka trochę kosztuje, piłka też. Ktoś musiałby się tą siatką opiekować, inaczej, po paru dniach stanie się obwisłym, do niczego nieprzydatnym flakiem. Siatkówka to jest naprawdę wspaniała zabawa. Tego nigdzie teraz nie widzę. Jeśli do tego dodamy smętny fakt, że zbudowane tu i ówdzie wielkim nakładem kosztów baseny kąpielowe stoją latami nieczynne, zrujnowane, zdewastowane — to naprawdę nie można się dziwić że z naszych dzieci wyrasta potem młodzież z wadami postawy i kręgosłupa unikająca jakiegokolwiek wysiłku fizycznego, ospała, marząca tylko o samochodzie no i o telewizorze lepszym niż tamten z dzieciństwa. O telewizorze kolorowym, stereofonicznym, zaopatrzonym w przystawkę wideo, we wszystkie cuda techniki. Będą potem wstawać od tego telewizora po to, żeby siąść w samochodzie i wysiadać z samochodu po to, żeby siąść przed telewizorem i naciskać kolejne guziki. Tak żyje przecież dzisiaj znaczna część naszego społeczeństwa.

ĆWIEK

3

Słońce jest zamieszkałe!

Przesądy są uparte, żyją niezmiernie długo, także głupstwa przebierające się w szaty naukowości, operujące żargonem naukowym, używające pozornie naukowych argumentów. W Anglii jeszcze po drugiej wojnie światowej istniało stowarzyszenie ludzi, którzy nie wierzyli, że ziemia jest okrągła. Używali wszelkich zdawałoby się słusznych dowodów na to, że przecież z okrągłej kulistej ziemi wylałyby się wszystkie morza, że ludzie nie mogą chodzić głową w dół. Być może zresztą, że było to stowarzyszenie kpiarzy, ludzi bawiących się w przedrzeźnianie uczonych, nie zawsze zrozumiałych rozpraw. Bywają jednak maniacy, którzy wierzą w to, co mówią i poważnie głoszą poglądy absolutnie niezgodne z naukowym patrzeniem na świat. Tak na przykład w pierwszych latach po wojnie w Krakowie ukazała się broszura niejakiego J. Szalagana pod tytułem „Energetyczne ujęcie sztuki", której autor dowodził istnienia na świecie całej sieci rzek elektrycznych, strumieni pełnych przedziwnych prądów podziemnych, wiązał jakoś z tymi rzekami i z tymi prądami nawet nazwy geograficzne, charakter żyjących na ziemi narodów, zdarzenia, wyciągał jakieś wnioski na przyszłość. Cała ta broszura jest jedną wielką bzdurą, ale jej autor uważał się za odkrywcę nieznanych nikomu zjawisk.

W roku 1930 w Wilnie wystąpił nieznany bliżej Adam Habdank z odczytem pt. „Słońce nie jest ogniskiem a planetą zimną zamieszkałą", w którym głosił, że cała oficjalnie uznawana wiedza o słońcu jest bałamutna, że trzeba na słońce patrzeć zupełnie inaczej.

Oto duży fragment tych wywodów datowanych: październik 1930 roku.

„Dowodzą uczeni dawniejsi i współcześni, że słońce jest ognistą planetą, o bardzo wysokiej temperaturze, na której nawet kamienie, to jest minerale i metale są tym gorącem rozpławiane w glazy. Że słońce odległe jest od ziemi na zawrotnie dalekiej przestrzeni i że gorącem tej ognistej planety, ogrzewa się nie tylko ziemia nasza ale i inne światy.

Mój Boże! jaki w tych wywodach jest nonsens i absurd. Przedmiot oddalony na miliony kilometrów ma ogrzewać swym ciepłem, palącym w w nim, światy oddalone w zawrotnej odległości od niego! Jakiej ilości potrzeba by palnego materiału, ile siły i zużycia energii cieplnej na tysiące tysięcy lat tego ogrzewania i roztaczania ciepła wokoło.

Nie, panowie uczeni! Tak gorącej planety stwórca dotąd jeszcze nie stworzył, bo nie miał w tym potrzeby i celu! Słońce nasze jest zwykłą planetą zimną, zamieszkałą przez istoty żywe, a nie gorącą, rozżarzoną planetą. Jest to pewnikiem, który opieram na tym: każde ognisko, przedmiot gorący, roztacza gorąco wokoło siebie i prawem natury jest, że im bliżej zbliżamy się do ogniska, tym w większej mierze odczuwamy jego ciepło, jego gorąco. Ze słońcem zaś dzieje się wręcz odwrotnie.

Gdyby słońce było rozżarzonym ogniskiem, to by ziemia nasza ni ostać się, ni egzystować nie mogła, bo przedmiot gorący, rozżarzony wchłonąłby wszystką wilgoć ziemi naszej, potrzebną dla jej egzystencji, a wszystkie oceany, morza i rzeki ziemskie, w stosunkowo bardzo krótkim czasie, pomknęłyby do gorącego słońca, do ogniska, siłą natury, siłą wchłaniania przez ogień wilgoci.

Nie mielibyśmy żadnej chmurki nad ziemią, nie spadłaby na nią żadna kropla deszczu, bo nie mogłoby być skraplania się pary w górnych, ciepłych strefach powietrza; nie oglądalibyśmy i nie słyszelibyśmy nigdy błyskawic grzmotu, bo nie byłoby materiału ponad ziemią do wytwarzania się piorunów. Tymczasem nad ziemią dzieje się inaczej. Im się dalej oddalamy od ziemi i przybliżamy w kierunku słońca, to już nawet na przestrzeni kilku kilometrów wzwyż, czujemy mniej ciepła, chociaż blask jego się nie zmniejsza a stopniowo się potęguje. Dostrzegamy chłód na górach wysokich ziemi naszej, odczuwamy zimno podróżując samolotem w górnych strefach powietrza, widzimy to w obłokach pierzastych, najwyższych ponad ziemią, a które są śniegowe, zamrożone i ciepło słońca tutaj ich nie grzeje, nie roztapia.

Nie, panowie uczeni! Słońce ogrzewa ziemię naszą nie swym ciepłem, którego w sobie nie ma wcale lecz swym osobliwym blaskiem, swą świecącą jasną powłoką. Słońce nasze to świętojański robaczek (porównanie), zupełnie nie mający gorąca w sobie, lecz szatą swoją, powłoką świecącą, uwidaczniający się nam z daleka. Otóż ta życiodajna dla ziemi naszej planeta, mająca tę połyskującą, widzialną dla naszego ludzkiego oka, świecącą masę na sobie, masą koloru złocisto czerwonego, przy promieniowaniu tej masy i przy zetknięciu się tych świecących promieni ze składnikami ziemi naszej, powietrza naszego, wytwarza ciepło, gorąco, dla tejże ziemi i li tylko dla ziemi a nie dla powietrza, bo ciepłe powietrze powstaje już od nagrzanej ziemi a nie bezpośrednio od słońca.

Pojmuję, że te rozumowania moje w dobie obecnej, przez wielu będą lekko i z uśmiechem przyjęte, wielu policzy je za fantazję i brednie, mimo to wierzę, że przyjdzie czas, że świat cały, jak długi i szeroki uzna słuszność mych twierdzeń, szczególnie w stosunku do słońca, a wielki już jest czas usilnie popracować w tym kierunku, bo ludzkość nie jest młodą na ziemi, więc czas jest zaprzestać wierzyć i nauczać, że słońce jest ogniskiem gorącym i żarzącą się planetą".

Czegoż to ludzie nie potrafią wymyślić?

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

Adam Ochocki wspomina co było pół wieku temu

12

Przed sędzią śledczym

Szarpnięto mnie za ramię.

— Podymajsa, uże utro...

Zobaczyłem pochyloną nad sobą sępią, ascetyczną twarz. Rozbiegane oczki, jak u myszy schwytanej w potrzask, wpatrywały się we mnie z ciekawością.

— Za czto?

— Sam nie wiem... Zwinęli mnie na bazarze, handlowałem olejem...

— Niet, zdies' za eto nie sażajut... Zdies' woot — przeciągnął sobie palcem po szyi.

Nie powiem, żebym poczuł się podbudowany tą informacją.

Rozejrzałem się po celi. Każdy więzień, przekroczywszy próg zamknięcia, najpierw kieruje wzrok ku oknu, za którym pulsuje życiem wolny świat. Może i on tam wkrótce... Do rzeczywistości przywołuje go krata. A za tą naszą, masywną, z zewnętrznej strony okna zwieszała się jeszcze jedna zapora: żaluzja z ukośnie ułożonych deszczułek. Przepuszczała światło dzienne, ale nic nie było przez nią widać. Tylko turkot przejeżdżających samochodów świadczył o tym, że okno wychodzi na gwarną ulicę.

Te fikuśne żaluzje zainstalowano w więzieniach w latach dwudziestych według pomysłu Jeżowa, może Jagody, ówczesnych komandirów GPU, naczelnego organu radzieckich władz bezpieczeństwa.

Trzy prycze oprócz mojej. Więźniowie byli już na nogach. Snuli się z kąta w kąt, nie odrywając oczu od drzwi. Czekali na klawisza i chleb.

Zgrzytnął klucz w zamku. Stanęliśmy jeden przy drugim, w przepisowej pozycji na baczność. Klawisz popatrzył na nas obojętnie, na mnie przez moment zatrzymał wzrok. Wiadomo, nowy. Odgarnął pierwszy z brzegu siennik, by sprawdzić, czy nie ma pod nim czegoś niedozwolonego, i wyszedł.

Odsunęła się klapa w drzwiach. Ustawiliśmy się gęsiego po chleb i zbożową, niesłodzoną kawę.

Ten z sępią twarzą, jak się od razu domyśliłem, starszy celi, jeszcze przed wejściem klawisza wtajemniczył mnie w przepisy porządkowe.

— To areszt śledczy o zaostrzonym rygorze. Żadnych widzeń, spacerów, ani paczek. W ciągu dnia nie wolno kłaść się na pryczy. Strażnik co chwila zagląda przez judasza. Za byle co sadzają do ciemnicy. Miej się na baczności. Rozmowy tylko półgłosem...

Starosta nie mógł ustać na miejscu. Po śniadaniu, które jak jego koledzy zjadł klęcząc przy swojej pryczy, żeby nie uronić ani kruszynki chleba, ruszył do porannego spaceru. Drobiącym, szybkim krokiem, jakby go ktoś poganiał, przemierzał celę wzdłuż i wszerz. Przypomniał mi się stary kawał: myślisz, że jak tak będziesz chodził, to nie będziesz siedział?

Nie wdawałem się w rozmowy, nie pytałem kto za co. Jeszcze pomyślą, że kapusia im nasłali. Siedziałem osowiały, tępym wzrokiem wodziłem po ścianach pogrążony w ponurych rozmyślaniach. Co porabia Ludmiła i Helenka? Kto im pomoże? Na Janka nie można specjalnie liczyć, co on tam zarabia. Alojzy też siedzi, może w celi obok. Pani Helena! Ona na pewno zaopiekuje się Helenką. Taka była dla niej dobra serdeczna...

— Wyniesiesz dzisiaj paraszę. Lejemy do niej, a za większą potrzebą wyprowadzają parami dwa razy dziennie. Potem strażnik nie wypuści...

Nie przestawałem myśleć o Zygmuncie. Swołocz! Jak on mógł? „Ja też byłem chalucem w organizacji syjonistycznej... Nie powinieneś mieć przede mną tajemnic..." Co za ironia losu! Siedzimy oddzieleni od siebie tylko tym murem. Tak, ale on na wolności, a ja w pierdlu.

Kiedy wezwą mnie na przesłuchanie? Wyznam wszystko, jak na spowiedzi, to najlepsza forma obrony. Przecież nic poza tym nieszczęsnym olejem nie mam na sumieniu!

Mijały bliźniaczo do siebie podobne dni. Bezbarwne, szare, ponure. Ogarnęła mnie apatia. Godzinami mogłem siedzieć bez ruchu nie odzywając się ani słowem. Wyrwałem włos z mego kożucha. Ile zawiążę na nim węzełków, tyle uratuję istnień ludzkich. Ludmiła, Helenka, ojciec, Celinka, Maniusia, Sabinka, Lutek, Marysia... I od początku Helenka, ojciec...

Współlokatorzy celi nie zwracali na mnie uwagi. Włosy z kożucha były długie, elastyczne, nie pękały. Natomiast pękł mi bębenek w ostatnim zdrowym uchu. Zatkałem palcami dziurki w nosie, nadąłem się, usłyszałem krótki trzask — i grobowa cisza. No to koniec, ogłuchłem całkiem, bo na prawe ucho nie słyszę od dziecka po dwukrotnej trepanacji czaszki.

W ambulatorium wpuścili mi jakieś krople. Bębenek zrastał się powoli. Przez tydzień, dwa, porozumiewałem się z współtowarzyszami celi na migi.

Z niecierpliwością oczekiwałem wieczoru. Gdy zgaśnie światło zawieszonej u sufitu żarówki, znowu można będzie przez kilka godzin zapomnieć o wszystkim...

— Ej, ty! Nu-ka, sobirajca na dopros! — strażnik potrząsał mną od kilku chwil.

Było już chyba po północy. Konwojent wyprowadził mnie na podwórze. Stała tam kryta ciężarówka, więzienna suka, do przewożenia aresztantów. Pudło samochodu podzielone było na tak wąskie klatki, że uniemożliwiały one jakikolwiek ruch. Uliczna kabina telefoniczna jest trzy razy obszerniejsza. Mogłem stać i to tylko w wyprostowanej pozycji. Klatkę zamykały wykonane z dźwiękochłonnego materiału ścianki, od podłogi do sufitu.

Samochód wjechał na dziedziniec obszernego gmachu. Mój anioł stróż poprowadził mnie przez labirynt korytarzy, korytarzyków, pięter. W pewnej chwili na widok swego kolegi, prowadzącego z przeciwnej strony aresztanta, skomenderował:

— Twarzą do ściany!

„Chyba nie strzeli mi w łeb? — pomyślałem. — Nie po to zostałem tu doprowadzony. Boi się, żebym nie dał tamtemu jakiegoś znaku porozumiewawczego..."

Śledowatiel, sędzia śledczy, wskazał mi taboret, stojący w bezpiecznej odległości od jego biurka. Po wstępnych pytaniach: rok, miejsce urodzenia, pochodzenie socjalne, stan rodzinny — przystąpił do sedna sprawy.

— Rasskażitie, etot wasz Alojzy pieriedawał wam chlebnyje kartoczki?

— Tak, kilka razy.

— Coście z nimi robili?

— Wykupywałem chleb, głodowaliśmy.

— Opowiedzcie szczegółowo, jak znaleźliście się na ziemi radzieckiej i czym się kolejno zajmowaliście.

Zrelacjonowałem moją ucieczkę ze Stefanem przez Małkinię, Zaręby Kościelne, Kowel, do Lwowa. Jak ze Lwowa trafiłem do obozu pracy przymusowej w Rybińsku, jak po amnestii przedostałem się do Azji, gdzie przeżyłem trzy lata, i wreszcie o naszej wyprawie do Uljanowska.

— Czemu nie wspomnieliście, jak was Niemcy prześladowali w Łodzi?

Skąd on o tym wie? Tylko pani Helenie powiedziałem, że mnie bili i zmuszali do mycia samochodów...

— To ona też?! — wyrwało mi się.

— Jaka ona i co „też"? — podchwycił śledowatiel.

— Madame Korab. To, że znalazłem się tutaj mogę w dużej mierze zawdzięczać Zygmuntowi Sz. Prowokator! Chciał, żebym się przyznał do przynależności w organizacji syjonistycznej. Nie zajmowałem się nigdy polityką, ani w Polsce, ani u was. Możecie sprawdzić, Łódź od kilku miesięcy jest wolna. A ta Korab też maczała palce w tej sprawie. Tylko jej wspomniałem o tej historii z Niemcami!

— I co? Tak bez niczego was wypuścili? Coście podpisali w zamian za wolność?

— Nic nie podpisywałem! Nie byłem więziony, kazali mi codziennie zgłaszać się do roboty. Znali mój domowy adres.

— Chcecie, żebym w to uwierzył? Za dobrze znamy metody hitlerowców... Czy otrzymywaliście jakieś listy w Tadżykistanie?

— Tak. Żona korespondowała ze swym odnalezionym bratem. On mieszka i pracuje w Uljanowsku. Ściągnął nas tutaj.

— A co pisał do was Jan Kwapiński?

Tu dokumentnie mnie zatkało. Kwapiński? Był przed wojną prezydentem Łodzi, nie znaliśmy się osobiście. Wiedziałem z przecieków do naszej placówki w Stalinabadzie, że jest wrogo usposobiony do Związku Radzieckiego, że działa w polskim rządzie emigracyjnym w Londynie. Więc skąd to podejrzenie o kontakt z nim? Nagle olśniła mnie myśl: to też robota tej farbowanej lisicy! Dopuściła się więcej niż prowokacji, zmieniając nazwisko autora listu do mnie. Jej — i tylko jej — podałem nazwisko nadawcy — Kazimierza Witaszewskiego, a ona, żeby mnie pogrążyć, wymieniła Kwapińskiego! Nie miałem już żadnych wątpliwości: Korabowa donosiła. Skąd u niej to luksusowe, jak na wojenne warunki, mieszkanie? Skąd czerpała środki na życie? Przecież nigdzie zarobkowo o f i c j a l n i e nie pracowała?

— Panie sędzio, z całą stanowczością oświadczam: nigdy nie korespondowałem z Kwapińskim. List napisał do mnie Witaszewski, znany przed wojną działacz związkowy, prześladowany przez sanację za lewicowe poglądy. Łatwo się z nim skontaktować. Jeśli nie ma go już w Moskwie, w Związku Patriotów Polskich, przebywa na pewno w Łodzi. A co do pani Korab powiem tylko tyle: szanuję ludzi, którzy z obowiązku walczą z wrogami wewnętrznymi, ale gardzę szpiclami, donosicielami i prowokatorami!

Śledowatiel świdrował mnie wzrokiem. Od czasu do czasu zaglądał do swych notatek, robił nowe. Myślałem, że moje argumenty trafiły mu do przekonania, że zaraz...

— Rasskażitie podrobno, kak wy zanimalis' diejatielnostiej protiw Sowietskowo Sojuza?

To krzywdzący mnie zarzut, panie sędzio! Moja cała działalność od chwili znalezienia się na ziemi radzieckiej sprowadzała się do ciężkiej walki o przetrwanie. Nie uprawiałem żadnej działalności politycznej!

— A kak wy ochaiwali żizn' u nas?

— Chociaż ciężko mi było czasami, nie narzekałem i nie ośmieszałem waszej rzeczywistości, o co mnie pan sędzia obwinia. Mimo represji, jakich niesłusznie doznałem w Rybińsku i tutaj, nie żywię do was wrogich uczuć. Przeciwnie, mogę być wam wdzięczny, bo dzięki wam cało uniosłem głowę. We Lwowie aresztowano mnie przypadkowo przez zbieżność nazwisk z mymi kuzynami. Oni zarejestrowali się na powrót do Polski, ja na pozostanie. Ale gdybym nie został wtedy zgarnięty, to Niemcy po zajęciu Lwowa mnie pierwszego by rozwalili ze względu na moje pochodzenie!

— Zakuritie? — wyjął papierosa i położył go na brzegu biurka, cofając się z krzesełkiem.

— Spasibo! Zakuru.

— Powiedzcie, dlaczego w wędrówce przez Związek Radziecki oparliście się aż o samą granicę? Tadżykistan sąsiaduje z Afganistanem...

— Chyba nie podejrzewa mnie pan sędzia, że miałem zamiar sforsować Pamir? To nawet w normalnych warunkach nieosiągalny wyczyn dla doświadczonego alpinisty.

Spojrzał na zegarek.

— Na siewodnia chwatit. Skoro opiat' uwidimsa!

Starszy celi zasypał mnie pytaniami. Jak było? O co pytali? Wykręcałem się jak piskorz, dając wymijające odpowiedzi. Upierałem się przy wersji z tym nieszczęsnym olejem, chociaż w czasie przesłuchania sędzia śledczy słówkiem o tym nie wspomniał.

— Jak wygląda ten śledowatiel? Jaki ma stopień?

— Kapitan. Zażywny, przystojny, blondyn.

— To twój rodak, Polak z pochodzenia. Starszy śledowatiel, jego familija Butowskij.

W pierwszym momencie obradowałem się. Co rodak, to rodak! Ale... jakie to ma znaczenie? Polak, nie Polak, o żadnym sentymencie nie ma mowy. Oficer NKGB nie okaże względów podejrzanemu o tak poważne przestępstwa, jak współpraca z Niemcami, korespondencja z wrogiem, ośmieszanie życia w Związku Radzieckim, manipulacje kartkami.

Śledowatiel... Przed wojną w Polsce też była taka funkcja w aparacie ścigania. Wyniki przeprowadzonego przez policję dochodzenia trafiały nie jak dziś do prokuratora, lecz do sędziego śledczego, który nadawał sprawie dalszy bieg. Nieraz miałem do czynienia z sędziami śledczymi. Jednego pamiętam doskonale. Gdy chodziłem do gimnazjum Brauna przy ul. Narutowicza, Alfred Braun, brat, może bratanek właściciela mojej budy, uczył nas łaciny. Potem zmienił zawód. Wykorzystałem tę znajomość jako reporter. Mój były nauczyciel, rewanżując się za postępy swego ucznia w nauce, bo z łaciny zawsze byłem mocny, podrzucał mi od czasu do czasu jakieś ciekawostki...

Po dwóch tygodniach znowu w nocy zajechała po mnie więzienna suka. Człowiek wyrwany z głębokiego snu mniej jest odporny na podchwytliwe pytania, nie potrafi precyzyjnie skonstruować odpowiedzi, łatwiej może się załamać. Ale ja trzymałem się dzielnie, nie miałem absolutnie nic do ukrywania i to był mój największy atut.

— Dlaczego wybraliście sobie na miejsce zamieszkania w Uljanowsku tę osamotnioną, położoną z dala od siedzib ludzkich chatkę? — brzmiało powitalne pytanie śledowatiela.

— To była skrajna ostateczność. Bezskutecznie poszukiwałem jakiegoś przyzwoitego kąta dla siebie, żony i dziecka.

— Odwiedzali was w tym domku Polacy?

— Odwiedzali.

— Coście robili? O czym rozmawialiście?

— O wszystkim i o niczym. Dużo o Polsce, o perspektywach powrotu do ojczyzny.

— No, no! Właśnie. I coście im mówili na ten temat?

— Że nasz powrót do Polski uzależniony jest od dwóch rzeczy: zwycięskiego zakończenia wojny i wyrażenia zgody przez władze radzieckie.

— Taaak... Śpiewaliście piosenki?

— Owszem.

— Jakie?

Dobra jest jeszcze jedna okazja popisania się repertuarem Lopka Krukowskiego, którego piosenkami najczęściej raczyłem moich słuchaczy.

I w pokoju starszego śledowatiela Butowskiego, w pokoju, którego ściany nieraz były świadkami dramatycznych rozmów i scen, rozbrzmiał, zaśpiewany przeze mnie sznaos-barytonem, kuplet:

Jak się nie ma, co się lubi,
to się lubi, co się ma,
tę zasadę zawsze kładę,
co się tyczy moje ja.
Może w gruncie rzeczy wolę...

— Gretę Garbo, Negri Polę, ale biorę o tę porę nawet to, co Malcia da! — dokończył ku memu bezgranicznemu zdumieniu sędzia śledczy.

Skąd on zna słowa tej piosenki? Z całą pewnością nie słyszał jej w warszawskim kabarecie. Stanowisko, jakie zajmuje, wyklucza możliwość, iż przybył do Związku Radzieckiego w tym czasie co my. To starsza generacja, na pewno od najmłodszych lat przebywa w ZSRR, może się tu urodził. Więc skąd? Raptem przypomniał mi się młody facet, który ni stąd ni zowąd zjawił się w naszej chatce na Zawołżu i ponad godzinę zmitrężył na poprawianiu działających bez zarzutu przewodów elektrycznych...

— Bezbłędnie pan sędzia dokończył zwrotkę tej piosenki. I z właściwym, polskim akcentem — powiedziałem z uznaniem.

Do pokoju wszedł pułkownik. Piękny, galowy mundur poza dystynkcjami zdobiły medale i inne odznaczenia. Śledowatiel wyprężył się na baczność i zameldował służbowo kto i za co jest przesłuchiwany.

— Wstańcie! — zagrzmiał obracając się w moją stronę. — Nie widzicie kto przed wami stoi? To pułkownik!

— Owszem — odparłem, nie kwapiąc się do zmieniania pozycji — ale to wasz pułkownik, panie kapitanie, więc chyba nie mam obowiązku oddawania mu honorów. Zresztą nie jestem wojskowym, kategoria „E"...

Oblicze śledowatiela spurpurowiało, a pułkownik machnął pobłażliwie ręką.

— Siditie, siditie...

— To obojętne, czy pan pułkownik każe mi siedzieć czy wstać, i tak będę siedział — wypaliłem.

Pułkownik wybuchnął śmiechem. Śledowatiel, widząc reakcję przełożonego, też rozchylił usta w uśmiechu.

— To dla was — powiedział pułkownik, zwracając się do mnie i położył na biurku nierozpieczętowaną paczkę „Biełomorów". — Wyrażacie zgodę, towarzyszu kapitanie?

— Da!

I dał. Nawet ognia mi użyczył. Po czym zasypał mnie gradem pytań. Obracały się wokół tych samych spraw: ja i Niemcy, ja i Alojzy, ja i kartki na chleb, a na zakończenie jak bumerang pytanie:

— A tiepier skażitie, kak wy zanimalis' diejatielnostoj protiw Sowietskowo Sojuza?

— ale ton już nie był taki surowy jak uprzednio. A może mi się tylko wydawało?

Cela — dopros. Dopros — cela. Śledztwo przedłużało się w nieskończoność. Ile razy wyrywano mnie już ze snu na przesłuchanie? Nie powiem, żeby te nocne wizyty u sędziego śledczego specjalnie mnie męczyły. Przeciwnie, jakbym do nich tęsknił. Jakieś urozmaicenie w monotonnym przebywaniu w zamknięciu, gdzie każdy kolejny dzień bliźniaczo jest podobny do poprzedniego. Wizyta klawisza, fasowanie chleba, posiłek obiadowy...

Gdy roznoszono po korytarzu zupę, jeden z naszych, zawsze ten sam, przylepiał się uchem do drzwi i pilnie nadsłuchiwał, uciszając nas gestem ręki. Po odgłosie zanurzanej w pojemniku chochli nieomylnie odgadywał jaką zupą nas nakarmią — gęstą czy wodnistą.

— Siewodnia gałuszki... — oznajmiał z nabożeństwem.

I rzeczywiście w zupie pływały sytne kluski. A gdy plusk nie wypadał po jego myśli, krzywił się:

— Bałanda, idit ich mat'...

Rano, po obudzeniu się, więźniowie tradycyjnie opowiadali sobie co się komu śniło i w związku z tym kolegialnie stawiano horoskopy: to dobrze, a to zły znak.

Nie znoszę tego zwyczaju. Kiedy znajomy zwierza mi się z przejęciem jakie to przeżywał we śnie przygody, odpowiadam nieodmiennie:

— Nie wierzę. Masz na to świadków?

Ale tego ranka zrobiłem wyjątek. Zanim ktoś zdążył otworzyć usta, zawołałem podekscytowany:

— Wiecie, co mi się śniło? Skrzynie pełne mydła! Co wy na to?

— Mydło? — starszy celi aż przysiadł z wrażenia. — To znaczy, że się wybielisz, niedługo wyjdziesz na wolność!

— Tak samo tłumaczę sobie ten sen. Tych skrzynek z mydłem było może dziesięć!

Tego samego dnia wezwano mnie na przesłuchanie. Ale już nie wśród głuchej nocy, zaraz po obiedzie.

Śledowatiel był jakby inny niż zazwyczaj. Głęboka zmarszczka spłynęła mu z czoła. W kącikach ust błąkał się uśmiech.

— Siadajcie. Podpiszcie... — podsunął mi jakiś papier.

— Pan pozwoli, panie sędzio, że najpierw zapoznam się z treścią.

Rzut oka na pierwsze linijki — i fala radości zalała mi serce! Nie powtórzę po tylu latach dokładnie, co tam było napisane, poszczególne słowa skakały mi przed oczyma, ale z treści dokumentu wynikało niezbicie, że nie potwierdziły się w śledztwie postawione mi zarzuty o współpracy z Niemcami, o wrogą działalność przeciwko Związkowi Radzieckiemu, o ośmieszanie i zohydzanie życia w ZSRR, wobec czego zarzuty te, objęte artykułem, paragrafami... anuluje się. Jestem obwiniony jedynie o nielegalne wejście w posiadanie kartek na chleb i za te machinacje odpowiem przed sądem z takiego, a takiego artykułu.

Uffff! Złożyłem zamaszysty podpis.

— Jaki wyrok mi grozi, panie sędzio?

— To zależy od sądu. Myślę, że już niedługo znajdziecie się w domu.

Jak bardzo chciałem go uściskać! Taka nowina! Kartki chlebowe? To drobiazg, ile ich było? Nie handlowałem nimi, nie spekulowałem, wykupiony chleb zjedliśmy. Dadzą mi miesiąc, dwa, wojna niedługo się skończy, docierały do nas wieści o coraz nowych sukcesach wojsk radzieckich i alianckich, ogłoszą amnestię!

Niebawem wrócę do ciebie, córeczko! Będziemy się bawić, masz dwa latka, na pewno już ładnie mówisz „tata"!

Fragment przygotowywanego do druku pamiętnika „Raz, dwa wzięli!", z pobytu autora w Związku Radzieckim w latach wojny.

Za tydzień:

W sądzie i gdzie indziej